DWUGŁOS „DO RZECZY”

Sakiewicz kontra Sommer – o Forcie Trump i Just Act 447

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 23/325 3–9 CZERWCA 2019

Dlaczego Rosja przysłała nam brudną ropę

DODATEK SPECJALNY

HISTORYCY IPN ODSŁANIAJĄ KULISY WYBORÓW 4 CZERWCA 1989 R.

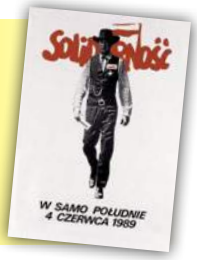

Jak w PRL ukrywano prawdę o katastrofie w Czarnobylu

RAPORT „DO RZECZY”

Kontrrewolucja

CZY PRAWICA URATUJE EUROPĘ?

SANTIAGO ABASCAL, VIKTOR ORBÁN, MATTEO SALVINI, BEATA SZYDŁO, JAROSŁAW KACZYŃSKI

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 23 >

Nakład: 78 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 41c41ae693

PGE

Polska Grupa Energetyczna

Zaprasza

Na koncert

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

KRAKÓW

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

4 CZERWCA 2019, GODZ. 20.00

eprasa.pl 41c41ae693

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nadmiar wiary w media

Dawno już nie byłem tak zaskoczony, jak obserwując wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego. Nie to, bym nie przypuszczał, że PiS wygra – nawet się wcześniej założyłem, że tak będzie, a występując przed wyborami w jednej z telewizji, przewidywałem, że PiS zwycięży. Jednak dodawałem, że będzie to zwycięstwo niewielkie. Stało się jednak inaczej. PiS odniósł nie tyle sukces, ile wręcz rozgromił przeciwnika. Rządzącym udało się zmobilizować swój elektorat i zadać „siłom demokratycznym", jak lubili się nazywać zwolennicy Koalicji Europejskiej, miażdżący cios. Zabawne jest teraz patrzeć, jak ci, którzy w największym stopniu przyczynili się do klęski opozycji, publicyści „GW", na Temat.pl i innych postępowych i tęczowych propagandówek, łzy leją i winnych szukają. Sami sprokurowali swoim ulubieńcom ten los, a teraz, biedacy, „innych szatanów szukają". Inna sprawa, że Koalicja Europejska wykazała się podczas wyborów tak niebotyczną wręcz głupotą, że zapowiedź Jarosława Kaczyńskiego, który w wieczór wyborczy wspomniał o potrzebie walki jesienią o większość konstytucyjną, nie wydaje się już mrzonką.

RYSUNEK TYGODNIA

Właściwie nie ma błędów, których Koalicja Europejska na czele z Grzegorzem Schetyną by nie popełniła. Pierwszym i podstawowym było jej powstanie z udziałem SLD i PSL. Schetyna był tak pewien wygranej, że oddał obu koalicjantom, a szczególnie lewicy, najlepsze miejsca na liście. Nie przewidział – a jak mógł przewidzieć, skoro ślepo wierzył propagandzie swoich mediów – że PiS dawno już nie budzi strachu Polaków i że ci nie nabiorą się na opowieści o groźbie polexitu. Podobnie nie boją się ani „pisowskiej dyktatury", ani „prawicowego autorytaryzmu". Wbrew propagandzie lewackich szczujni Polacy nie marzyli o upadku reżimu Kaczyńskiego. Nie odczuwali w większości strachu i nie sądzili, że czeka ich zamordyzm. Wszystko to są opowieści skuteczne dla zmobilizowania wąskiej grupy wielkomiejskich celebrytów i kawiarnianych ekspertów, o czym lider opozycji powinien był wiedzieć. Ale nie wiedział. Dlatego zbudował koalicję od Sasa do Lasa, bez żadnej idei wspólnej, bez żadnego programu. Poza jednym, by odsunąć PiS od władzy. Mało, nieprawdaż? W ten sposób osłabił Platformę, oddał najsmakowitsze kąski SLD i praktycznie pogrzebał PSL. Chociaż zapomniałem jeszcze o jednym – jakby tego było mało, Grzegorz Schetyna na tydzień przed wyborami poszerzył koalicję o inne „byty" polityczne, takie jak na przykład Inicjatywa Feministyczna. Naprawdę, trzeba było upaść na głowę, żeby uwierzyć, że może to być recepta na sukces.

Jednak Koalicja Europejska nie tylko nie miała programu. Być może dzięki poparciu mediów mogła powalczyć z PiS o remis. Być może, gdyby nie to, że na kilka miesięcy przed wyborami dała się całkowicie zdominować lewackim radykałom i ochoczo przystąpiła do wojny z Kościołem, co jedynie skłoniło tradycyjny elektorat PiS do pójścia do urn. Z wyborów europejskich Schetyna zrobił (nie jestem pewien, na ile świadomie) plebiscyt na temat miejsca Kościoła w Polsce. Najpierw Rafał Trzaskowski podpisał kartę LGBT, potem Dominik Jaźdżewski zasugerował, że katolicy to tarzająca się w błocie świnia, potem jakaś niewyżyta artystka zaczęła malować tęczowe aureole na wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej, wreszcie bracia Sekielscy wypuścili film, który wielu uznało za fragment antykatolickiej nagonki. Prawdziwą wisienką na torcie była parada równości w Gdańsku i profanacje tęczowych głuptasek, wspieranych, jak można było sądzić, przez prezydent miasta. Naprawdę, po takiej serii szaleństw, jawnie lub milcząco akceptowanych przez liderów opozycji, Koalicja Europejska powinna dziękować Bogu, że klęska nie była jeszcze większa. Właściwie PiS nie musiał się wysilać – wystarczyło, że pokazywał, że jest gwarancją spokoju i chroni Polskę przed wojną obyczajowo-religijną, którą Polakom zamierza wydać Koalicja Europejska.

Co nie znaczy, że jeszcze większa klęska nie spotka KE lub innego tworu będącego na jej miejscu w październiku. Wszyscy znaleźli się tam w pułapce: obecna formuła się nie sprawdziła i przyniesie przegraną, a na zbudowanie nowej zabraknie czasu. Jedynym ugrupowaniem, które zyskało na grach lidera PO, jest SLD, który Schetyna najwyraźniej powołał z niebytu, dając postkomunistom i komunistom drugie życie. PSL ledwo dyszy (są tacy, którzy żadnego oddechu nie dostrzegają), a Platforma będzie teraz targana wewnętrznymi sporami. Jaka piękna katastrofa, chciałoby się powiedzieć. ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

TEMAT TYGODNIA

18 OLIVIER BAULT
JAKA UNIA PO WYBORACH?

20 PIOTR SEMKA
WYBORY, W KTÓRYCH O COŚ SZŁO

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KONIEC ŚWIATA LIBERAŁYSTOKRACJI

24 KAMILA BARANOWSKA
FENOMEN BEATY SZYDŁO

27 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
ZJEDNOCZONA PRAWICA PROWADZI POLSKĘ W DOBRYM KIERUNKU

30 PIOTR GOCIEK
WSZYSTKO W RĘKACH PIS

32 ŁUKASZ WARZECHA
OSIEROCONE CENTRUM

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
NA PROGU ISTNIENIA

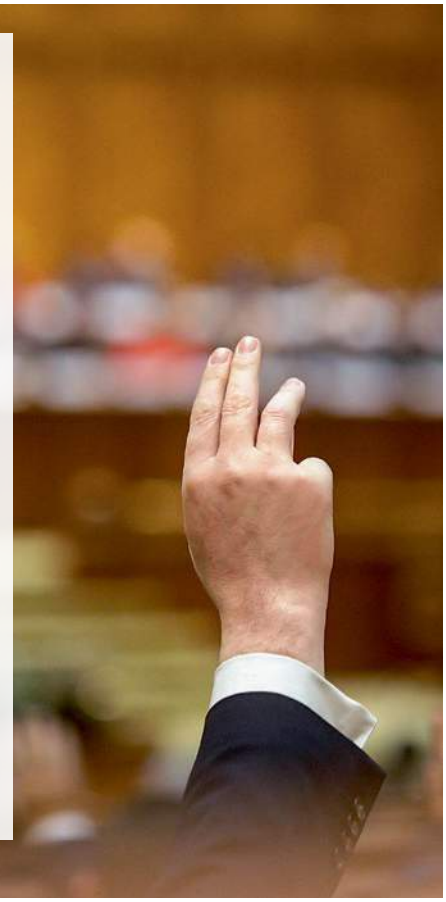

HISTORIA

68 DODATEK SPECJALNY
WYBORY INNE NIŻ WSZYSTKIE
Wybory z 4 czerwca 1989 r.

ŚWIAT

74 ROZMOWA Z WESLEYEM J. SMITHEM
NADCIĄGA KULTURA ŚMIERCI
Jak bioetycy zrobili z chorych „nieludzi"

78 TOMASZ WRÓBLEWSKI
PORTFEL PRZY URNIE

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
TAXI 3.0
Aplikacje zamiast kasy fiskalnej

86 STEFAN SĘKOWSKI
BRUDNA „PRZYJAŹŃ"

KRAJ

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
KIEDY SZKOŁA SZKODZI
Fiński ideał edukacji ma skazę

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
BUDKA BEZ SUFLERA

KULTURA

40 WIESŁAW CHEŁMINIAK
SUKCESY PONAD STAN
Sto lat temu powstał teatrzyk Qui Pro Quo

44 PIOTR GOCIEK
O CO TA GRA

46 RADOSŁAW WOJTAS
JAK W PRL UKRYWANO PRAWDĘ O KATASTROFIE W CZARNOBYLU

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA Z TOMASZEM SAKIEWICZEM
PIS NIE WYPŁACI ORGANIZACJOM ŻYDOWSKIM ANI ZŁOTÓWKI

57 ROZMOWA Z TOMASZEM SOMMEREM
ZAŻĄDAJMY ODSZKODOWAŃ OD IZRAELA

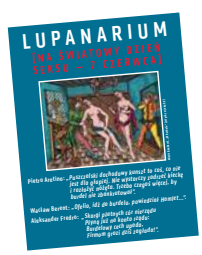

CYWILIZACJA

60 WALDEMAR ŁYSIAK
DZIEJE PŁATNEJ MIŁOŚCI
Na Światowy Dzień Seksu – 7 czerwca

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
POMOC I LANS
Jak firmy ratują zabytki

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
STRATEGIA WALKI Z RAKIEM
Potrzebne są zmiany w onkologii

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZALEWSKI, WOLSKI (53), ZYCHOWICZ, KOPER (67), WARZECHA (77), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), KUCHARCZYK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 41c41ae693

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Susana Vera/Reuters/Forum; Francois Lenoir/Reuters/Forum; Massimo Di Vita/Mondadori Portfolio/Getty Images; Grzegorz Banaszak/Reporter; Adam Chełstowski/FORUM**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 78 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Przypominając nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – zachęcamy do przesyłania korespondencji.

„Chiński rabuś", „DRz" 21/2019

Szanowna Redakcjo, dziękuję za zasygnalizowanie książki Philippe'a de Villiers „Kiedy opadły maski". Od 2015 r. zastanawiałem się, po co Merkel wpuściła nachodźców do Europy, i chociaż od początku byłem przekonany, że wcale nie chodzi o pomoc dla nich, to nie potrafiłem tego poskładać w logiczną całość.

No i po przeczytaniu artykułu „Chiński rabuś" wszystko stało się jasne. Na czym ta układanka polega, da się wywieść ze starego kawału o komunizmie: „Istotą komunizmu jest to, że rozwiązuje on problemy, które sam tworzy".

Śmialiśmy się z tego, przyjmując, że te problemy to tak same się rodzą jako wynik głupoty aparatczyków komunistycznych. Niestety, istnieje druga możliwość, że problemy są celowo stwarzane, a to po to, aby przy ich rozwiązywaniu zawiązywać obywatelom pętle ograniczające ich swobody, i to niestety dzieje się w tej zjednoczonej (pod przewodnictwem Niemiec) Europie.

Pozdrawiam
Adam Troszok

„Paragraf na wiek XX", Piotr Gociek, „DRz" 20/2019

Dzień dobry, nawiązując do artykułu (recenzji serialu „Paragraf 22") pana Piotra Goćka chciałbym zaznaczyć, że pierwsze komputery – czyli programowalne maszyny liczące – powstały pod koniec lat 30. XX w., a pierwsze używane na szerszą skalę modele to niemiecki Z3 z 1941 r., angielskie maszyny serii Colossus (zrobiono ich w sumie 11), a przede wszystkim amerykański komputer ENIAC, używany w latach 1943–1946, pierwsza maszyna tego typu zbudowana na lampach elektronowych (wcześniejsze konstrukcje wykorzystywały systemy zwor elektromagnetycznych). Wszystkie były oczywiście wojskowe.

Komputer ENIAC był używany przede wszystkim do wyliczania tabel artyleryjskich, a także do obliczeń statystycznych na potrzeby armii – fragment książki odnoszący się do roli komputera w awansie mjr. Majora jest więc jak najbardziej akuratny i osadzony w realiach, choć oczywiście poetycko przerysowany. Jak się okazuje, komputery są starsze, niż można przypuszczać [...].

A co do samej powieści i jej ekranizacji, to przypominam sobie polską telewizyjną wersję (a może był to spektakl Teatru Telewizji?) z lat bodajże 70., z całkiem dobrą obsadą i ze zmienionym tytułem na „Paragraf 2" – akcję przeniesiono w czasy wojny wietnamskiej albo koreańskiej, nie pamiętam już, czyli uwspółcześniono i „ideologicznie nakierunkowano".

Pozdrawiam
Jarosław Lewandowski,
redaktor naczelny miesięcznika STRZAŁ.pl

„Poglądy na profesurę", Łukasz Warzecha, „DRz" 21/2019

Szanowny Panie Redaktorze, z uwagą przeczytałem Pana artykuł o postępowaniu profesorskim Andrzeja Zybertowicza. Pozwalam sobie zwrócić Pana uwagę na pewną nieścisłość w relacji.

Odpowiednia sekcja CK powołuje superrecenzenta w każdym postępowaniu, bez względu na konkluzje wyznaczonych przez siebie recenzentów. Jeśli jego opinia jest w konkluzji pozytywna, to sekcja głosuje jego wniosek o nadanie tytułu. Jeśli jest negatywna, to sekcja powołuje drugiego superrecenzenta i głosuje dopiero po równoczesnym zapoznaniu się z ich opiniami.

Z poważaniem
Antoni Sułek, b. członek CK

Wyjaśnienie
Do tekstu „Krąg prezesa" („Do Rzeczy" nr 22/2019) wkradł się błąd. Marta Kaczyńska jest oczywiście bratanicą, a nie – jak błędnie napisałem – siostrzenicą Jarosława Kaczyńskiego. Za błąd przepraszam. ***Wojciech Wybranowski***

eprasa.pl 41c41ae693

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nie tylko czerń i biel

Wielkim echem odbiła się dymisja Marka Lisińskiego, szefa fundacji Nie Lękajcie Się, która za swój cel przyjęła pomoc ofiarom kościelnej pedofilii. Poszło o sprawę dość banalną. Lisiński zwrócił uwagę, że 26-letnia Katarzyna, ofiara molestowania ze strony ks. Romana B. z Towarzystwa Chrystusowego, wywalczyła milion złotych zadośćuczynienia. Po otrzymaniu przez ofiarę sporych pieniędzy Lisiński zaczął naciskać na dużą pożyczkę.

W całej sprawie nasuwa się kilka wniosków. Po pierwsze, przypomina ona awanturę z Mateuszem Kijowskim – inicjatorem KOD. Jak się okazuje, bardzo szlachetny cel, który w naturalny sposób wspiera część mediów, tworzy tzw. efekt aureoli. Wszyscy chwalą kogoś, kto chce zrobić coś społecznie, i bardzo łatwo wszelkie pytania o pieniądze odrzucać jako dowód małostkowości i skrupulanctwa. Kolejne pytanie dotyczy zachowania braci Sekielskich, którzy już późną jesienią zeszłego roku zetknęli się z bardzo wątpliwymi żądaniami Lisińskiego, aby zapłacić mu sporą sumę za wystąpienie przed kamerą. Dlaczego wcześniej Sekielscy nie poinformowali o tym w swoim filmie? Czy na podstawie tego sygnału nie można było podejrzewać, że w fundacji Nie Lękajcie Się pojawiły się bardzo wątpliwe praktyki? Trzecia sprawa. Dlaczego grupa ze znaną aktywistką lewicową, panią Agatą Diduszko, oraz posłanką Katarzyną Scheuring-Wielgus nie wykazała więcej dokładności w zastanawianiu się, z kim jedzie do Stolicy Apostolskiej, aby nagłośnić krzywdy ofiar? I wreszcie ostatnie pytanie: Czy w otoczeniu Ojca Świętego nie było kogoś, kto by zainteresował się, kim jest rosły działacz ruchu ofiar pedofilii w Kościele.

Cała ta sprawa jest zwiastunem jeszcze jednego zjawiska. Jeśli ofiary pedofilii w Kościele będą uzyskiwać wysokie odszkodowania, to nie można wykluczyć, że z czasem pojawi się ktoś, kto z dużą umiejętnością medialną przedstawi się jako człowiek wykorzystany, a jedynym na to dowodem będzie słowo przeciwko słowu. Nie sposób zapominać, że w podobnych sprawach, często dość wątpliwych, spora część działaczy krytycznych wobec władz Kościoła lansuje dogmat: „Ofiara zawsze ma rację". Tym bardziej pozostaje mi już któryś raz z kolei zaapelować, by polski Kościół stworzył centralnie jedną – góra trzy–cztery komisje – które będą zdobywać doświadczenie w ocenie zeznań pod względem wiarygodności. Wymaga to udziału bardzo doświadczonych kapłanów i duchownych o sporej inteligencji moralnej. Jeśli za takie sprawy za każdym razem będzie się zabierać jedna z czterdziestu paru diecezjalnych komisji, to za każdym razem będą odkrywać pewne okoliczności złych działań w Kościele od nowa.

Jeszcze na koniec przypomnienie moich słów – lepiej byłoby, gdyby film „Tylko nie mów nikomu" został wyemitowany po wyborach. I lepiej, żeby bracia Sekielscy nie sprzedawali, nawet z formalnym zastrzeżeniem, że nie chodzi o działalność komercyjną, koszulek z plakatem wstrząsającego filmu. Im bardziej coś jest bulwersujące, tym bardziej powinno się znajdować jak najdalej od polityki i pieniędzy. Jak zresztą pokazała sprawa Marka Lisińskiego w tej ostatniej niezwykle przygnębiającej sprawie. ©℗

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

ZBIGNIEW ZIOBRO: NIE ZASTRASZYCIE NAS

– Bandytom mówimy jedno: nie wystraszycie nas, sprawiedliwość was dopadnie. Czasy bezkarności przestępców właśnie się skończyły – oświadczył w czwartek minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, komentując informacje o zleceniu zamachu na jego życie.

Jak podała w zeszłym tygodniu „Rzeczpospolita", 28-letni handlarz dopalaczami Jan S. zlecił zabójstwo ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, ponieważ uznał go za zagrożenie dla swoich bezprawnych interesów. Za wykonanie zlecenia Jan S. miał oferować 100 tys. zł. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", bandyta pozostawał na wolności.

Według ministra sprawiedliwości doniesienia o zleceniu jego zabójstwa dowodzą, że zaostrzone prawo karne w Polsce działa dobrze, a nowa prokuratura „wreszcie zaczęła rozbijać całe grupy przestępcze, niszczyć ich interesy i odbierać zdobyte na krzywdzie ludzkiej majątki. To wreszcie dowód na to, że mieliśmy rację, decydując się na twardą, bezkompromisową rozgrywkę z bandytami, nie zważając na głosy różnych środowisk, dla których ważniejsze są prawa sprawców, a nie prawa ofiar". ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl 41c41ae693

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Daj palec...

Sędzia z Irlandii chciała przysłużyć się walce o przywrócenie zagrożonej przez prawicowy reżim „praworządności", a – by użyć określenia pewnego zapomnianego już posła – „otworzyła puszkę z Pandorą".

Gdy w Irlandii zatrzymano poszukiwanego przez nasz wymiar sprawiedliwości przestępcę, wspomniana sędzia wstrzymała ekstradycję na podstawie doniesień medialnych z Polski i wysłała do Trybunału Europejskiego zapytanie, czy można go do takiego podejrzanego kraju odesłać.

W kręgach propisowskich radość, że oto dostało się rykoszetem aroganckim Teutonom

Trybunał orzekł łaskawie, że można – i tu zainteresowanie naszych rozczarowanych mediów się skończyło. Tymczasem sprawa miała dalszy ciąg: skoro raz już się zaczęło, to irlandzcy adwokaci zaczęli rutynowo przedłużać procedury ekstradycyjne, składając wnioski o badanie praworządności różnych domagających się swoich poszukiwanych czy skazanych krajów. Jeden z nich zrobił to w sprawie klienta poszukiwanego europejskim nakazem wydanym w Niemczech. No i bomba: TSUE, który nie dopatrzył się niepraworządności w Polsce, zakwestionował nie tylko ten konkretny wniosek z Niemiec, lecz także hurtem wszystkie wydawane przez lidera UE.

Mniejsza o proceduralne nieprawidłowości, jakich dopatrzył się w Niemczech trybunał (w skrócie: uznał, że wnioski może wydawać tylko sąd, tak jak w Polsce, a nie prokuratury, bo te w Niemczech nie są niezależne). W Niemczech zapanowało oburzenie, bo poczuły się one zrównane z jakimiś pogardzanymi środkowoeuropejskimi reżimami. W Polsce zaś, w kręgach propisowskich, radość, że oto dostało się rykoszetem aroganckim Teutonom. Zwłaszcza że ta decyzja zrymowała się z nieco wcześniejszym przełożeniem przez TSUE ogłoszenia decyzji w sprawie pytań prejudycjalnych polskich sędziów na „po wyborach", co jest jasnym sygnałem, że nie wypada ona po myśli „totalnej opozycji".

Ja bym się jednak nie cieszył – chyba że Niemcy demonstracyjnie podporządkowania się TSUE odmówią, co wydaje się nieprawdopodobne. Korzystając z okazji, TSUE rozpycha się i – wzorem Komisji Europejskiej – próbuje powiększyć swą władzę ponad to, co przewidziano w traktatach. I robi to skutecznie. A proszę mi wierzyć, że tam dopiero siedzi „nadzwyczajna kasta", przy której ta krajowa wydaje się zupełnie potulna. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Joga ze Schetyną

W wakacje w Międzyzdrojach, Kołobrzegu czy w innym letnisku szykują się niezłe atrakcje. Niewykluczone, że rodziny z dziećmi będą mogły poćwiczyć jogę z Młynarską i Schetyną lub zobaczyć Tomasza Lisa w koszulce z napisem: „Śmierć wrogom Ojczyzny". A wszystko to dlatego, że politycy opozycji „demokratycznej" i satelickie grono celebrytów zdiagnozowali, że mowa nienawiści wobec polskich rodzin, tych „szarych ludzi", sukcesu im nie przyniesie, i zdecydowali się odwrócić wajchę.

Coś w tym jest, choć sama teza, że wynik ostatnich wyborów to efekt konfrontacji beneficjentów „500+" z beneficjentami III RP, jest absolutnie błędna. Dzisiaj mamy bowiem do czynienia z mobilizacją szerokiego szerokiego spektrum zwolenników IV RP przeciw tłustym kotom III RP.

W tym całym sporze „analitykom" opozycji i obozu rządzącego umyka fakt, że walcząc o elektorat, pominięto dwie grupy wyborców, których głos jesienią może okazać się języczkiem u wagi. To pokolenie ludzi w wieku 18–25 lat, którzy inaczej niż ich nieco starsi koledzy już nie są pokoleniem „poproszę" i „dajcie", ale pokoleniem „ja chcę", „ja potrafię", „ja mogę". Nie trafia do nich ani program socjalny PiS, bo stoją na stanowisku, że życiowy sukces potrafią sami osiągnąć, ani argumenty opozycji, bo wojna Koalicji Europejskiej z partią rządzącą nie jest z ich bajki. Zapomniano też całkowicie o przedsiębiorcach, którzy stracili zaufanie do liberałów po ośmiu latach rządów PO, a których – po zderzeniu z rzeczywistością polskich urzędów – nie przekonują „innowacyjne" gruszki na wierzbie Morawieckiego i Emilewicz.

Jesienią o zwycięstwie wyborczym mogą zadecydować właśnie ci nowi wykluczeni. Nieoczekujący specjalnego traktowania, a jedynie równych szans także dla siebie. ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Postępowa cenzura

Włoska żandarmeria politycznej poprawności przyznała sobie prawo do wykończenia każdego, kto szerzy myśl niepoprawną, inną niż jedynie słuszna. Postępowa propaganda w ramach reedukacji dziennikarzy i społeczeństwa ma się stać częścią dzienników tv.

AGCOM, niezależny, wybierany przez parlament organ kontrolny komunikacji medialnej, ogłosił właśnie, że w ramach walki z szerzeniem nienawiści w mediach będzie

ścigał tych, którzy źle się wyrażają o kobietach, mniejszościach płciowych, Romach, kolorowych, muzułmanach i migrantach. Naturalnie o tym, kogo i za co karać, zdecyduje AGCOM. Przy czym nie będzie karał winnych rzekomego wykroczenia, ale właścicieli mediów, dla których ci pracują. Kara: 2–5 proc. rocznych przychodów. Słowem, AGCOM może wykończyć każdą stację telewizyjną i każdego wydawcę prasy. Trudno o lepszą zachętę do autocenzury. Co więcej, szef tego gremium, prof. Angelo Marcello Cardani, zarządził, że materiały zachęcające do akceptacji migrantów, promujące odmienność i mniejszości seksualne mają pojawić się w tv w programach informacyjnych (sic!).

Cardani był szefem biura Mario Montiego w KE. Teraz grozi sankcjami za krytyczne słowa pod adresem swego byłego pryncypała. Natomiast zupełnie mu nie przeszkadza, że w postępowych mediach wicepremiera Matteo Salviniego nazywają faszystą i nazistą, a w katolickich – szatanem. Notabene włoski sąd uznał, że w okolicznościach kampanii wyborczej nie ma to nic wspólnego z dyfamacją.

W Italii nawet bardzo uczonym ludziom ostatnio miesza się we łbach. Postępowy prof. Carlo Calenda, były minister rozwoju gospodarczego, powiedział, że głosowanie na Ligę Salviniego to… głos za nowym Auschwitz. Natomiast spowity w tweedy, pełen angielskiej rezerwy Mario Monti w wywiadzie dla „Corriere della Sera" prognozował, że Salvini wywoła wojnę światową. Poważnie.

A co zrobił naród? 26 maja pokazał potężnemu aparatowi postępowej propagandy (90 proc. włoskich mediów) środkowy palec i zagłosował na Salviniego. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Ciężar demokracji

Jak to mówią: święta, święta i po wyborach. Przystąpmy zatem do przeglądu twitterowego pola po bitwie. „Jeśli wyniki exit poll się potwierdzą, to trzeba się napić wódki, ale nie rozpaczać. Niech to będzie przestroga dla zjednoczonej opozycji. Jesienna kampania musi być lepsza" – stwierdził chwilę po godz. 21 Jarosław Kurski. Następnie zamilkł na prawie 24 godziny. Co robił w międzyczasie, pozostaje tajemnicą, ale ludzie się niepokoili.

Niepokoił się również Jan Hartman. „Miejmy odwagę powiedzieć: większość Polaków to… hhhrrr… bzzz… wrrr… Chyba ten duch to jednak faktycznie zstąpił i odmienił. Wulgarna korupcja, chamstwo i żydożerstwo większości Polaków nie przeszkadzają" – spuentował szacowny krakowski profesor.

Pomimo porażki opozycji ducha nie tracił Tomasz Lis. „4 miesiące temu mówiono, że Koalicja Europejska nie powstanie, a opozycja zostanie zmiażdżona. Dziś zawodzenie, bo zdobyła prawie 40% głosów i jest tuż za PiS-em, który rozdał dziesiątki miliardów. Nic nie jest przesądzone. To jest czas wojowników, a nie płaczek. Walka" – wezwał w swoim stylu redaktor. Na pocieszenie przyszedł mu Patryk Jaki: „Jako osoba odpowiedzialna za polski system penitencjarny uprzejmie informuję, że PO kolejny raz zmiażdżyła konkurencję w aresztach i zakładach karnych" – zakomunikował.

A teraz kącik refleksji pt. „Skąd taki wynik?". Najpierw przestroga historyczna. „1. NSDAP w 1933 r. otrzymuje 1/3 głosów w wyborach parlamentarnych. 2. W kolejnych wyborach NSDAP otrzymuje 44% głosów i dokonuje zmian ustaw i uchyla konstytucję. PS Na początku większość Niemców też się z Hitlera śmiała" – tweetnął Mikołaj Wróbelek. A teraz prawna. „Par. 1. Kto przyjmuje korzyść majątkową za głosowanie w określony sposób, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5. Par 2. Tej samej karze podlega, kto udziela korzyści majątkowej osobie uprawnionej do głosowania, aby skłonić ją do głosowania w określony sposób" – przypomniał Wojciech Czuchnowski. Spakowaliście już, drodzy państwo, szczoteczki do zębów, gdyby zapukali o szóstej? ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

PRAWDZIWY DRAMAT

Dawno nie było nic o Natalii Siwiec, tymczasem dużo się u niej dzieje. Celebrytka dokonała ostatnio poważnego rozliczenia z przeszłością. Wyznała, że mając naście lat, nie wiedziała, gdzie kupuje się oryginalne markowe ciuchy i dodatki! Przez to nieświadomie kupowała podróbki i z tą niewygodną prawdą o sobie postanowiła się teraz, po latach, publicznie zmierzyć. Brawa za odwagę! – Jak byłam nastolatką, to nawet nie wiedziałam, gdzie kupuje się takie marki jak Hermes, Dior czy Chanel – wspomina Natalia. – W sklepach pojawiały się podróbki, a ja myślałam, że to oryginalne produkty. Taka torebka podróbka, która kosztowała 2 tys. zł, była dla mnie bardzo droga i szalałam z radości, że mogę ją mieć – opowiada. Dodaje też, że teraz kiedy już takich błędów nie popełnia, markowe rzeczy nie cieszą jej tak jak kiedyś. – Teraz kolejne markowe torebki i buty już mnie tak nie cieszą. Po prostu je kupuję, żeby pasowały do stylizacji – mówi. To okropne! Niech Natalia przerzuci się na podróbki i odzyska radość życia. Natychmiast!

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

JANDA I JEJ MYŚLI

Krystyna Janda jest załamana wynikiem wyborów i postanowiła swoim żalem podzielić się ze światem. Wysoka wygrana PiS w wyborach całkiem wytrąciła ją z równowagi, więc aby odreagować, wrzuciła na swój profil na Facebooku żenująco pogardliwy mem, sugerujący, że wszyscy wyborcy PiS głosują na tę partię wyłącznie ze względu na pieniądze. Oberwało jej się mocno także od swoich, którzy zarzucili jej pogardę dla słabszych, rasizm, ale i zwykłą głupotę, więc w końcu dla spokoju mem usunęła. Ech, a my naprawdę dużo obiecywaliśmy sobie po jej ostatnim wywiadzie, w którym ogłosiła, że „nie czuje już potrzeby wymiany myśli z tym narodem". Za piękne było, żeby trwać.

WSZYSTKIE PRZYGODY KRETA

Jarosław Kret oznajmił, że jest gotów kontynuować swoją karierę w roli pogodynka. Wcześniej nie był, bo przeżywał trudny czas w swoim życiu. Po rozstaniu z Beatą Tadlą, którą spektakularnie, bo nieomal w świetle kamer porzucił, popadł w depresję. Bo po porzuceniu stwierdził, że jednak chce wrócić do Tadli. Ta na szczęście pogoniła go na drzewo jako zupełnie niepoważnego człowieka. Kret, aby odreagować, wyjechał do Indii na medytacje. Nie pomogło. Po powrocie ogłosił w wywiadzie: „Zostałem sam z depresją". Dziś twierdzi, że z depresji się wyleczył, i ogłasza, że poszukuje pracy. Najlepiej znów w roli prezentera pogody. Chociaż pamiętamy, że jeszcze niedawno miał inne plany. Chciał się poświęcić kręceniu filmów podróżniczych i podróżom po świecie. – Mogę powiedzieć, że znowu mam ochotę ruszyć w świat. Robić dobre filmy i programy o nim. Dalej skupić się na podróżach. W tej chwili kończę książkę o Ziemi Świętej – opowiadał jeszcze niedawno. Dziś mówi już co innego. – Wszyscy mnie namawiają do tego, bym wrócił do prognoz pogody, bardzo bym chciał wrócić do prognoz pogody. Trochę mnie nie było, ale trochę chorowałem na smutek, ale teraz jestem zdrowy, radosny, szczęśliwy, wesoły i mogę opowiadać o pogodzie – reklamuje się. Niestety akcje Kreta poszły mocno w dół, więc powrót do którejkolwiek telewizji jest mało prawdopodobny. Niestety dla Kreta, nie dla widzów przecież!

FOT. PAWEŁ GROMADA

ZAWÓD? JAKI ZAWÓD?

Julia Wieniawa, jedna z najbardziej popularnych celebrytek młodego pokolenia, nie zwalnia tempa. Ostatnio powiedziała, że ma tyle fajnych rzeczy do robienia, że nie w głowie jej studia aktorskie, o których kiedyś marzyła. Teraz skupia się na karierze celebryckiej. I podnosi stawki swoich usług reklamowych. Jak piszą plotkarskie media, zaczyna negocjacje od kwoty pół miliona złotych za kampanię! Ostatnio zaś Wieniawa przyznała, że marzy o tym, żeby mieć własną linię kosmetyków. – Mam kilku znajomych, którzy mogliby mi pomóc – zdradziła w rozmowie z „Faktem". – Moim ogromnym marzeniem jest stworzenie własnej marki kosmetycznej. Mieć swój bronzer, rozświetlacz, błyszczyk, tusz do rzęs. Myślę, że fajnie, jak możemy się rozwijać na innej płaszczyźnie niż nasz zawód – dodała. O ile ten zawód mamy. ©℗

FOT. PIOTR ZAJĄCZKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 41c41ae693

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ochłonęliście już po wyborach? My nadal nie. Jest nam trudno, iż spodziewaliśmy się wyniku Koalicji Europejskiej na poziomie przynajmniej 120 proc. Wybory musiały zostać sfałszowane. Przeciesh w naszym kolektywie albo wśród znajomych kolektywu nie było nikogo, kto by głosował na PiS.

Tym razem to już chyba na pewno wyjedziemy z tego kraju, w którym starzy, niewykształceni i z niewielkich ośrodków wiejskich dyktują, jak mamy żyć. Teraz w dodatku postanowili urządzać po swojemu nie tylko ten kraj – na wzór podkarpacia – lecz wyciągnęli łapska po Europę. Boimy się, że pojadą do Brukseli i będą forsowali jakąś Europę ojcowizn (a matczyzny gdzie?), łamać europejską konstytucję i obsadzać sędziów TSUE swoimi osobami. Z drugiej strony, to może Europa przejrzy na oczy i wreszcie nałoży jakieś sankcje?

Oglądamy serial „Czarnobyl" i jesteśmy wstrząśnięci, jak niebezpieczna jest energia atomowa. Pod wpływem serialu chcemy powiedzieć głośne „niedla" atomu w Polsce. Mamy nadzieję, iż nigdy w życiu nie będziemy mieli żadnej styczności z atomami. Dlatego zdecydowaliśmy się w wyborach europejskich oddać głos na Wiosnę, iż Biedroń ze Śmiszkiem też musieli oglądać ten serial co my i to im otworzyło oczy na zagrożenia płynące z energii atomowej. Również jesteśmy za tym, iżby wyzwalać energię z serc i umysłów pozytywnych mieszkańców tego kraju.

A taka partia Razem nie dość, że skupia się na nieżyciowych i niedzisiejszych kwestiach związków zawodowych, praw pracowniczych i tym podobnych nudziarstwach, a w dodatku chce budować nam tu elektrownie jądrowe (co za maskulinistyczny język opresji!), to tym razem, he, he, musiała się obejść bez naszego głosu. I widzicie, jak skończyła.

Wogóle czas sobie powiedzieć, iż demokracja w obecnym kształcie się nie sprawdza. Wyniki wyborów europejskich bardzo boleśnie nam to pokazały. Zresztą podobnie wykazało pewne badanie: według niego większość metrykalnie młodych waginoosób głosowałaby na postępowe partie o wrażliwości lewicowej. Z kolei większość osób waginoujemnych skłania się ku partiom nacjonalistyczno-fashystoffskim. Wniosek z tego płynie taki, iż demokracja powinna obejmować wyłącznie waginoosoby, a tzw. mężczyźni muszą zostać pozbawieni praw wyborczych. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

Wystawa rysunków Andrzeja Krauzego

Od 11 czerwca w Państwowym Instytucie Wydawniczym przy ul. Foksal 17 w Warszawie będzie można oglądać wystawę rysunków Andrzeja Krauzego „Dajemy słowo".

Krauze przygotował ponad 20 prac, które – w nawiązaniu do dorobku PIW – ukazują różnych pisarzy. Na wystawie znajdą się więc zarówno poeci, prozaicy, jak i autorzy stojący za literaturą piękną oraz eseistyką czy historią. Wystawa prac Krauzego to jednocześnie otwarcie księgarni, która stanie się nie tylko przestrzenią do spotkań z czytelnikami, lecz także miejscem skupiającym twórców, krytyków oraz recenzentów. Rysunki związanego z „Do Rzeczy" Andrzeja Krauzego będą stanowić stałą wystawę w księgarni i sali spotkań.

Franz Kafka

Samuel Beckett

Obecnie, po wieloletnim okresie zastoju, PIW wrócił do wydawania najważniejszych dzieł polskiego i światowego piśmiennictwa, w tym prozy, poezji, eseistyki oraz pozycji krytycznych, bez których nie sposób wyobrazić sobie polskiej kultury. Zachęcamy do obejrzenia wystawy!

(kga) ©℗

MARATON NA UKSW Z PAWŁEM LISICKIM

Czy czuje się pan apologetą? Jak bronić się przed agresywną ideologią LGBT? Który z lewicowych teologów jest najgroźniejszy, jeśli chodzi o zakłamywanie historii Jezusa? To tylko kilka z pytań, z którymi musiał się zmierzyć redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy". W czwartek 30 maja Paweł Lisicki wziął udział w IX Maratonie Apologetycznym. Wydarzenie zostało zorganizowane przez studentów II roku dziennikarstwa UKSW. ***(api)*** ©℗

SZEŚCIORACZKI Z AUTEM OD PREMIERA

Kluczyki do dziewięcioosobowego volkswagena transportera dostali w prezencie od premiera Mateusza Morawieckiego rodzice sześcioraczków, które kilka tygodni temu przyszły na świat w Krakowie (pisaliśmy o nich w „DRz" nr 22/2019). Dzieci nadal przebywają w szpitalu, gdzie lekarze czuwają nad ich prawidłowym rozwojem. Auto kupiono ze środków Fundacji PKO BP i Fundacji PFR. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

Tak się wszyscy ekscytują terminem rekonstrukcji, a tu wystarczy popatrzeć na plan zajęć prezydenta Andrzeja Sebastiana, który musi przecież nowych ministrów uroczyście powołać. A że najpierw był w Azerbejdżanie, a od środy 5 czerwca będzie w Słowenii, wychodzi, że wtorek 4 czerwca jest w sam raz.

Prezydent Andrzej Sebastian zdecydowanie zaprotestował. Nie chciał, by rekonstrukcja rządu objęła już teraz ministra sportu Witolda Bańkę. Nie jest też prawdą, jakoby przedstawił premierowi Mateuszowi długą listę własnych kandydatów na różnych ministrów. Zresztą kogo miałby wysłać do rządu? Kędrynę?

Jesteśmy trendsetterami. Po tym, jak ujawniliśmy, że trwają pilne poszukiwania kobiet do rządu, sypnęła się seria podobnych publikacji w różnych gazetach. Nas tymczasem najbardziej bawiła jedna rzecz: Skoro zasoby kadrowe PiS są podobno niezmierzone, to dlaczego kandydatką na wszystkie wakaty była Elżbieta Witek?

W wysokich kręgach PiS rekonstrukcja oprócz ekscytacji wywołała też falę modlitw. Modlono się o to, by objęła także ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego i ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka. Pierwszego za chryję z cenami prądu, drugiego tak ogólnie.

W każdym razie wiewiórki mówią, że do resortu energii nie trafi żaden nowy wiceminister w miejsce Grzegorza Tobiszowskiego. Słusznie! Któż zdołałby zastąpić tę bogatą osobowość?!

Były też chwile desperacji. Wiewiórki opowiadają, że minister Rafalska na wieść o wyborze na europosła desperowała dwa dni, wołając: „Ja nigdzie nie jadę!". No ale jednak jedzie.

Ciekawostka z mediów – tylko za kulisami potwierdzono, że minister Teresa od finansów Czerwińska odejdzie, a już zaczęło się zwijanie nad nią medialnego parasola ochronnego. I nagle jednego dnia się okazało, że jej mąż zasiadał w radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa, czego jakoś nikt wcześniej nie dostrzegał, oraz że na dziedzińcu resortu chce postawić pszczele ule. Czyli dotąd Teresa była cacy, a teraz nagle – Voldemort w spódnicy!

Na Nowogrodzkiej w ubiegłym tygodniu decydowano o nowych ministrach i wickach, w tym tygodniu temat równie ciekawy: kogo i do jakich stanowisk wysunąć w Parlamencie Europejskim, na komisarzy unijnych etc. Wszystkim podoba się kandydatura Kondzia Szymańskiego, ale mądre sowy z Nowogrodzkiej podkreślają, że przyda się jak znalazł jesienią na szefa MSZ.

Jest też zmartwienie. Lubimy ludzi wierzących, ale nie lubimy szantażystów. Dlatego mamy mieszane uczucia w sprawie Matteo Salviniego, lidera Ligi z Włoch. Nie to, że chwali się różańcem, ale niemiłe jest szantażowanie PiS informacją, iż woli budować wspólną frakcję w europarlamencie z Marine Le Pen.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Po tym, jak ujawniliśmy, że trwają pilne poszukiwania kobiet do rządu, sypnęła się seria podobnych publikacji w różnych gazetach

Tymczasem w Berlinie. Wynik PiS zrobił w Niemczech gigantyczne wrażenie. 26 szabel PiS to siła, która może okazać się języczkiem u wagi przy budowie nowej Komisji Europejskiej. W Berlinie już słychać głosy, że trzeba położyć krzyżyk na PeŁo i przeprosić się z PiS. Nie są to dobre wieści dla Złego Rudego Donalda. A może dobre. Wreszcie będzie mógł się zająć tym, co lubi najbardziej. Czyli niczym.

Wracamy jednak do pięknych opowieści z kampanii wyborczej, bo było ich wiele, a najpiękniejsze pozostają nieznane. Na przykład ludzie z Wiosny Robika Biedronia dopiero teraz zaczęli puszczać farbę na temat tego, jak przed wyborami urabiała ich reszta Eine Totalopposition. „Najpierw prośbą, a potem groźbą" – usłyszeliśmy od osoby, która opowiadając tę historię, uśmiechała się szeroko. Jak Grzegorz Schetyna.

Finał kampanii był też czasem prób prawdziwych przyjaźni. Na przykład Richard Henry Czarnecki zadzwonił do Michała Dworczyka, szefa kancelarii Mateusza. I błagał go, by ten przyjechał wesprzeć jego wyborcze spotkanie. „Przyjadę" – obiecał Dworczyk. „Dajesz słowo honoru?" – dopytywał Richard. „Tak" – odparł Dworczyk. „To dobrze, bo wiesz, ja chyba na nie nie dojadę" – oświadczył szczęśliwy Richard.

Mimo lekkiego ataku paniki wywołanego sondażem exit poll okazało się, że Richard Henry Czarnecki jednak pozostanie w Brukseli. Z tej okazji życzymy mu, by został ponownie wiceprzewodniczącym europarlamentu.

eprasa.pl 41c41ae693

Jeszcze bardziej życzymy Bełacie Szydło, by została przewodniczącym. Wtedy moglibyśmy mówić o Richardzie, że jest wice-Bełatą.

Kursy walut. Dzięki rekonstrukcji wiemy, ile średnio wart jest jeden minister konstytucyjny. Otóż wart jest tyle, ile wiceminister i minister niekonstytucyjny razem wzięci. Ewentualnie można to przeliczać na wicemarszałków Sejmu. Jeden wicemarszałek równa się jednemu ministrowi konstytucyjnemu. Wiemy to dzięki ZiZou Ziobrze, który stwierdził, że skoro oddaje do Brukseli Jakiego i Kempę, to musi dostać jakiegoś prawdziwego konstytucyjnego ministra albo wicemarszałka. Wiecie sami, co z tego wyszło.

Kursy sprzętu. Wiemy, ile mniej więcej Polska zapłaci za amerykańskie myśliwce F35A. Mniej niż Belgowie. A ile zapłacili Belgowie? To proste. Więcej, niż zapłacą Polacy.

Kursy odzieży używanej. Adam Bielan zdarł w kampanii dwie pary butów. A Bartosz Arłukowicz zdarł trzy pary butów. Bielan dostał 207 tys. głosów. Arłukowicz dostał 239 tys. głosów. Widać wyraźnie, kto miał lepsze buty.

Wracając do Ziobry. Szykuje się rzeź w prokuraturze. Otóż niemalże domowa ziobrowa prokuratura krakowska przegłosowała uchwałę potępiającą Prokuraturę Krajową za ręczne sterowanie śledztwami. Bywa. Jednak rzeczą zupełnie niebywałą jest, że przegłosowała ją jednomyślnie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że na czele zgromadzenia prokuratorów stał człowiek, któremu (o ile to w ogóle możliwe) Ziobro ufał. Co oznacza, że również on poparł ową uchwałę. I powiedzcie nam, że legendarna nieufność Ziobry nie ma podstaw!

W cieniu wielkiej rekonstrukcji zwracamy uwagę, że szykuje się też mała rekonstrukcja. Rady Mediów Narodowych. Do Brukseli wyjeżdża Elżbieta Kruk. Ale gdyby na przykład ktoś z listy wielkopolskiej musiał złożyć mandat europosła w związku z objęciem ważnej funkcji unijnej, to wtedy do Brukseli wskoczyłaby Joanna Lichocka. I byłyby już dwa wakaty w Radzie Mediów Narodowych.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Najciekawsza jest sytuacja u naszych zielonych braci. Peezel jest wystraszony frekwencją, która jesienią może się okazać jeszcze wyższa. Wtedy, choć wezmą swoje głosy, i tak nie dostaną się do Sejmu. I klops. Zatem pomysł jest taki, żeby zostać w Kołalicji z Grzegorzem, ale wypychać z niej lewactwo. Kupiliśmy popcorn. Zawsze miło poobserwować, jak Grzegorz negocjuje z ludźmi, którzy nie mają innego wyjścia.

Tymczasem w opozycji antysystemowej. Sensacja. Kukiści chcą budować struktury. Żeby je mieć. Dotąd ich nie budowali, bo nie chcieli. Ale chcą też mieć miejsce w Sejmie, więc potrzebują i struktur. Ludzie, którzy od czasów kampanii prezydenckiej Kukiza nie słyszeli słowa od kierownictwa ruchu, nagle znajdują porankami w swych skrzynkach e-maile z propozycjami robienia struktur.

Kukiści chcą budować struktury. Żeby je mieć. Dotąd ich nie budowali, bo nie chcieli. Ale chcą też mieć miejsce w Sejmie

Lepiej bardzo późno, niż późno, jak mówi polskie przysłowie.

Kronika towarzyska. Kacprowi Płażyńskiemu składamy serdeczne gratulacje z okazji spodziewanego powiększenia rodziny. Gratulacje tym większe, że będzie to dziecko numer jeden. I oczekujemy, że z informacją o płci zadzwoni najpierw do naszej popularnej rubryki. ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

Bezpieczne bankowanie w sieci

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. ADOBE STOCK

Jak bezpiecznie korzystać z bankowości elektronicznej i skutecznie chronić swoje oszczędności przed cyberatakiem?

Bankowość elektroniczna, w tym bankowość mobilna, rozwija się w błyskawicznym tempie. Według raportu NetB@nk ogłoszonego przez Związek Banków Polskich pod koniec 2018 r. liczba rachunków klientów indywidualnych mających możliwość korzystania z bankowości elektronicznej osiągnęła liczbę 38,09 mln, z czego 45 proc. (17,22 mln) to aktywni użytkownicy bankowości elektronicznej, czyli tacy, którzy przynajmniej raz w miesiącu korzystają z tego kanału dostępu do konta. Z bankowości internetowej aktywnie korzystało też 1,58 mln klientów z sektora MSP. Natomiast liczba użytkowników mobilnych aplikacji bankowych osiągnęła na koniec ubiegłego roku 11,2 mln.

Łatwy dostęp przez Internet, wygoda i funkcjonalność obsługi on-line sprawiają, że coraz chętniej korzystamy z konta za pośrednictwem komputera, tabletu czy smartfona. Banki oferują coraz bardziej zaawansowane technologicznie rozwiązania, które usprawniają obsługę rachunku. Łatwość i komfort korzystania ze zgromadzonych pieniędzy powinny jednak iść w parze z ostrożnością, ponieważ uśpiona czujność użytkowników bankowości elektronicznej ułatwia działania cyberprzestępców. Na ich coraz bardziej wyrafinowane ataki narażone są także serwery i systemy teleinformatyczne banków, ale o tak skierowane działania przestępców klienci banków w zasadzie nie muszą się martwić. Wysoki poziom zabezpieczeń instytucji finansowych, wymagany przez przepisy prawa oraz stworzony na podstawie rekomendacji Komisji Nadzoru Finansowego, jest gwarancją bezpieczeństwa zgromadzonych środków.

ŚWIATOWE CENTRA CYBERBEZPIECZEŃSTWA

Potężne systemy zabezpieczające, w które inwestują instytucje finansowe, zapewniają wysoki poziom ochrony ich infrastruktury. Banki mogą w tym zakresie liczyć na wsparcie najlepszych specjalistów. Nad bezpieczeństwem cyberprzestrzeni w naszym kraju czuwa m.in. CERT Polska, czyli krajowy zespół reagowania na incydenty cyberbezpieczeństwa. Narodowe CERT-y (z ang. Computer Emergency Response Team), czyli agencje do spraw cyberbezpieczeństwa działają także w innych krajach na całym świecie. Zespoły wyspecjalizowane w dziedzinie ochrony przed zagrożeniami płynącymi z sieci tworzą w swoich strukturach również najważniejsze podmioty z sektora energetycznego, transportowego, ochrony zdrowia i usług finansowych oraz usług cyfrowych.

O wiele łatwiejszym celem ataku dla hakerów są użytkownicy bankowości elektronicznej, a w szczególności ich komputery i urządzenia przenośne, które nie są zabezpieczone tak silnie jak infrastruktura ich banku.

Chociaż determinacja i pomysłowość przestępców nie znają granic i nigdy nie ma gwarancji całkowitego wyeliminowania ryzyka, to istnieje wiele podstawowych zasad, których przestrzeganie może ograniczyć zagrożenie użytkowników bankowości elektronicznej cyberatakiem, a w konsekwencji zwiększyć bezpieczeństwo naszych środków finansowych.

JAK SZYFR DO SEJFU

Co zatem możemy zrobić? Przede wszystkim nie wolno udostępniać nikomu loginu i hasła do systemu bankowości elektronicznej. Te dane – podobnie jak numer PIN karty płatniczej – powinny być znane wyłącznie właścicielowi konta. O ich podanie nie mogą prosić pracownicy ani banku, ani jakiejkolwiek innej instytucji, np. e-mailem lub SMS-em.

Najlepiej jest dane te zapamiętać, ponieważ zapisane w jakimkolwiek miejscu – w postaci elektronicznej lub fizycznej – mogą dostać się w ręce niepowołanych osób i posłużyć do uzyskania dostępu do naszego konta. Z tego względu nie powinno się też zezwalać na zapamiętywanie haseł do bankowości internetowej przez przeglądarkę.

Ważne również, aby ustanowione hasło było silne, czyli odpowiednio długie (co najmniej 16 znaków) i składające się z wielkich i małych liter, cyfr i znaków specjalnych oraz nie nawiązywało do związanych z nami czy naszymi bliskimi informacji, takich jak daty urodzenia czy imiona. W przypadku hasła do bankowości mobilnej – służącego do zalogowania się w aplikacji na telefonie lub tablecie – zadbajmy, by różniło się ono od hasła odblokowującego samo urządzenie (np. kodu PIN lub znaku wężyka).

eprasa.pl 41c41ae693

W ten sposób tworzymy kolejną barierę dostępu do konta dla przestępcy, któremu uda się ukraść nasz smartfon. Aby nie ułatwiać zadania cyberrabusiom potrafiącym łamać różnorodne kody, hasło należy także cyklicznie zmieniać. W razie wykorzystania naszych danych dostępowych do kradzieży środków z konta bank ma bowiem prawo odmówić uznania reklamacji.

Wszystkie urządzenia, za pomocą których uzyskujemy dostęp do konta bankowego (komputer, tablet, smartfon), mogą być narażone na zainfekowanie wirusami i programami szpiegującymi, pomagającymi przestępcom wykraść nasze dane (w tym loginy, hasła czy kody autoryzujące pozwalające przejąć kontrolę nad operacjami na koncie), dlatego powinny mieć zainstalowane aktualne oprogramowanie antywirusowe, najlepiej z funkcją zapory sieciowej, czyli firewallem. Skanowaniu programem antywirusowym poddajemy także każde urządzenie podłączane do komputera, aby zapobiec przedostaniu się z niego złośliwych aplikacji lub ewentualnie unieszkodliwić je, zanim zaczną działać. Bieżąca aktualizacja systemu operacyjnego naszego urządzenia oraz przeglądarki internetowej to kolejna z podstawowych zasad, które pomogą lepiej zabezpieczyć nasz sprzęt przed włamaniem z sieci. Jeśli pomimo zastosowanych zabezpieczeń nasz komputer i konto bankowe staną się celem udanego cyberataku – to ważne, by przy ewentualnej reklamacji w banku potwierdzić legalne źródło posiadanego oprogramowania.

Do logowania do bankowości internetowej lub mobilnej należy korzystać tylko z własnych, odpowiednio zabezpieczonych urządzeń. Ryzykowne może okazać się przy tym używanie jako źródła dostępu do Internetu nieznanych połączeń, np. publicznej sieci Wi-Fi. Atak za ich pośrednictwem jest dla wirtualnych złodziei o wiele łatwiejszy niż w przypadku prywatnych sieci.

Unikajmy zatem zarówno dostępnych publicznie komputerów, jak i cudzych tabletów oraz telefonów, a także nie udostępniajmy nikomu swojego laptopa czy smartfona, przy użyciu których logujemy się do konta bankowego. Najlepiej także utrwalić sobie nawyk wylogowywania się z urządzeń, paneli zarządzania kontem bankowym, poczty internetowej czy aplikacji od razu po zakończeniu korzystania z nich. Jeśli przekazujemy urządzenia np. do naprawy serwisowej, to najpierw wylogowujemy się z aplikacji bankowych lub najlepiej je usuwamy, kasujemy też SMS-y od banku i historię przeglądarki – informacje te mogą zawierać nasze wrażliwe dane, które przywiodą ewentualnych przestępców wprost przed „drzwi naszego sejfu".

FOT. ADOBE STOCK

POD SZCZEGÓLNYM NADZOREM

Ostrożność powinni zachować też rodzice lubiący dla kilku chwil spokoju oddawać swoje tablety i telefony w ręce małoletnich, chętnie otwierających przeróżne strony, pliki oraz ściągających gry, które mogą zawierać złośliwe oprogramowanie. Najbezpieczniej jest po prostu nie udostępniać naszych urządzeń i nie instalować na sprzęcie będącym jednocześnie narzędziem do zarządzania rachunkiem bankowym żadnych dodatkowych aplikacji, w tym komunikatorów czy aplikacji mediów społecznościowych. Warto też zadbać, aby w urządzeniu była włączona opcja uniemożliwiająca instalowanie oprogramowania z nieznanych źródeł.

Instalując aplikacje bankowe, sprawdźmy uważnie, czy producentem oprogramowania rzeczywiście jest nasz bank. Uchroni nas to przed pobraniem fałszywej aplikacji, którą cyberprzestępcy mogą wykorzystać do zdobycia danych dostępu do konta lub do przejęcia kontroli nad telefonem i tym samym możliwości odczytu komunikatów z kodami autoryzacyjnymi, co pozwoli im wyprowadzić pieniądze na swoje rachunki. Czujność należy zachować po otrzymaniu w wiadomościach e-mail, SMS lub MMS podejrzanych załączników lub linków do stron internetowych. Mogą one przekierowywać do fałszywego serwisu bankowego albo instalować złośliwe oprogramowanie na naszym urządzeniu.

Z tego samego powodu w trakcie logowania do systemu bankowości elektronicznej przez przeglądarkę internetową zawsze trzeba się upewnić, czy mamy otwartą właściwą witrynę (jej adres najlepiej jest wprowadzić samodzielnie), która stosuje połączenie zabezpieczone kryptograficznie. Adres internetowy widoczny w oknie przeglądarki powinien zaczynać się od „https://", a w oknie przeglądarki obok adresu powinna pojawić się ikona zamkniętej kłódki. Certyfikat potwierdzający, że strona jest zaufana, możemy sprawdzić, klikając na tę kłódkę. Programiści, którzy swoje umiejętności wykorzystują do celów przestępczych, potrafią stworzyć strony internetowe do złudzenia wyglądem i adresem przypominające prawdziwe bankowe panele logowania, służące do tzw. phishingu, czyli przechwytywania danych. Dlatego trzeba mieć się na baczności i w razie jakichkolwiek wątpliwości co do oryginalności strony zaprzestać próby logowania oraz niezwłocznie powiadomić o tym bank.

Czujność powinniśmy zachować także podczas płacenia kartą płatniczą za zakupy w nieznanych sklepach internetowych, zwłaszcza kiedy te kuszą ofertami o zaskakująco niskich cenach. Może się bowiem okazać, że taka witryna jest tylko przykrywką dla złodziei, którzy pod pozorem okazyjnych promocji wyłudzają dane karty płatniczej użytej do rzekomej zapłaty. Znacznie ograniczymy ryzyko, robiąc zakupy tylko w sprawdzonych i zaufanych

eprasa.pl 41c41ae693

miejscach w sieci. Płatności w Internecie najlepiej wykonywać przez serwisy certyfikowanych pośredników. Warto też włączyć usługę 3D-Secure podnoszącą bezpieczeństwo transakcji kartami w Internecie, jeśli jest ona dostępna w ramach naszego konta. Umożliwia ona generowanie dodatkowego, jednorazowego kodu 3D-Secure, który otrzymujemy SMS-em na swój telefon i którym potwierdzamy transakcję w sieci. Aby zapłacić w ten sposób, funkcja ta musi być jednak dostępna także u agenta rozliczeniowego, za którego pośrednictwem dokonujemy płatności.

CHRONIENI LIMITEM I SMS-EM

Aby lepiej chronić oszczędności, warto także skorzystać z oferowanych przez banki narzędzi zabezpieczających operacje na rachunku. Należą do nich limity transakcyjne, które można na wzór limitów dla transakcji kartą ustalić oddzielnie dla przelewów, płatności w Internecie, płatności kartą, operacji mobilnych czy płatności zbliżeniowych bez użycia kodu PIN. Dla bezpieczeństwa najlepiej ustawić jak najniższe kwoty limitów, by nie narażać się na straty większe niż tak ograniczona kwota. W każdej chwili można też tymczasowo zablokować dany kanał – np. płatności w Internecie, jeśli nie planujemy w najbliższym czasie zakupów on-line. W ten sposób za sprawą kilku kliknięć w aplikacji lub w internetowym panelu zarządzania naszym kontem minimalizujemy ryzyko nieuprawnionego wykorzystania naszych pieniędzy.

Kolejnym przydatnym narzędziem są powiadomienia w postaci SMS-ów lub komunikatów w aplikacji mobilnej. Są to potwierdzenia, które otrzymujemy na telefon po każdej operacji na naszym koncie – takiej jak np. przelew, logowanie do konta czy zmiana limitów transakcyjnych. Umożliwiają one pełną kontrolę nad stanem rachunku i pozwalają łatwo wykryć wszelkie nieautoryzowane przez nas ruchy na koncie. W takiej sytuacji szybka reakcja może uchronić przed utratą zgromadzonych na rachunku środków. Warto przy tym pamiętać, by uważnie czytać każdą wiadomość od banku. Dotyczy to zarówno potwierdzeń operacji, jak i kodów SMS będących narzędziem autoryzacji przelewów i dyspozycji zmian ustawień konta. Ważne także, by nie używać przy dokonywaniu przelewu opcji kopiuj-wklej do wpisania numeru rachunku odbiorcy. Należy wpisać go samodzielnie, by tym samym uniemożliwić podmianę numeru konta przez złośliwe oprogramowanie. Przed potwierdzeniem np. przelewu przesłanym przez bank kodem należy upewnić się, że kwota operacji i numer rachunku odbiorcy są zgodne ze zleceniem przelewu. Jeśli bowiem nie zastosowaliśmy się do reguł dotyczących właściwej ochrony urządzenia używanego w bankowości elektronicznej, to może się okazać, że przestępcy mający podgląd otrzymywanych od banku kodów autoryzujących wykorzystają je do zlecenia przelewu na własne konto, a my nieuważnie własnoręcznie potwierdzimy tę operację.

Z tego mechanizmu korzystają też złodzieje, którzy wyspecjalizowali się w głośnej ostatnio tzw. metodzie na BLIK. Przejmują oni kontrolę nad kontami osób z grona znajomych ofiary w mediach społecznościowych lub w inny sposób podszywają się pod kogoś bliskiego, po czym wysyłają ofierze prośbę o kod BLIK potrzebny do rzekomo pilnej transakcji (np. wypłaty z bankomatu lub zapłaty za leki w aptece). Należy więc zachować szczególną ostrożność w reakcji na każdą taką prośbę i zawsze weryfikować jej źródło. Pamiętajmy także, że transakcja przy użyciu kodu BLIK musi być potwierdzona przez użytkownika bankowości mobilnej, dlatego nawet jeśli już przekażemy kod, który zostanie wykorzystany do nieuprawnionej operacji (powiadomienie otrzymane w aplikacji pokaże kwotę i rodzaj transakcji), to powinniśmy w odpowiedzi odmówić autoryzacji takiej transakcji.

Ochronie oszczędności służą m.in. limity transakcyjne oraz powiadomienia SMS

Dobrym zwyczajem jest regularne sprawdzanie nie tylko historii operacji na rachunku, lecz także daty ostatnich logowań do bankowości mobilnej i internetowej – zarówno tych udanych, jak i nieudanych, co może pomóc odkryć nieuprawnione próby dostania się na nasze konto. O wszelkich niepokojących sytuacjach niezwłocznie powinien być informowany bank.

OSTROŻNIE Z KARTĄ

Warto dbać nie tylko o cyfrowe zabezpieczenia. Korzystając z kart płatniczych i bankomatów, które nadal są obiektem zainteresowania przestępców, pamiętajmy, aby nosić kartę dobrze schowaną, aby uniemożliwić osobom postronnym odczyt zapisanych na niej danych (zwłaszcza numeru karty oraz numerów CVV2 lub CVC2, czyli trzech cyfr umieszczonych na odwrocie karty, służących do potwierdzania płatności kartą w Internecie). Nie traćmy też karty z rąk i z oczu podczas dokonywania płatności, np. za obiad w restauracji.

Bankomat natomiast zawsze dokładnie oglądamy, zanim włożymy do niego kartę, i sprawdzamy, czy nie ma na nim podejrzanych i niepasujących elementów – nakładek, miniaturowych kamer, wystających części obudowy lub klawiatury. Urządzenia te mogą służyć do przestępstwa zwanego skimmingiem, czyli nielegalnego skopiowania informacji zapisanych na karcie i zarejestrowania wpisywanego kodu PIN. W razie jakichkolwiek obaw co do bezpieczeństwa danego urządzenia szukamy innego, a o swoich podejrzeniach informujemy operatora bankomatu. Jeśli bankomat nie budzi żadnych zastrzeżeń – to numer PIN zawsze wpisujemy w nim tak, aby nikt postronny go nie widział.

Jeśli zaś ukradziono nam kartę płatniczą, to należy jak najszybciej ją zastrzec. Najwygodniej i najszybciej zrobimy to, dzwoniąc na całodobową infolinię banku albo korzystając z serwisu bankowości internetowej lub aplikacji mobilnej. Można także udać się do placówki banku, jeżeli jest czynna – wtedy należy mieć przy sobie dowód osobisty.

Dla osób, które utraciły kartę jednego z banków będących uczestnikami Systemu Zastrzegania Kart, możliwe jest także bezpłatne zastrzeżenie karty pod uruchomionym przez Związek Banków Polskich wspólnym numerem telefonu +48 828 828 828. Po połączeniu się z tym numerem klienci przekierowywani są na infolinię właściwego banku. Lista banków i instytucji kredytowych biorących udział w projekcie znajduje się na stronie zastrzegam.pl.

Bardzo ważnym elementem dbałości o bezpieczeństwo naszych pieniędzy jest ochrona danych osobowych. Imię i nazwisko w powiązaniu z numerem PESEL lub numerem dowodu osobistego to dane, które mogą ułatwić przestępcom drogę do wzbogacenia się naszym kosztem. O zagrożeniach związanych z kradzieżą tożsamości oraz o sposobach ich uniknięcia napiszemy już w następnym odcinku tego cyklu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. ADOBE STOCK

Olivier Bault

Liberalna lewica wciąż ma większość w Parlamencie Europejskim. Zmiana kursu możliwa będzie tylko przez działania państw członkowskich

Jaka Unia po wyborach?

W skali europejskiej wybory z 23–26 maja z grubsza potwierdziły to, co prognozowały sondaże. Największym zwycięzcą wyborów do Parlamentu Europejskiego jest frakcja liberałów z ALDE, głównie dzięki pojawieniu się we Francji centrowej, liberalnej partii prezydenta Macrona oraz na skutek powrotu na brytyjską scenę polityczną brytyjskiej partii liberalno-demokratycznej w kontekście sporu o brexit. Grupa ALDE, przemianowana na ALDE&R przy okazji przyłączenia listy Renaissance (Odrodzenie) Macrona, będzie teraz liczyła 105, a nie jak dotychczas – 67 posłów na ogólną liczbę 751 eurodeputowanych. Jeśli faktycznie dojdzie do brexitu w nowym wyznaczonym terminie 31 października, to grupa ta straci za kilka miesięcy 16 brytyjskich posłów. Z brytyjskimi posłami lub bez frakcja ALDE&R, której przewodniczył do tej pory znany w Polsce były belgijski premier Guy Verhofstadt, będzie kluczowa w tworzeniu nowej wielkiej koalicji lewicowo-liberalnej, która niewątpliwie zdominuje Parlament Europejski przez najbliższe pięć lat.

Obie frakcje dotychczasowej wielkiej koalicji – centroprawicowa Europejska Partia Ludowa (EPL) oraz socjaldemokratyczna S&D – straciły wielu posłów i nie mają już większości. Stan posiadania EPL został zredukowany z 221 posłów do 179. S&D liczy teraz 153 eurodeputowanych, w tym 10 brytyjskich laburzystów, a dotychczas było ich 191. Ponieważ najliczniejsi w kluczowej frakcji ALDE&R będą Francuzi (23 posłów), prezydent Macron uzyskał duże wpływy w Parlamencie Europejskim, choć jego lista Renaissance nieznacznie (o mniej niż jeden punkt procentowy) przegrała wybory ze Zjednoczeniem Narodowym (RN) Marine Le Pen.

Nie ma co się zatem łudzić, że nowy Parlament Europejski będzie mniej eurofederalistyczny i lewicowo-liberalny niż poprzedni.

MOCNA PRAWICA

Drugim wygranym tych wyborów jest obóz tzw. populistycznej prawicy. Zgodnie z terminologią używaną przez mainstreamowe (lewicowo-liberalne) media na Zachodzie chodzi o trzy frakcje na prawicy od EPL – czyli EKR, do której należy PiS; ENF, do której należą francuski RN, włoska Liga i austriackie FPÖ; oraz EFDD, do której należy Brexit Party Nigela Farage'a. Co prawda na papierze wzrost tego szeroko pojętego obozu „populistycznej" prawicy jest niezbyt wielki, gdyż wszystkie trzy frakcje razem mają teraz 175 posłów, a nie – tak jak do tej pory – 155. Aby prawidłowo analizować wyniki, należałoby jednak z grupy tej odliczyć brytyjskich torysów (jest ich teraz czterech we frakcji EKR w stosunku do 19 w poprzednim parlamencie) i doliczyć do niej węgierskich posłów z Fideszu (13 posłów po wyborach, czyli o jednego więcej), co daje „populistycznej" prawicy 184 posłów w nowym Parlamencie Europejskim wobec 148 przedstawicieli w poprzednim, a to już wówczas stanowiło historyczny rekord.

Zatem tak, jak prognozowały sondaże („Unia od nowa" w „Do Rzeczy" nr 21/2019), szeroko pojęta „populistyczna" prawica zwiększyła swój stan posiadania do poziomu tuż poniżej jednej czwartej Parlamentu Europejskiego. Jednakże to ta grupa straci najwięcej posłów wraz z brexitem, gdyż wtedy odejdzie z niej 29 posłów Brexit Party (w poprzednim parlamencie razem z Farage'em weszło 24 posłów UKIP). Inną kwestią jest to, że jest to gremium bardzo różnorodne, w którym możliwe będą wspólne działanie i głosowanie tylko w niektórych sprawach, a zwłaszcza w kwestiach światopoglądowych i w spra-

eprasa.pl 41c41ae693

wach dotyczących podziału kompetencji między Unią a państwami członkowskimi.

Chociaż niektóre media głoszą nadejście „zielonej fali", która „zalała" Europę w dniach 23–26 maja, Zieloni, którzy zwiększyli swój stan posiadania z 50 do 69 europosłów (w tym 11 Brytyjczyków), są dopiero trzecią zwycięską siłą po liberałach i prawicowych „populistach". Sukces osiągnęli jednak tylko w Europie Północno-Zachodniej, głównie w Niemczech, gdzie stali się drugą polityczną frakcją po centroprawicowej CDU, odbierając głosy socjaldemokratycznej SPD i osiągając wynik na poziomie 20 proc. głosów. We Francji Zieloni zajęli trzecie miejsce (czego nie prognozowały żadne sondaże) z wynikiem 13 proc. Wynik ten nie jest jednak z historycznego punktu widzenia na szczególnie wysokim poziome, zwłaszcza że francuscy Zieloni tradycyjnie osiągają swoje najlepsze wyniki w wyborach europejskich.

Po pierwszych deklaracjach obozu Merkel i Macrona należy jednak się spodziewać, że pod presją elektoratu Zielonych Niemcy i Francja jeszcze bardziej zintensyfikują po tych wyborach kurs proekologiczny w Brukseli, zwłaszcza w sferze walki ze zmianami klimatycznymi.

KTO NA STANOWISKACH?

Liderzy 28 państw Unii spotkali się już 28 maja na specjalnie zwołanym nieformalnym zgromadzeniu Rady Europejskiej, aby rozpocząć dyskusje na temat nowego obsadzenia kluczowych stanowisk unijnych, na czele ze stanowiskiem przewodniczącego Unii Europejskiej.

Pierwsze pytanie, na które muszą odpowiedzieć szefowie rządów i państw Unii, dotyczy żądania Parlamentu Europejskiego, aby utrzymywać mechanizm tzw. spitzenkandydatów, który odnosi się do wyłaniana kandydata na przewodniczącego Komisji Europejskiej. „Spitzenkandydaci" to kandydaci frakcji zasiadających w Parlamencie Europejskim na to kluczowe stanowisko. Należy pamiętać, że zgodnie z Traktatem o Unii Europejskiej nowo wybrany przewodniczący Komisji Europejskiej ma wpływ na wybór poszczególnych członków komisji proponowanych przez państwa narodowe. Jeśli miałby zostać utrzymany mechanizm „spitzenkandydatów" wprowadzony po raz pierwszy w momencie wyboru Jeana-Claude'a Junckera w 2014 r., to główni kandydaci Parlamentu Europejskiego na stanowisko przewodniczącego Unii Europejskiej to: popierany przez Angelę Merkel Spitzenkandidat EPL Manfred Weber z niemieckiej CSU, Spitzenkandidat socjalistów Frans Timmermans z holenderskiej Partii Pracy oraz Spitzenkandidat frakcji ALDE Margrethe Vestager, obecnie duńska pani komisarz ds. konkurencji.

Mechanizm ten nie jest jednak wpisany do Traktatu o Unii Europejskiej, który jasno stwierdza, że to Rada Europejska proponuje Parlamentowi Europejskiemu swojego kandydata, a Parlament go jedynie zatwierdza. Wielu przywódców, w tym Francuz Emmanuel Macron oraz szefowie krajów Grupy Wyszehradzkiej, nie zgadza się na zastosowanie tego mechanizmu, mają natomiast różne propozycje co do potencjalnego kandydata Rady Europejskiej. Francuski prezydent widziałby na tym stanowisku socjalistę Michela Barniera, który jako główny negocjator Unii w sprawie brexitu pokazał swoją nieugiętość, a zdaniem niektórych – skłonność do wykonywania poleceń z Paryża. Dla innych państw Unii Francuz może więc nie być najlepszym kandydatem na przewodniczącego KE.

Wybór nowego przewodniczącego Komisji Europejskiej będzie kluczowy – bo albo pomoże w wyciszaniu konfliktów z niektórymi krajami członkowskimi – na czele z Polską, Węgrami, Rumunią i Włochami – wywołanych przez komisję Junckera oraz w ponownym zawężeniu zakresu działań komisji do sfer przewidzianych w traktacie lizbońskim, albo przeciwnie – nastąpi dalsze pozatraktatowe poszerzanie sfery działania komisji. Dzisiaj nie ma co liczyć na PE jako na gremium, które przyczyni się do zaniechania ingerencji w sfery teoretycznie zarezerwowane dla państw członkowskich. Co najwyżej prawicowi „populiści" będą w stanie trochę bardziej w tym procederze przeszkadzać.

Jeśli chodzi o Radę Europejską, to wybory do Parlamentu Europejskiego pokazały, że Polska (gdzie PiS uzyskał ponad 45 proc. głosów) i Węgry (gdzie Fidesz Victora Orbána uzyskał ponad 52 proc. głosów) raczej utrzymają swój dotychczasowy kurs i przez najbliższe lata będą przeciwstawiać się planom francuskiego prezydenta w zakresie budowania Europy dwóch prędkości z twardym, quasi-federalnym jądrem.

Bardzo dobry wynik Ligi Matteo Salviniego (ponad 34 proc. głosów) i dobry wynik narodowców (ponad 6 proc. głosów) we Włoszech wobec ostrego spadku popularności obecnego koalicjanta Ligi, lewicowego Ruchu Pięciu Gwiazd M5S (17 proc. wobec 32 proc. w wyborach parlamentarnych z 2018 r.), pokazuje, że w razie rozpadu coraz bardziej skłóconej koalicji rządowej i przyspieszonych wyborów, Włochy mogą być rządzone przez połączone siły prawicy z centroprawicą Berlusconiego lub nawet bez niej. W tym układzie Włochy będą w tym sporze raczej po stronie Polski i Węgier.

Z kolei w krajach potencjalnego twardego jądra Unii dwóch prędkości, formacje rządowe uzyskały dużo słabsze wyniki: CDU-CSU Angeli Merkel wygrała wybory, ale z rekordowo niskim poparciem poniżej 29 proc., a LREM Emmanuela Macrona z wynikiem poniżej 23 proc. znalazła się tuż za partią Marine Le Pen. Najsolidniejszy sprzymierzeniec Macrona, hiszpański socjalistyczny premier Pedro Sánchez, może się pochwalić niezłym wynikiem (prawie 33 proc. głosów), ale jego główne zmartwienie w tej chwili to znalezienie większości parlamentarnej do utworzenia nowego koalicyjnego rządu po kwietniowych wyborach.

Jedyny potencjalny sprzymierzeniec Warszawy i Budapesztu w Hiszpanii to partia Vox i jego lider Santiago Abascal. Choć Vox po raz pierwszy wszedł do hiszpańskiego parlamentu z wynikiem 10 proc. głosów, to z powodu słabego wyniku centroprawicy w kwietniowych wyborach krajowych, nie będzie miał wpływu na politykę Madrytu. A w wyborach europejskich, część zwolenników Vox odpłynęło z powrotem do centroprawicowej Partii Ludowej (PP) i formacja Abascala uzyskała już tylko 6 proc. głosów.

Kolejny kraj należący do obozu zwolenników coraz ściślejszej integracji europejskiej – Belgia – będzie się teraz skupiał na utworzeniu rządu po wyborach z 26 maja, ponieważ Belgowie głosowali także w wyborach regionalnych i federalnych. We francuskojęzycznej części kraju wygrały partie lewicowe, podczas gdy Flandria poparła nacjonalistów z Vlaams Belang i twardą lewicę z N-VA, co stawia pod znakiem zapytania możliwość utworzenia wspólnego rządu, a może nawet i jedność kraju.

Chociaż w skali europejskiej wybory z 23–26 maja znowu wygrali zwolennicy liberalnej lewicy (do których trzeba zaliczyć większość frakcji EPL, w tym i polską Platformę Obywatelską), to trudno w tej chwili powiedzieć, w którą stronę podąży teraz Unia Europejska. Natomiast jeśli nastąpi w niej zmiana kursu w kierunku postulowanym przez Warszawę i Budapeszt, to stanie się to w następstwie działań państw członkowskich, a nie samego Parlamentu Europejskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

Wybory, w których o coś szło

Piotr Semka

To były bardzo zaskakujące wybory. Jakie przyniosły wnioski?

FOT. ADOBE STOCK

PiS jest zaskoczony skalą własnego sukcesu, Koalicja Europejska – skalą swojej porażki. Wiosna zdziwiona jest brakiem szerszego odzewu ze strony „progresywnych elit", a Konfederacja skonfundowana tym, że sympatyzujący z nią młody elektorat nie poszedł do urn.

A jednak z tych wyborów można wyciągnąć parę wniosków. I wszystkie one mogą wskazać, jak będzie wyglądać kolejna batalia jesienią.

SPÓR O COŚ

Po pierwsze, w Polsce nie toczy się walka na niby. Od paru lat publicyści z różnych stron ideowej sceny – od Klubu Jagiellońskiego poprzez Nową Konfederację do zwolenników Roberta Biedronia – powtarzają tezę, że rywalizacja między PiS a PO to jedynie walka dzieci kłócących się w piaskownicy. Że jest to jałowa kontynuacja przebrzmiałych sporów z lat walki z komuną czy sporów o Okrągły Stół.

Wszystko to nie tłumaczy jednak tego, dlaczego PiS w ostatnich wyborach zdołał tak mocno zaktywizować elektorat konserwatywny, szczególnie ten mieszkający na wsi. Rutynowe wytłumaczenie to siła „500+" i kolejnych podarunków socjalnych rządzącej partii. Przebieg kampanii jednak tego nie potwierdza.

Publicysta „Polityki" Rafał Kalukin próbując po wyborach zrozumieć tę zagadkę, napisał: „Jeśli mimo wszystko wierzyć sondażom, to zaprezentowany na początku kampanii pakiet obietnic najcięższego kalibru w postaci »piątki Kaczyńskiego« przez długi czas co najwyżej stabilizował pozycję PiS. [...] Przez niemal całą kampanię poparcie dla PiS jedynie lekko falowało. I dopiero w wyborach partia Kaczyńskiego rozbiła bank". Kalukin trafnie wskazuje: „Na rozmiarach zwycięstwa PiS zaważyło niemożliwe do przewidzenia, być może nawet irracjonalne pobudzenie". Jakie? Tego autor „Polityki" już nie wyjaśnia.

Wydaje się, że tym „non possumus" była sekwencja wydarzeń między profanacją obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej a parodią procesji Bożego Ciała na Paradzie Równości w Gdańsku.

Szczególnie silnie musiały zapaść w pamięć niemal powszechny rechot liberalnych elit ze sprzeciwu ludzi wierzących wobec wymalowania tęczy na aureoli NMP, perfidne deklaracje np. Rafała Trzaskowskiego w stylu „mnie to wcale nie oburza" i wreszcie wyzywające zapowiedzi: „Jak tylko wrócimy jesienią do władzy – to w ogóle zniesiemy zapis o ochronie uczuć religijnych".

Symboliczne jest, że dzień wyborów 26 maja zbiegł się z Dniem Matki. Polscy katolicy wystąpili w obronie czci swej Matki, używając najskuteczniejszej broni – kartki wyborczej. I nie musiało to stać w sprzeczności z uznaniem, że istniał i istnieje problem pedofilii w Kościele.

Jedno to grzechy Kościoła, druga sprawa to wykorzystujące ten kryzys ataki na wiarę. Ta masowa reakcja pokazuje, że na razie Polska nie jest drugą Irlandią, w której agresywna laicyzacja nie napotyka oporu. Być może to efekt doświadczenia komunizmu, które pozwala np. w atakach na abp. Marka Jędraszewskiego zauważyć podobieństwa z akcjami władz PRL przeciw biskupom.

Tak czy inaczej okazało się, że konserwatywny elektorat nie przyjął tezy, iż spór PiS-PO nie toczy się o nic ważnego. Wręcz przeciwnie – to było zrozumienie, że wybory europejskie to ważny wstęp do elekcji jesienią, która zadecyduje, jak będą wychowywane nasze dzieci i na jakie profanacje będziemy zmuszeni bezsilnie patrzeć. Tak samo jak w 2015 r., gdy Polacy zrozumieli, że stawką wyborów jest masowa imigracja. Znów na chwilę poczuliśmy tę iskrę mobilizacji i porozumienia bez słów. To dlatego do urn poszły miliony, które w eurowyborach w 2014 r. siedziały w domu.

PRACA I JEJ EFEKTY

Po drugie, PiS wykonał sam wiele cichej i mało widocznej pracy w celu uzy-

eprasa.pl 41c41ae693

skania sukcesu i dopiero wtedy doczekał się impulsu dodatkowego poparcia.

Napoleon przed podpisaniem kolejnej nominacji generalskiej zawsze pytał, czy dany kandydat ma szczęście. Pod tym określeniem cesarz Francuzów nie rozumiał ślepego losu. Uważał, że to, co nazywane bywa uśmiechem losu, to wynik sumy drobnych nawyków, które pomagają w sytuacjach kryzysowych. Tak samo teraz zadecydowała o wygranej synergia mobilizacji elektoratu konserwatywnego z dobrze zaplanowaną koncepcją kampanii.

Mało kto zauważa, że z wolna przynosi efekt prowadzona od 2017 r. ciężka praca na spotkaniach PiS w tysiącach miejscowości Polski powiatowej i wiejskiej. Taka taktyka prowadzona latami przynosi efekty, które w marketingu nazywa się „lojalnością konsumencką". Gdy przyjazd rozpoznawalnych postaci PiS do danej miejscowości następuje po raz trzeci czy czwarty – poczucie docenienia u wyborców skłania ich do „lojalnościowej" decyzji wyborczej.

Jednak równie ważne dla PiS jest realizowanie zagarniania elektoratu PSL – naturalnej rezerwy głosów. To razem z pojawieniem się grupy wyborców, którzy wiążą swój głos z szansami na przetrwanie programu „500+" – daje efekt poszerzania własnej puli żelaznych wyborców. Takiej samej, jaką miał Adenauer w latach 50. dla CDU i jaką miała Margaret Thatcher dla torysów w latach 80.

Dopiero na tym mocnym fundamencie PiS reagował na wydarzenia niespodziewane. Tak było w czasie strajków nauczycieli – gdy rząd szybko zrozumiał, że chodzi o sparaliżowanie matur, i znalazł sposoby, by egzaminy odbyły się wszędzie bez zakłóceń. Tak było w czasie szoku wywołanego filmem braci Sekielskich, gdy PiS potrafił szybko zadeklarować, że będzie walczył z pedofilią, gdziekolwiek byłoby jej siedlisko. I tak było w czasie niedawnych podtopień, gdy premier Morawiecki był „w siedmiu miejscach naraz". A resztę robiły już błędy rywali. KOD-owski styl bycia części nauczycieli czy zacietrzewienie autorów sensacji na temat Srebrna Tower czy działki Morawieckiego.

I jeszcze jedno. Ta kampania odczarowała mit, że jeśli PiS ma wygrać, to Jarosław Kaczyński musi trzymać się na zapleczu. Nie, tym razem to prezes wziął na siebie najważniejsze konflikty. Spór z Konfederacją, jasny przekaz, że przed karą za pedofilię nie chroni sutanna, a także obrona Kościoła. Po tej kampanii staje się jasne, że jeśli Prawo i Sprawiedliwość wygra jesienią wybory, to sam prezes stanie na czele rządu.

POMOCNA OPOZYCJA

Po trzecie, porażka Konfederacji i słaby wynik Wiosny pokazały, że tani makiawelizm i oddziaływanie na emocje słabo się sprzedają.

Działanie na emocje wprost reklamował jako polityczną metodę jeden z liderów Konfederacji – Sławomir Mentzen. Dzisiaj już wiemy, że taki sposób myślenia o „pięciu wrogach – Żydach, homoseksualistach, aborcji, podatkach i Unii Europejskiej" – nie daje sukcesów.

Republikanie walili w PiS na odlew (TVP odwzajemniała się ich przemilczaniem), szczególnie podkreślając sprawę ustawy 447. Mieli rację, że partia Kaczyńskiego nie chce o tym mówić, ale wykorzystywali też to, że prowadząc delikatną grę z Amerykanami o Fort Trump, nie mogli wielu rzeczy wyciągać na jaw. Zwolennicy Konfederacji zaczęli też używać języka wprost antyżydowskiego („Polska to nie Polin"), co budzi na świecie złe wrażenie. Można spierać się o to, na ile jest to sprawiedliwe, ale taka jest rzeczywistość, która nakazuje umiar. Konfederaci tego umiaru nie mieli.

Nieco lepiej poradziła sobie Wiosna Roberta Biedronia – minimalnie przeszli przez próg wyborczy, ale jak na ich ogromne ambicje to mało. Ten projekt wymyślony przez takich PR-owców jak Jakub Bierzyński – miał być cudownym wehikułem politycznym, który zepchnie w cień Koalicję Europejską. Wielkie nadzieje wiązał z nią sam Frans Timmermans.

Stało się to, co zapowiadałem parę miesięcy temu. Robert Biedroń był tej partii największym kapitałem i stał się jej największym obciążeniem. Nie miał cierpliwości do kwestii socjalnych, za to uwielbiał uderzać w Kościół. A przy okazji wsadził na jedynkę na Dolnym Śląsku życiowego partnera. Nawet lewicowa „Polityka" określiła w końcu Wiosnę jako „organizację wodzowską z elementami sekty, wspieraną przez agresywny fanklub w mediach społecznościowych".

Po czwarte, kampania do europarlamentu przejdzie do historii jako przykład na to, jak duże partie skupione w Koalicji Europejskiej były niewolnikami radykalizmu wspierających ją „Gazety Wyborczej" i grup radykalnych intelektualistów. KE bardzo szybko podjęła hasła LGBT i wojny z Kościołem narzucone przez „Gazetę Wyborczą". Szpica rewolucji z Czerskiej uznała za pewnik, że film braci Sekielskich wywoła falę antyklerykalizmu, która zmiecie zarówno PiS, jak i Kościół. Błędem Schetyny było też bezwarunkowe poparcie dla strajku nauczycieli, który nie zyskał poparcia Polaków. Czas włożony w strajk ZNP „pożarł" bezcenny dla KE czas w środkowej części kampanii.

Po piąte, wreszcie – ostatnie wybory są dowodem na to, jak demoralizująca dla każdego obozu politycznego jest sytuacja posiadania szefa-nieszefa. Nie wiadomo, kto miał być twarzą opozycji. Walczący na co dzień Schetyna czy zjawiający się co pewien czas Donald Tusk.

Jego pozycja kogoś, kto radzi i pojawia się na wiecach, ale za nic nie odpowiada – okazała się dla opozycji zabójcza, a i samemu Tuskowi nie posłużyła. A postawienie przez „Donka" na Leszka Jażdżewskiego jako delfina okazało się katastrofą. Nic dziwnego, że Dorota Wellman cedzi dziś na temat Tuska mściwe słowa: „Niech nie siodła konia. [...] Nie ma sensu myśleć o tym, że będzie zbawcą narodu. [...] Tusk to nie Piłsudski".

Porażka wyborcza nie pomoże szefowi Rady Europejskiej w odpaleniu 4 czerwca w Gdańsku nowego pomysłu – listy do Senatu pod patronatem swoim i prezydentów największych polskich miast. Interesy włodarzy miast bywają jednak różne od interesów walki politycznej. W czasie strajku nauczycieli obiecywano, że stracone w czasie protestu pieniądze zrekompensują duże miasta. Teraz wezwania szefa ZNP Sławomira Broniarza do przyspieszenia o trzy miesiące wypłaty podwyżek, które miały wynagrodzić straty, gospodarze największych miast puszczają jak dotąd mimo uszu. A w radach miejskich pojawiają się już glosy, że na jawnej wojnie z rządem miasta mogą sporo stracić.

IDZIE JESIEŃ

PiS wygrał. Teraz jedyne, co może mu zaszkodzić, to zawrót głowy od sukcesów. PiS nadęty to PiS słaby. W październiku 2018 r. zmobilizowały się duże miasta na rzecz kandydatów Platformy. Teraz zmobilizowała się wieś na rzecz PiS. Kto powtórzy ten manewr jesienią?

I jak zwykle nikt nie wie, jakie niespodziewane wydarzenie wyznaczy rytm nowej kampanii. „Nie o górę się potkniesz, lecz o kamień" – mówi stare hinduskie przysłowie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Koniec świata liberałystokracji

Rafał A. Ziemkiewicz

Polska „klasa panująca" szamocze się w obliczu nieuchronnego zmierzchu

Wystarczyło kilka powyborczych dni, by politycy „totalnej opozycji" rozwinęli rozliczne i niemal podręcznikowe „strategie wyparcia". PiS wygrał tylko o włos – zapewniła „Gazeta Wyborcza", wynik Koalicji Europejskiej byłby gorszy, gdyby tworzące ją partie szły osobno – ogłosiła Katarzyna Lubnauer, w każdym innym kraju UE, no, poza Węgrami, z takim wynikiem Koalicja byłaby zwycięzcą wyborów – pocieszył Sławomir Neumann. A Dominika Wielowieyska z „GW" policzyła, że opozycja wygrała, trzeba tylko zsumować wyniki KE i Wiosny.

Wiele energii zużywają salony na wytłumaczenie sobie, że głosy oddane na PiS są mniej ważne od tych oddanych na „ludzi rozumnych" – bo „ciemni ludzie głosują tak, jak każą im księża" i ich głosy zostały „kupione". Publicysta „Gazety Wyborczej" posunął się nawet do publicznego wygrażania PiS i jego wyborcom art. 250 Kodeksu karnego: „Kto udziela korzyści majątkowej osobie uprawnionej do głosowania, aby skłonić ją do głosowania w określony sposób… Kto przyjmuje korzyść majątkową… etc.". Krystyna Janda zamieściła karykaturę, na której polityk potrząsa nad klęczącą staruszką banknotem, krzycząc: „Daj głos!".

„PiS sfałszował wybory, bo do kampanii zaangażował organy państwa, przekupił wyborców naszymi pieniędzmi i za nie podzielił kłamliwie społeczeństwo na »prawdziwych Polaków«, którzy bronią wiary narodowej przed obcą »opcją niemiecką, Żydami i pedałami«" – to znowu jedna z „analiz" płk. Mazguły, przy okazji konstatującego, że skutkiem wyborów jest „sytuacja rewolucyjna".

Można by długo cytować podobne wypowiedzi sfrustrowanych liderów antypisowskiej opinii, dających upust pogardzie dla „niewykształconych" wyborców za to, że znowu ich zawiedli, i zarazem odmawiających przyjęcia tego zawodu do wiadomości. Na ich tle banalne skądinąd stwierdzenie byłego ministra Bartłomieja Sienkiewicza, że podstawowym warunkiem przyszłej wygranej opozycji jest przyjęcie przez nią do wiadomości, że jak na razie przegrywa, lśni niczym brylant. Jednak tego rodzaju uwagi wydają się całkowicie odosobnione.

CORAZ BARDZIEJ ODKLEJENI

Chyba nie miałoby sensu tłumaczenie ogarniętym frustracją salonom, że – mówiąc potocznie – odleciały już kompletnie od rzeczywistości. Że np. zarówno składanie przedwyborczych obietnic, jak i tzw. transfery społeczne to chleb codzienny demokracji, której rzekomo bronią – i nawet jeśli obietnice są bez pokrycia, a transfery motywowane bardziej interesem partii rządzącej niż państwa, to jest cały kosmos pomiędzy tym a „fałszowaniem wyborów"

eprasa.pl 41c41ae693

czy też „nakłanianiem do głosowania w określony sposób poprzez proponowanie korzyści majątkowych lub osobistych" w rozumieniu Kodeksu karnego.

Byłoby też jak grochem o ścianę tłumaczenie salonom, że PiS zachowuje się po prostu racjonalnie, zgodnie z zasadami demokratycznej polityki. Poszerza swój elektorat, określając grupy docelowe i znajdując sposoby pozyskiwania ich jedna po drugiej. To podstawa marketingu, nie tylko politycznego. Tymczasem opozycja i jej media postanowiły funkcjonować w paradygmacie moralizatorskim – ich aktywność wyczerpuje się na udowadnianiu, że PiS „nie jest godny" sprawowania władzy. Że postępuje nieetycznie („kupuje" głosy, „wykorzystuje aparat państwa") i że politycy PiS są niemoralni („prezes-deweloper", premier „przepisał na żonę działkę", ministrowie „uciekający do Brukseli" etc.). Jest to pozbawione sensu już nawet nie ze względu na oczywistą dla każdego obłudę moralizatorów, których formacji można by postawić analogiczne, a znacznie silniej udokumentowane zarzuty. Jest to pozbawione sensu przede wszystkim dlatego, że dla ludzi wybory to nie casting na świętych, tylko sprawa praktyczna. Wszyscy politycy coś tam mają za uszami, wszyscy coś tam załatwiają rodzinom i znajomym, ale chodzi o to, żeby wybrać spomiędzy nich takich, którzy przyczyniają się do rozwiązywania naszych problemów i z których będziemy mieć jako obywatele więcej pożytku.

Gdy więc PiS na kolejnych konwencjach wyborczych przedstawiał następne konkretne propozycje dla kolejnych grup społecznych i regionów – PO i jej koalicjanci wszędzie powtarzali, że PiS jest zły, zagraża demokracji i wyprowadza Polskę z Europy wprost w objęcia Putina. A zmuszeni, by jakoś ustosunkować się do kolejnych PiS-owskich „piątek" i „plusów", potępiali pryncypialnie rozdawnictwo i zapewniali, że go nie zaniechają, a nawet, jeśli tylko Polacy na nich zagłosują, rozdadzą im jeszcze więcej. Na dodatek, jakby moralną misję odsunięcia od władzy PiS uznała opozycja za niedorastającą do jej ambicji, zabrali się jeszcze do przerabiania „polskiego ciemnogrodu" na kraj „prawdziwie europejski", oczywiście zakładając, że europejskość mierzy się stopniem akceptacji dla LGBT i wyrugowania z przestrzeni publicznej „religijnych zabobonów".

Fakt, że pomimo to Koalicja Europejska i Wiosna dostały razem tyle samo głosów co PiS, można uznać za fenomen i wyjaśnić tylko siłą plemiennych emocji, spajających elektorat przepełniony postkolonialną nienawiścią do prawicy, Kościoła i „wiochy".

TYPOWA ABERRACJA

Gdyby irracjonalne zachowanie lewicowo-liberalnych salonów było polską osobliwością, można by je uznać za obciążenie dziedziczne. Pomagdalenkowa elita czuje się spadkobiercą tradycji inteligenckiej, a nie będąc zdolną do odziedziczenia tego, co w jej etosie było istotne, przejęła jej śmiesznostki – w tym skupianie się zamiast na rzeczach praktycznych, na orzekaniu o słuszności i elegancji oraz zastępowanie rozumienia rzeczywistości pouczaniem jej, jaka wedle powyższych kryteriów być powinna.

Tylko że jeśli spojrzeć szerzej – wszystkie aberracyjne zachowania tracących „rząd dusz" elit III RP okazują się typowe. Proszę zobaczyć choćby wściekliznę amerykańskiej lewicy, próbującej uparcie jakoś zdyskredytować Donalda Trumpa. Po tym, jak prowadzone przez dwa lata z ogromnym rozmachem śledztwo komisji Muellera wykazało całkowity brak przesłanek do „spisku z Putinem", liberalne media oświadczyły, że „fakt, iż nie udało się znaleźć niezbitych dowodów, nie dowodzi, że ich nie ma", a demokraci wszczęli kolejne śledztwo, zarzucając Trumpowi… mataczenie w śledztwie Muellera. Prawnik, który nadał rozgłos rewelacjom gwiazdki porno, został skazany za próbę wyłudzenia, kłamstwo udowodniono też kobiecie, która rzuciła potwarz na sędziego Kavanaugha etc. – i wszystko to w najmniejszym stopniu nie zmniejsza zaciekłości w miotaniu kolejnych oskarżeń, zupełnie tej samej, z jaką „Gazeta Wyborcza" próbuje „wstrząsnąć" opinią publiczną „aferami" spółki Srebrna czy działki Morawieckiego. I zupełnie jak w Polsce fakt, że z każdym kolejnym oskarżeniem, każdym kolejnym celebrytą wywrzaskującym swą nienawiść do prezydenta jego popularność rośnie, nie daje politycznej opozycji, jej mediom ani salonom ani trochę do myślenia.

> **Ta upadająca elita wywiera i jeszcze przez jakiś czas wywierać będzie wpływ na dyskurs publiczny. I jest to wpływ iście orwellowski**

Nie inaczej jest przecież w Europie – czy mówimy o stosunku „elit" do Salviniego, do Le Pen czy do AfD, powtarzają się dokładnie te same zachowania. Wyparcie, pogarda, frustracja i przede wszystkim niezdolność intelektualnego zmierzenia się z wyzwaniem, uparte trwanie w prymitywnym, wyższościowym dyskursie o „populistach" i „powracającej fali faszyzmu", wykrzykiwanym tylko coraz bardziej radykalnie.

DOGORYWANIE

Bardzo przypomina to zachowania dawnej arystokracji, niepotrafiącej na przełomie wieków XIX i XX poradzić sobie z szokiem, jakim było wymawianie jej przez społeczeństwa szacunku i posłuszeństwa, do którego były przyzwyczajone. Pouczająca może tu być lektura szkicu Anny Applebaum, reklamowanego u nas jako „esej, który zachwycił Baracka Obamę". Zwłaszcza gdy pisze ona o sprawie Dreyfusa, niezdolna zauważyć, jak bardzo sama powiela odruchy i schematy myślowe dawnych „antydreyfusistów".

Okazało się, że nowy, demokratyczny porządek, wybudowany na gruzach tamtego świata, wytworzył podobną w swych zachowaniach „klasę panującą". Oczywiście, ustępującą prawdziwej arystokracji kapitałem społecznym, ale dziedziczącą jej gorsze nawyki, podobnie jak u nas postpeerelowska „inteligencja pracująca" odziedziczyła ograniczenia tej dawnej, prawdziwej inteligencji Żeromskiego i Prusa.

Pozwoliłem sobie niedawno tę warstwę, szamoczącą się właśnie w obliczu zmierzchu, w jednoczesnym strachu i pogardzie dla „populizmu", nazwać liberalistocracy. Na polski przełożyłbym to „liberałystokracja" (a może nawet „liberałystokraty?"). Jakkolwiek ją nazywać, ta upadająca elita wywiera i jeszcze przez jakiś czas wywierać będzie wpływ na dyskurs publiczny. Jest to wpływ przewrotny, iście orwellowski, bo za jej sprawą zanegowany przez wyborców system, który w ostatnich dziesięcioleciach niepostrzeżenie z demokratycznego zmienił się w oligarchiczny, wciąż nazywany jest „demokracją liberalną" – podczas gdy próby powrotu do demokracji etykietowane są jako „populizm" czy nawet „faszyzm" i rzekome zagrożenie. Zagrożeniem są w istocie – ale nie dla społeczeństw, tylko dla warstwy, która poczuła się „oświecona" i zwyczajnie „lepsza".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. CZAREK SOKOŁOWSKI/AP/EAST NEWS

Fenomen Beaty

eprasa.pl 41c41ae693

Kamila Baranowska

Ponad pół miliona głosów, czyli absolutny rekord w skali kraju. Beata Szydło po raz kolejny przypomniała swojej partii o tym, jak wielki kapitał polityczny posiada. I jak bardzo jest PiS potrzebna

Była premier uzyskała 525 811 głosów w okręgu obejmującym województwa małopolskie i świętokrzyskie. Zdobyła więcej głosów niż ruch Kukiz'15 w skali całego kraju, co dało asumpt do żartów, że była premier samodzielnie jest piątą siłą polityczną w Polsce.

Żarty żartami, ale wynik Beaty Szydło zrobił wrażenie zarówno na jej sympatykach, jak i przeciwnikach. Zrobił wrażenie także na prezesie PiS Jarosławie Kaczyńskim, który dwukrotnie składał byłej premier gratulacje: raz podczas wieczoru wyborczego, gdy podano wyniki sondażowe, i drugi raz – już gdy znany był ostateczny wynik, który okazał się jeszcze lepszy od sondażowego.

NICZYM GWIAZDA ROCKA

Najmniej zaskoczeni wynikiem Szydło wydają się jej najbliżsi współpracownicy, którzy obserwowali z bliska jej spotkania z wyborcami i to, jakie wzbudza reakcje.

– Mieliśmy wrażenie, jakbyśmy podróżowali z gwiazdą rocka – relacjonuje jeden z jej współpracowników. – Każdy chciał uścisnąć rękę, zrobić zdjęcie, wziąć autograf, a ona cierpliwie ściskała te dłonie, robiła zdjęcia i rozdawała autografy, z każdym zamieniając dwa słowa – dodaje.

Bo spotkania z ludźmi to specjalność Beaty Szydło. Zawsze jest na nich otwarta, uśmiechnięta i empatyczna. Politycy z nią współpracujący przyznają, że od 2015 r. wiele się nauczyła. Ale są też rzeczy, których wyuczyć się nie da – jak to, że Beata Szydło od początku była i jest postrzegana przez wyborców nie jako polityk z Warszawy, tylko jako zwyczajna Beata, taka sama jak oni. W tej roli wypada bardzo naturalnie, nie bez powodu mówią o niej „nasza Beata".

Jeden z jej współpracowników opowiada, jak pod koniec kampanii podczas wizyty na terenach powodziowych Szydło, stojąc w kaloszach, rozmawiała z tamtejszymi kobietami, które skarżyły się na to, że za chwilę, jak opadnie woda, będzie plaga komarów. – To trzeba wapnem wysypać i nie będzie komarów. U nas zawsze tak się robiło – miała odpowiedzieć Szydło. Żaden marketingowiec nie wymyśliłby lepszej reakcji.

Zdaniem jednego z naszych rozmówców z PiS dzisiaj tak dobry kontakt z ludźmi w bezpośrednich spotkaniach ma tylko dwoje polityków w Polsce. To Beata Szydło i Andrzej Duda. Jarosław Kaczyński, mimo że jest dla wyborców PiS politykiem ważnym i w dużej mierze to on odpowiada za ich masową mobilizację w tych wyborach, takich relacji z wyborcami nawiązywać nie potrafi.

> **Najmniej zaskoczeni wynikiem Szydło wydają się jej najbliżsi współpracownicy, którzy obserwowali z bliska jej spotkania z wyborcami i to, jakie wzbudza reakcje**

Co ciekawe, niemal na każdym spotkaniu wyborczym z byłą premier pojawiała się kwestia jej przemówienia w Parlamencie Europejskim, w którym broniła Polski przed oskarżeniami o łamanie demokracji i brak praworządności. – Dziwiło mnie, że ludzie prawie na każdym spotkaniu dziękują jej za wydarzenie z 2016 r., że tak to zapamiętali – opowiada jeden ze współpracowników byłej premier. To jeden z paradoksów polskiej polityki – coś, co dla warszawskich mediów było powodem raczej do żartów i kpin z premier, dla zwykłych ludzi okazało się wydarzeniem godnym pochwały i zapamiętania.

ZADOŚĆUCZYNIENIE

Sama kampania do europarlamentu była dla Beaty Szydło dość specyficzna, bo w sumie trwała krócej, niż powinna. Jako wicepremier odpowiedzialna za sprawy społeczne na ponad dwa tygodnie została oddelegowana do prowadzenia negocjacji ze strajkującymi nauczycielami, co zaburzyło rytm jej spotkań wyborczych. Na finiszu zaś zawiesiła kampanię ze względu na powódź (choć opozycja zarzucała jej, że spotkania z poszkodowanymi to przecież czysta polityka). Ludzie Szydło podkreślają jednak, że zaprocentowała jej wcześniejsza duża aktywność choćby w wyborach samorządowych. Była premier mocno się w nie zaangażowała, wspierając kandydatów w Małopolsce i Świętokrzyskiem.

– Jeździła wtedy przez dwa miesiące non stop – przyznaje nasz rozmówca z PiS. – Równie dużą rolę odegrały, o czym dziś mało kto już pamięta, objazdy, które prezes zarządził po ogłoszeniu tzw. piątki Kaczyńskiego, wiosną ubiegłego roku. Wtedy od kwietnia do lipca Szydło spotkała się z setkami osób w południowo-wschodniej Polsce – opowiada.

Chociaż w PiS pojawiają się też inne głosy, studzące nieco emocje i wyliczające, że wynik Szydło to w dużej mierze zasługa specyfiki okręgu, w którym startowała, a który jest dla jej partii łaskawy. Jeden z naszych rozmówców z PiS przypomina, że w wyborach do sejmików w obu województwach partia Jarosława Kaczyńskiego zdobyła łącznie 800 tys. głosów i było wiadomo, że lider listy w wyborach europejskich weźmie przynajmniej połowę tych głosów. – Szydło dostałaby ich jeszcze więcej, gdyby nie Patryk Jaki, który zrobił dobrą kampanię i miał bardzo dobry wynik z dalszego miejsca – dodaje.

Tak czy owak, niewątpliwy sukces wyborczy Beaty Szydło sprawił, że w mediach ruszyły spekulacje co do jej politycznej przyszłości i ambicji. Serwis rp.pl opublikował nawet sondaż, badający, czy Szydło nie byłaby lepszym kandydatem w wyborach prezydenckich od Andrzeja Dudy. Zdecydowana większość osób wskazała jednak, że PiS powinien postawić na urzędującego prezydenta. Beata Szydło w kilku wywiadach udzielonych już po wyborach zapewnia jednak, że przez najbliższe pięć lat jej plany związane są z Brukselą. – Na pewno za rok będę wspierała Andrzeja Dudę w jego kampanii – mówi w rozmowie z Onetem. Przez najbliższe pięć lat Beata Szydło będzie pracować w Parlamencie Europejskim. – Mam nadzieję, że uda mi się zrobić wiele dobrego dla Polski – dodaje.

Nieoficjalnie wiadomo, że Beata Szydło liczy na to, że partia doceni jej

eprasa.pl 41c41ae693

wysiłek i wynik wyborczy i nagrodzi ją rekomendacją na ważne stanowisko. – Trudno, by po tak spektakularnym zwycięstwie była tylko szeregowym europosłem – mówi jeden z jej stronników w PiS. – Ale różnie może być, bo na stanowiska chętnych jest wielu – dodaje. Dziennikarze spekulują, czy Beata Szydło mogłaby objąć np. funkcję unijnego komisarza lub szefa Parlamentu Europejskiego. Jedna i druga byłaby dla niej dużym wyróżnieniem. – I zadośćuczynieniem za doznane krzywdy – dodaje jeden z ministrów, których pytamy o Szydło. Mówi, że duża część partii w ten sposób zareagowała na sukces Szydło – właśnie jak na sprawiedliwość dziejową.

SPRAWDZONA W BOJU

Rzeczywiście, Szydło odchodziła ze stanowiska premiera w grudniu 2017 r. w niezbyt miłych dla niej okolicznościach. Chwilę po tym, jak ostro broniła dokonań swojego rządu w kontekście zgłoszonego przez opozycję wotum nieufności, musiała niespodziewanie odejść. O tym, że w fotelu premiera zastąpi ją nie sam Jarosław Kaczyński, lecz Mateusz Morawiecki, z którym była w konflikcie, dowiedziała się jako jedna z ostatnich. – Zachowała się z wielką klasą i nie dała po sobie poznać nawet przez chwilę, że czuje się jakkolwiek urażona. Mało który polityk by tak potrafił, bo większość z nas ma mocno przerośnięte ego – mówił nam wówczas jeden z członków rządu.

Jej współpracownicy w nieoficjalnych rozmowach przyznawali jednak, że źle zniosła całą tę sytuację, obawiali się nawet, że może zechcieć porzucić politykę na dobre.

– Szydło była atakowana z każdej strony: przez nieprzychylne PiS media, opozycję, Komisję Europejską, Komisję Wenecką, straszona Trybunałem Stanu i Bóg wie czym jeszcze, a mimo to dawała radę – mówił nam dwa lata temu jeden z polityków PiS. Dla Kaczyńskiego był to wtedy sygnał, że warto mieć ją w rezerwie, bo takich ludzi u swego boku – sprawdzonych w boju i pewnych – wcale nie ma wielu. Szydło tamten test z lojalności zdała z wyróżnieniem, co do dziś pamięta jej prezes Kaczyński. Ma do niej duże zaufanie.

Nie naruszyła go nawet głośna sprawa nagród dla członków rządu Szydło. Przeciwnicy Szydło wewnątrz partii byli święcie przekonani, że tamta historia trwale położy się cieniem na wizerunku byłej premier. Zwłaszcza że jej słowa o tym, że nagrody ministrom po prostu się należały, wracają jak bumerang, co jakiś czas chętnie przypominane przez polityków opozycji. Wybory pokazały jednak, że wyborcy PiS zapomnieli Beacie Szydło tamtą sprawę. Albo wybaczyli.

Ona sama dziś może odetchnąć z ulgą. Znów jest w pierwszej politycznej lidze, bo nikt w PiS nie wyobraża sobie dziś kolejnej kampanii bez niej. Są w partii poważne obawy, że nowe obowiązki mogą ograniczyć jej kampanijne możliwości, ale i tak wszyscy liczą, że pomoże partii mobilizować wyborców, w czym – jak pokazała – jest skuteczna.

Zresztą swoją kampanijną skuteczność pokazała już wcześniej w 2015 r., kiedy najpierw stanęła na czele sztabu mało rozpoznawalnego kandydata PiS na prezydenta, czyli wówczas europosła Andrzeja Dudy, a później sama została kandydatką partii na premiera.

Beata Szydło znów jest w pierwszej politycznej lidze, bo nikt w PiS nie wyobraża sobie dziś kolejnej kampanii bez niej

Od początku zdawała sobie sprawę, że nie ma kampanijnego doświadczenia, i nie próbowała nikomu udowadniać, że jest inaczej. Jej współpracownicy to doceniali.

– Słuchała z uwagą pomysłów i uwag, nie wymądrzała się, ale jednocześnie bardzo szybko się uczyła – relacjonował nam już po zakończonej kampanii jeden z jej kolegów ze sztabu. – Wszyscy mówią, że Duda w trakcie tej kampanii przeszedł rewolucyjną przemianę. Beata też ją przeszła. Tak jak kampania niosła Andrzeja, tak niosła i ją. Nabrała pewności siebie, to widać – dodawał.

Sam Andrzej Duda tuż po ogłoszeniu wyniku drugiej tury wyborów, dziękując swoim współpracownikom, nazwał Szydło dobrym duchem tej kampanii.

Tamta kampania zrobiła z niej pełnokrwistego polityka. Z niczym niewyróżniającej się posłanki stała się pierwszoplanową postacią PiS. – Wiem, mówią, że jestem nudna i nijaka. Ale wolę być taka, uczciwie pracować niż budować karierę na fajerwerkach – tak komentowała w wywiadach swój dotychczasowy wizerunek, jaki kreślili jej partyjni koledzy.

LICZY SIĘ DRUŻYNA

Początkowo kariera w polityce nie była jej celem, nie planowała jej. Po ukończeniu etnografii na Uniwersytecie Jagiellońskim pracowała w zawodzie: w muzeach i ośrodkach kultury. Do polityki, tej na niższym, samorządowym szczeblu, weszła w 1998 r., gdy po raz pierwszy została burmistrzem Brzeszcz. Spodobało jej się, że ma wpływ na rzeczywistość, zyskała dużą lokalną popularność. W 2005 r. po raz pierwszy wystartowała w wyborach do Sejmu. Z listy PiS, na którą wciągnął ją Zbigniew Ziobro. Zabawne, że mało brakowało, a wylądowałaby na liście Platformy Obywatelskiej. Zablokować ją miał ponoć Paweł Graś, który startując z tego samego okręgu, nie chciał mieć konkurencji na liście. W wywiadach Szydło mówiła później, że „Pan Bóg ją wtedy uchronił od wejścia do Platformy".

Kiedy w 2010 r. w Smoleńsku zginęły Aleksandra Natalii-Świat (z którą Szydło się przyjaźniła) i Grażyna Gęsicka, posłanki odpowiedzialne za gospodarczy program PiS, partia potrzebowała kogoś, kto przejmie nadzór nad tematyką gospodarczą. Wzięła to na siebie Szydło. – Z Jarosławem Kaczyńskim poznawaliśmy się powoli. Przełomowy na pewno był 2010 r. Wtedy zaczęła się dla mnie ta wielka polityka, zostałam wiceprezesem partii i członkiem komitetu politycznego, stąd też relacje z prezesem stały się bliższe – wspominała w jednym z wywiadów.

Szydło lubi podkreślać, że polityka to gra zespołowa i najważniejsze w niej jest to, by drużyna grała razem i miała ten sam cel. Po ostatnich wyborach mówi podobnie. – Zawsze w pierwszej kolejności kieruję się dobrem całej drużyny, bo praca zespołowa popłaca. Wszystkie moje dotychczasowe polityczne osiągnięcia, sprawowane funkcje to efekt gry drużynowej. Wybory w 2015 r. wygraliśmy dlatego, że udało nam się stworzyć jedną drużynę. Teraz w wyborach europejskich powtórzyliśmy ten sukces – powiedziała Onetowi. – Jestem przekonana, że dzieląc kompetencje i zadania w Parlamencie Europejskim, również trzeba myśleć o zespole, a nie indywidualnych ambicjach – dodawała. Co bynajmniej nie oznacza, że Beata Szydło indywidualnych ambicji nie ma. Zresztą trudno ich nie mieć, gdy dostaje się ponad pół miliona głosów w wyborach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

Z Jarosławem Gowinem, wicepremierem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego
rozmawia Marcin Makowski

Zjednoczona Prawica prowadzi Polskę w dobrym kierunku

MARCIN MAKOWSKI: Przed niedzielą niektórzy politycy prawicy spodziewali się nieznacznej porażki, a tu prawie 7 punktów procentowych przewagi nad Koalicją Europejską. Niespodzianka?

JAROSŁAW GOWIN: Tak, bo od wielu miesięcy mówiłem, że choć frekwencja będzie wysoka, nawet powyżej 40 proc. to wynik wyborów rozstrzygnie przewaga 2–3 punktów. To zwycięstwo jest spektakularne, ale nie powinno skłaniać do pychy czy samozadowolenia. Jesienią będzie trudniej, bo stawką będą samodzielne rządy. Choćby dlatego, że nie ma w tej chwili żadnego środowiska politycznego, które mogłoby zostać naszym koalicjantem.

To dlatego Jarosław Kaczyński na wieczorze wyborczym kazał studzić emocje?

W dużej mierze tak. Skłamałbym, mówiąc, że przy Nowogrodzkiej nie strzelały korki od szampana, ale dzisiaj mamy nowy dzień i rozpoczynamy kolejną fazę czwórboju wyborczego. O ile porażkę wyborczą Konfederacji uważam za akt sprawiedliwości, o tyle porażkę ruchu Kukiz'15 przyjmuję ze smutkiem. To prawdopodobnie łabędzi śpiew środowiska politycznego, z którym znajduję wiele wspólnych poglądów i w którym pracuje wiele osób, które szanuję.

Mówi pan o braku koalicjantów. A co z możliwością „wyciągnięcia" PSL z Koalicji Europejskiej?

W momencie, w którym nasza rozmowa trafi do rąk czytelników, być może będzie już wiadomo, w którą stronę postanowili zmierzać ludowcy. Dzisiaj wydaje mi się, że otwarte są wszystkie opcje: pozostanie w KE, samodzielny start, ale zawarcie też formalnej koalicji wyborczej z PiS.

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Jest pan w dobrych relacjach z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Widział pan jego minę po ogłoszeniu wyników wyborów. Czy on już wie, że wobec niezadowolenia struktur partyjnych firmowaniem koalicji, która wyraźnie skręciła na lewo, jego funkcja prezesa partii może być zagrożona?

Na pewno człowiek o takiej wrażliwości moralnej nie czuje się komfortowo w szeregach KE, dla której bardziej reprezentatywne pod względem ideowym są skandaliczne zachowania z gdańskiego Marszu Równości niż inspirowanie się wartościami chrześcijańskimi. A jego przywiązanie do Kościoła jest głębokie i niekoniunkturalne. Do myślenia daje też krytyka, którą szef PSL skierował pod adresem Donalda Tuska, a także złośliwa replika tego ostatniego. Przypuszczam jednak, że Włodzimierz Kosiniak-Kamysz przetrwa polityczne trzęsienie zmieni.

Analizując wybory pod względem sumarycznej skali poparcia, PiS zyskał w stosunku do 2015 r. ponad 400 tys. nowych wyborców. Skąd przyszli, skoro miasta miały być nie do odbicia, a tzw. Polska B całkowicie zagospodarowana?

Na razie mogę tylko spekulować, ale myślę, że to grupa niejednorodna. Część nowych wyborców to osoby, które przekonały się do nas na skutek transferów socjalnych, część to ludzie zrażeni miałkością, radykalizmem światopoglądowym i knajackim antyklerykalizmem opozycji. Mam nadzieję, ale trzeba to potwierdzić badaniami, że duża grupa

eprasa.pl

nowych wyborców to po prostu ci, którzy docenili skuteczność naszych rządów. Jesteśmy liderem wśród krajów OECD pod względem tempa rozwoju gospodarczego, mamy rekordowo niskie bezrobocie, bardzo szerokie transfery społeczne przy jednoczesnym trzymaniu deficytu budżetowego w ryzach. Oczywiście nie wszystkie te osiągnięcia należy przypisać tylko naszym rządom, ale generalnie Zjednoczona Prawica prowadzi Polskę w dobrym kierunku. Jak widać, duża część społeczeństwa to docenia.

Jakie wnioski w takiej sytuacji powinna wyciągnąć opozycja? W 2015 r. stwierdzono, że za mało straszono konsekwencjami rządów Prawa i Sprawiedliwości. Czy dzisiaj nastąpią głębsza refleksja i przedefiniowanie priorytetów?

Po pierwsze, opozycja zamiast potępiać w czambuł wszystko, co robimy, powinna się zastanowić, czy w wielu sprawach po prostu nie mamy racji. Czy na pewno jest tak, jak twierdzi Krystyna Janda, a za nią legion obrażonych na społeczeństwo przedstawicieli samozwańczych elit, że przekupiliśmy Polaków socjalem? A może wielu Polaków widzi, że nasze rządy przynoszą korzyści im samym i całemu krajowi? Po drugie, opozycja nie wygra wyborów dopóty, dopóki będzie całkowicie wyjałowiona programowo. No i wreszcie koszmarnym błędem Platformy był gwałtowny zwrot w lewo, poddanie się dyktatowi marginalnych, w gruncie rzeczy, a przy tym skrajnie agresywnych środowisk LGBT. Ten zwrot pozbawił Platformę wielu umiarkowanych wyborców ze średnich i z małych miast. Niedawno przeglądałem badania na temat elektoratu PO, w których jedno pytanie dotyczyło stosunku do mnie. Okazało się, że o ile wyborcy wielkomiejscy wyrażali się bardzo krytycznie, o tyle mieszkańcy mniejszych ośrodków miejskich wystawiali mi bardzo pozytywne oceny… Myślę, że to są ludzie zawiedzeni lawirowaniem Grzegorza Schetyny.

Polska miasteczek i wsi wygrała te wybory dla PiS?

To bardzo trafne pytanie, bo jedną z licznych błędnych diagnoz, które stawiają liderzy KE, jest przekonanie, że zwycięstwo prawicy opiera się na elektoracie wiejskim. To nieprawda, jeśli spojrzy się na mapę powiatów. Okazuje się, że w wielu średnich ośrodkach miejskich wygraliśmy z opozycją z dużym zapasem. Wyzwaniem dla naszego obozu jest poszerzanie tego poparcia, przy jednoczesnym nieodwracaniu się do elektoratu wielkomiejskiego. Bo nawet jeśli jesteśmy w stanie osiągnąć samodzielną większość bez niego, to jest on wielkim zakumulowanym kapitałem intelektualnym, bez którego trudno sprawnie i dalekosiężnie rozwijać państwo.

Wspomniał pan o narracji antykościelnej, dominującej na finiszu kampanii. Dla wielu polityków i komentatorów dokument braci Sekielskich, wcześniej „Kler" i przemówienie Leszka Jażdżewskiego na Uniwersytecie Warszawskim miały być początkiem rewolucji. Nie wyszło. Dlaczego?

Zacznę od wspomnień. Na początku lat dwutysięcznych należałem do grupy świeckich i księży, którzy zabiegali o odwołanie abp. Juliusza Paetza. Ponieważ odbijaliśmy się od murów instytucji kościelnych, w pewnym momencie podjęliśmy dramatyczną dla nas decyzję, aby ujawnić sprawę w mediach. Obawialiśmy się, że idąc z tekstem do gazety, uruchomimy proces laicyzacji analogiczny do tego w Irlandii. Tymczasem reakcja opinii publicznej okazała się bardzo dojrzała i pokazała, że Polacy potrafią odróżniać Pana Boga od Kościoła, a w tym drugim odróżniać to, co jest jego istotą od zjawisk patologicznych.

> **Opozycja zamiast potępiać w czambuł wszystko, co robimy, powinna się zastanowić, czy w wielu sprawach po prostu nie mamy racji**

Czyli opozycja zachłysnęła się błędną koncepcją, że niechęć do Kościoła instytucjonalnego przełoży się na niechęć do wiary jako takiej, a w konsekwencji do konserwatywnych fundamentów prawicy?

Precyzyjnie pan to ujął. Wobec wstrząsającej wymowy filmu braci Sekielskich Polacy zachowali się równie dojrzale jak przy sprawie abp. Paetza. Zdecydowana większość katolików, jak pokazują badania, oczekuje od hierarchów katolickich samooczyszczenia, ale równocześnie ci sami ludzie co niedziela masowo podążają na mszę świętą. Nasza polska wiara, nawet jeśli jest mało konsekwentna i pogłębiona, jest bowiem głęboko zakorzeniona w społeczeństwie i trwała. Ktoś tego najwidoczniej nie wziął pod uwagę. Polacy udowodnili, że nie chcą żadnych rewolucji i wojen światopoglądowych.

Gdyby miał pan rozłożyć na czynniki pierwsze inne strukturalne przyczyny sukcesu PiS, jakby je pan zdefiniował? Pod koniec kampanii wydawało się przecież, że następuje seria wizerunkowych potknięć: strajk nauczycieli, publikacje wokół Srebrnej i Mateusza Morawieckiego, książki na jego temat itd.

Polacy, jak widać, ocenili nas za całokształt, czyli za w sumie sprawne rządzenie. Wizerunkowe potknięcia nie miały istotnego znaczenia, bo większość z nich była – mówiąc językiem potocznym – dęta. Dęta była seria publikacji dotyczących Jarosława Kaczyńskiego, dęta „afera" działki państwa Morawieckich.

Zatrzymanie kobiety za tęczową aureolę na wizerunku Matki Boskiej i wycofanie fotografii z jedzeniem bananów z Muzeum Narodowego również?

„Aferę bananową" najlepiej spuentował dowcip, który przeczytałem w Internecie. Jarosław Kaczyński modli się do Pana Boga: „Panie Boże, prosiłem Cię o niemądrą opozycję, ale nieźle pojechałeś po bandzie…". Mówiąc wprost – ludzie, którzy uważają, że główny problem Polski to nadanie parom homoseksualnym statusu małżeństwa, a szczytem nowoczesności jest zachłystywanie się ideologią LGBT, kompletnie rozmijają się z problemami i poglądami większości społeczeństwa.

Jak w tej całej mozaice ocenia pan decyzję Donalda Tuska, aby z otwartą przyłbicą na finiszu kampanii poprzeć Koalicję Europejską? To on jest dzisiaj jednym z największych przegranych wyborów?

Bez wątpienia. O ile od kilku lat powtarzałem, że w 2020 r. będzie chciał stanąć w szranki z Andrzejem Dudą, o tyle dzisiaj sądzę, że to mało prawdopodobne. Testem będzie to, co się wydarzy 4 czerwca w Gdańsku, bo wtedy szef Rady Europejskiej miał zainicjować swój projekt polityczny wystawienia wspólnej społeczno-partyjnej listy do Senatu. W obecnej sytuacji obstawiam, że rękawicy nam nie rzuci, bo o ile w jego interesie była nieznaczna porażka KE, osłabiająca Grzegorza Schetynę, o tyle jej realna skala pokazuje, że dla kogoś takiego jak Tusk nie ma przestrzeni, która dawałaby szansę na zwycięstwo wyborcze. A trzeba pamiętać, że Tusk jest niezwykle ostrożny i gra tylko w te gry, w które wygrywa.

Czy w tej sytuacji Grzegorz Schetyna utrzyma się na fotelu lidera opozycji?

eprasa.pl 41c41ae693

Jeśli założymy, że tylko były premier mógłby go pozbawić tego statusu, a to rozsądne założenie, to Schetyna siłą inercji zostanie tam, gdzie jest. Platforma przestała być dla Tuska łakomym kąskiem, dlatego do jesieni nie powinien kwestionować pozycji jej obecnego przewodniczącego, który nadal pozostaje sprawny w rozgrywkach wewnątrzpartyjnych i w pacyfikowaniu ewentualnych puczystów.

Przejdźmy zatem do Wiosny. Czy jej niższy od oczekiwanego wynik do europarlamentu świadczy o przelicytowaniu z programem lewicowo-liberalnym, a może po prostu o niedojrzałości politycznej Roberta Biedronia?

Robert Biedroń od początku wydawał mi się fenomenem czysto medialnym. Kreacją pustą w środku. Jedyną rzeczą, którą miał do zaoferowania, był – proszę wybaczyć sformułowanie – dość prostacki antyklerykalizm. Sześć punktów procentowych uzyskanych w najłatwiejszych dla niego wyborach to zapowiedź szybkiego zmierzchu tej formacji.

Patrząc na polityczne priorytety rządu, na pierwszy plan siłą rzeczy wysuwa się rekonstrukcja poszatkowanych gabinetów ministerialnych. Kim partia ma zamiar załatać dziury personalne?

Nie wciągnie mnie pan w te spekulacje, bo zawsze powtarzam, że rząd musi być jak grupa osłaniających swoje plecy komandosów. O personaliach może mówić tylko premier, natomiast jeżeli chodzi o ogólny kierunek na najbliższe miesiące, to uważam, że powinniśmy się skupić na skutecznym i pragmatycznym rządzeniu. Właśnie to po, aby przekonać do nas jak największą część elektoratu miejskiego.

Czy drogą do tego będzie zastąpienie znanych twarzy PiS nowym pokoleniem liderów? Odświeżenie wizerunku?

Spektakularne zwycięstwo nie wskazuje na potrzebę głębszych roszad personalnych i pokoleniowych. Być może do odmłodzenia rządu dojdzie dopiero po jesiennych wyborach, jeśli Polacy raz jeszcze nam zaufają.

Nie ma pan wrażenia, że skala sukcesu w ostatnich wyborach przykryła strukturalne problemy rządu, który na ostatniej prostej trawiony był konfliktami wewnętrznymi? W środowisku dziennikarskim wprost mówiło się o wojenkach frakcyjnych w Zjednoczonej Prawicy.

Po pierwsze, polityka nie jest domeną aniołów. Po drugie, w polityce ścierają się różne poglądy i uzasadnione interesy. W tym sensie każdy obóz rządowy jest wewnętrznie zróżnicowany, myślę jednak, że tym, co odróżnia nas od poprzednich ekip, jest duża umiejętność szukania kompromisu. Nawet jeżeli w niektórych momentach trochę trzeszczało i bokiem na siebie spoglądaliśmy, teraz jest moment, w którym wszyscy musimy wiosłować w tym samym kierunku.

Mówi pan o zgodnym kursie wewnątrz obozu. A czy panuje w nim zgoda co do tego, kto jest ojcem wyborczego zwycięstwa? Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki, a może ma ono matkę – Beatę Szydło?

Nie da się odpowiedzieć na to pytanie bez wymienienia obok siebie tych trzech nazwisk. Jarosław Kaczyński był główną twarzą kampanii, odczarowując mit mówiący, że z nim jako frontmanem PiS nie jest w stanie wygrywać. Te wybory oddemonizowały wizerunek prezesa, na co od dawna wskazywały sondaże zaufania. Druga osoba to posiadaczka najlepszego wyniku wyborczego w całej Unii Europejskiej, premier Beata Szydło. W tych wyborach, a wcześniej w negocjacjach ze strajkującymi nauczycielami dowiodła ogromnego potencjału politycznego. Niemniej, zwłaszcza w ostatnich dniach, gdy on sam i jego rodzina padli ofiarą brutalnych ataków, niezwykle istotną rolę odegrał premier Mateusz Morawiecki. Sądzę, że wielu wyborców podjęło decyzję o tym, na kogo oddać głos, porównując dwa obrazy: Morawieckiego w otoczeniu mieszkańców, strażaków, policjantów i żołnierzy walczących z powodzią oraz – na tych samych wałach – Schetyny kręcącego w garniturze spoty wyborcze.

Dlaczego mimo wszystko ten pierwszy obraz na finiszu kampanii chowano? Mateusz Morawiecki zniknął m.in. z „Wiadomości". Czy to ojciec sukcesu, do którego nie chciano się przyznawać dopóty, dopóki nie poznano jego skali?

Za bardzo pana cenię, aby udzielać odpowiedzi wymijających, dlatego na to pytanie nie odpowiem w ogóle.

Przejdźmy do spraw roszczeń żydowskich oraz amerykańskiej ustawy Just Act 447. Te wątki były głównym paliwem politycznym Konfederacji. Obawia się pan, że one wrócą podczas kampanii parlamentarnej?

Jeśli chodzi o Konfederację, to powinna ona skończyć w politycznym piekle za to, że – na szczęście nieudolnie – oparła kampanię na podkręcaniu nastrojów antysemickich. A antysemityzm, podobnie jak antypolonizm, jest rzeczą odrażającą. Co więcej, niezwykle szkodzi zagranicznemu wizerunkowi naszego państwa. Nazywając rzecz po imieniu, od dawna jest instrumentem osłabiania Polski przez rosyjską propagandę. Ci, którzy tego nie rozumieją, odgrywają – zakładam, że nieświadomie – rolę pożytecznych idiotów Moskwy. Nie chcę przez to powiedzieć, że problem restytucji mienia nie jest realny. Dobrze rozumiem obawy i oburzenie wielu rodaków, którzy nie mają niczego wspólnego z antysemityzmem. Jednak te osoby przekonał argument Jarosława Kaczyńskiego, że nie żadna ustawa, ale rządy Zjednoczonej Prawicy są najlepszą gwarancją, iż do żadnej restytucji nie dopuścimy.

Konfederacja powinna skończyć w politycznym piekle za to, że – na szczęście nieudolnie – oparła kampanię na podkręcaniu nastrojów antysemickich

Jakie priorytety postawi przed sobą rząd, myśląc o kampanii parlamentarnej? Jeśli w europejskiej było to rozbudowanie świadczeń socjalnych, to jakie asy pozostały w rękawie?

Uważam, że niezależnie od braku rezerw budżetowych nie ma obecnie oczekiwania naszych wyborców na nowe transfery. Powinniśmy się zatem skupić na poprawie jakości funkcjonowania aparatu państwowego – służby zdrowia, oświaty, rozwoju uczelni – czy coraz bardziej na problemie wysokości zarobków w sferze oświatowej.

Mówi pan: oświata i budżetówka. Czy to zapowiedź wyjścia naprzeciw żądaniom płacowym nauczycieli, którzy wrócą do strajku we wrześniu?

Strajk w oświacie i sposób, w jaki nasz rząd rozwiązał ten problem, jest jednym z głównych czynników zwycięstwa w wyborach. Dlaczego? Bo wyborcy oczekują silnych i zdecydowanych liderów, a my pokazaliśmy w tym sporze dobrze pojętą siłę. Uświadomiliśmy niektórym, że nie ustępujemy przed oczekiwaniami, które zagrażają stabilności budżetowej. Nie zmienia to faktu, że kontynuowanie reformy oświaty, być może również punktowa korekta tego, co zrobiliśmy w tej kadencji, będzie jednym z najważniejszych zadań na przyszłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Wszystko w rękach PiS

Piotr Gociek

W jakim miejscu cyklu koniunktury jest dziś PiS? Czy ma jeszcze rezerwy? Jakie błędy mogą mu odebrać wygraną w jesiennych wyborach?

Ileż to szklanych sufitów miało być nad partią Kaczyńskiego? Kolejne bariery pękały jednak szybko. Dzisiaj PiS zdobywa ponad 45 proc. w wyborach do europarlamentu, gromadząc więcej głosów niż w 2015 r. w wyborach do parlamentu krajowego. Czy to szczyt jego możliwości?

Nie patrzmy na procenty, lecz na liczby bezwzględne, na to, jak PiS doganiał i przeganiał PO. W roku 2011, w wyborach do Sejmu, przewaga partii Tuska nad partią Kaczyńskiego wynosiła 1,3 mln głosów. W roku 2014, podczas boju o europarlament, stopniała do 30 tys. głosów – przy niskiej frekwencji. W tym samym roku, gdy jesienią odbywały się wybory samorządowe, PiS wyszedł na prowadzenie i wygrał przewagą 70 tys. głosów. Tego prowadzenia nie oddał do dziś.

Poparcie dla PiS rosło tak: 2014 r. (samorząd) – 3,27 mln głosów, 2015 (Sejm) – 5,71 mln, 2018 (znów samorząd) – 5,26 mln, 2019 (eurowybory) – 6,19 mln.

Z kolei wyniki PO w tym samym czasie to: 2014 r. (samorząd) – 3,13 mln, 2015 (Sejm) – 3,66 mln, 2018 (samorząd) – 4,16 mln, 2019 (eurowybory) – 5,25 mln. Ważne uzupełnienie: w 2018 r. PO startowała w koalicji z Nowoczesną i drobniejszymi podmiotami, w 2019 r. już w wielkiej koalicji, wraz z PSL, SLD, Nowoczesną i całą masą drobniejszych podmiotów. W jednym i drugim przypadku kończyło się to poparciem mniejszym, niż wynikałoby z prostego zsumowania elektoratów części składowych koalicji.

To jednak problem Grzegorza Schetyny. Co natomiast powinien zrobić PiS, by podtrzymać korzystną passę?

WOJNA MOBILIZACYJNA

W jakim punkcie cyklu koniunktury znajduje się PiS? Jeśli chodzi o PKB, zadowolenie z programów socjalnych i wiarygodność, to bez wątpienia jest to miejsce bliskie maksimum. Opozycja, która liczyła na to, że wybory samorządowe i europejskie zamienią się w referendum „za czy przeciw władzy", przeliczyła się i padła ofiarą własnej broni. Duża część wyborców zmuszona do wyboru „tak czy nie", odpowiedziała: „Tak, jesteśmy za".

Pytanie drugie: Czy Zjednoczona Prawica ma jeszcze jakieś rezerwy? Jeśli chodzi o programy społeczne, to chyba niewiele. Kolejne obciążanie budżetu

eprasa.pl 41c41ae693

trzeba planować wyjątkowo ostrożnie – nic nie trwa wiecznie, nadejdą gorsze czasy. A jeśli chodzi o mobilizację wyborców? Tutaj paradoksalnie rezerwy jeszcze mogą być. W roku 2015 do urn poszło 15,5 mln Polaków, w roku 2019 – 13,65 mln. Trudno zakładać, że wszyscy w niespełna dwumilionowej grupie, która teraz głosu nie oddała, to wrogowie PiS.

Można za to oczekiwać, że do jesiennych wyborów parlamentarnych ruszy rekordowa liczba Polaków: może 16, może i 17 mln, tak jak w wyborach prezydenckich. Przy mocnej polaryzacji i dominacji dwóch ugrupowań prawdopodobny jest scenariusz, w którym zwycięzca jesienią weźmie 45–47 proc., a pokonany w okolicach 40 proc., zaś wyniki mniejszych partii nie wpłyną istotnie na stosunek sił w Sejmie. Jeśli zwycięzcą będzie PiS, to oznacza stabilne samodzielne rządy w drugiej kadencji. Jednocześnie jednak koniec marzeń o większości konstytucyjnej. W Sejmie, w którym opozycja ma 200 lub więcej mandatów, będzie to niemożliwe. Dla Grzegorza Schetyny nie jest to wcale zła sytuacja. Nie rządzi, nie bierze odpowiedzialności za państwo, może czekać, aż PiS zacznie popełniać błędy lub wyborcy się partią Jarosława Kaczyńskiego zwyczajnie zmęczą.

KLUCZE DO KRÓLESTWA

Żeby taki scenariusz się ziścił, trzeba jednak najpierw wygrać wybory. Na jakie zagrożenia powinien uważać PiS? Co może poprawić? Na początek powinien uważać bardzo, żeby nie zepsuć tego, co osiągnął do tej pory.

Ziarno zwycięstwa jesienią zostało zasiane wraz z początkiem wiosny, w kampanii do europarlamentu. Przekierowanie uwagi na sprawy krajowe, wyciszenie międzynarodowych reperkusji wywołanych reformą sądownictwa, ogłoszenie nowych programów socjalnych i inwestycyjnych. Efekty „piątki Kaczyńskiego" (właściwie „piątki plus plus", bo doszedł tu jeszcze program wsparcia niepełnosprawnych oraz walka z ACTA 2) wyborcy odczują latem i jesienią. Do rodziców trafią pieniądze z poszerzenia „500+", nauczyciele dostaną podwyżki. Nic też dziwnego, że premier Morawiecki bardzo naciska, żeby jak najszybciej uruchomiono wypłaty dodatku dla osób niepełnosprawnych. Tutaj najprawdopodobniejszy termin to wrzesień. Oczekiwaniami trzeba jednak umiejętnie zarządzać – rozdzielać pieniądze tak, by nie stanąć jesienią w obliczu akcji strajkowych kolejnych grup zawodowych.

Jednocześnie PiS musi pamiętać o diagnozie postawionej przez jego ekspertów już w ubiegłym roku. Polacy trochę są zmęczeni nieustannym konfliktem, chcieliby spokojnie konsumować owoce wzrostu gospodarczego, wydawać wyższe pensje, jeździć na lepsze wakacje. Nie może to oznaczać dla władzy dryfu w stylu wczesnego Tuska, ale jest przypomnieniem, by odpowiednio ostrożnie konstruować plany na jesienną kampanię i drugą kadencję.

Zarazem nie może to oznaczać oddania inicjatywy. PiS zbudował sobie wśród coraz szerzej popierającej go grupy wyborców wizerunek partii, która może i popełnia błędy, ale stara się realizować obietnice i nie zapomina o zwykłych Polakach. Partii, która ma spójny pomysł na Polskę. Partii „na tak" – tak jak kiedyś piłkarska reprezentacja Jerzego Engela grała „futbol na tak". Nie może jednak niesiona euforią po wyniku w wyborach europejskich wpaść w retorykę z finału filmu „Piłkarski poker", kiedy to Bolo (Marian Opania) krzyczał: „Teraz to my możemy wszystko!". Był już w historii III RP premier, który twierdził, że jak SLD zechce, żeby gruszki wyrosły na wierzbie, to one wyrosną. I wiemy, jakim krachem skończyła się dla Leszka Millera ta pycha.

Istotny egzamin przed PiS do zdania w sprawach polityki europejskiej. W Brukseli także będzie się rozstrzygał bój o polski Sejm. Nie dlatego, że unijni biurokraci będą kontynuować krucjatę przeciw Polsce (a będą), ale dlatego, że sprawne rozbudowanie wpływów w PE, poszerzenie starej lub stworzenie nowej frakcji i uzyskanie wraz z Grupą Wyszehradzką – albo jeszcze lepiej: wraz z grupą krajów Trójmorza – wpływu na kształt władz unijnych będzie ważnym argumentem w krajowym sporze o to, kto lepiej dba o polskie interesy w UE.

PIENIĄDZE TO NIE WSZYSTKO

Ważną nauką z wygranej kampanii o europarlament jest to, by doceniać wagę spraw światopoglądowych. Koalicja Europejska, Wiosna i kibicujące im media zmobilizowały przeciw sobie dużą część elektoratu konserwatywnego bezmyślnym, wręcz karykaturalnym antyklerykalizmem, bluźnierczym rechotem, lekko rzucanymi twierdzeniami „każdy ksiądz to pedofil", „biskupi do dymisji" etc. Okazało się, że bezkarnie takich harców wyczyniać w Polsce nie można. PiS, który umiejętnie wykorzystał także falę sprzeciwu wobec homopropagandy i ataku LGBT na szkoły, musi zapamiętać, że stan konta to nie wszystko, że oprócz wyborców, którzy odzyskali godność dzięki transferom socjalnym, są i tacy, którzy poczuli się z tej godności odzierani przez Biedronia, Szczerbę, Czarzastego et consortes.

Wyniki Konfederacji w wyborach do PE pokazały z kolei, że elektorat radykalnie antyunijny jest w Polsce ograniczony do stałej grupy między 500 a 700 tys. głosów. Pół miliona dostała Nowa Prawica w roku 2014, 723 tys. – partia KORWiN w boju o Sejm w roku 2015. Konfederacja osiągając 600 tys., nie wyszła poza nakreślone wyżej ramy. Przy spodziewanej wysokiej frekwencji jesienią oznacza to, że paliwa na „polski Jobbik" wystarczy, by pukać od spodu w próg wyborczy, by wziąć dotację (tu wystarczy 3 proc.), ale o wejście do parlamentu krajowego jest już dużo trudniej. Nie zmienia to faktu, że Zjednoczona Prawica musi uważać także na to, co się dzieje na prawo od PiS.

Wreszcie sprawa ostatnia: media. Nawet od wpływowych przedstawicieli obozu rządzącego słyszałem nieraz opinie, że propaganda telewizji publicznej jest zbyt siermiężna. Po wyborach usłyszałem od niektórych, że wynik mógłby być jeszcze lepszy, gdyby media wykorzystano umiejętniej. Przez niemal cztery lata rządów PiS nie odkrył jeszcze, że mnożenie gadających głów nie jest metodą zwiększania oglądalności telewizji i słuchalności radia, nie znalazł pieniędzy na profesjonalne badania muzyczne i programowanie najsilniejszych kanałów radiowych. Nie potrafił wykorzystać możliwości, jakie dają dwa silne kanały TVP w walce popkulturowej z propagandą politpoprawności i nihilizmu. W dziedzinie soft power tkwią wielkie rezerwy. Ciekawe, kiedy Zjednoczona Prawica to dostrzeże. Zbyt wielu jej wyborców musi zaciskać zęby i głosować „pomimo że", a nie „dlatego że".

Klucze do zwycięstwa są jednak w rękach PiS. Podobnie jak w latach 2015 i 2018. Osiągnięcie po raz drugi samodzielnej większości parlamentarnej byłoby wynikiem bez precedensu nie tylko w dziejach prawicy w Polsce, lecz także w ogóle w polskiej polityce po 1989 r. Poprzedni przełom miał miejsce w roku 2005, kiedy dwie partie o solidarnościowych korzeniach zakończyły historię politycznego postkomunizmu. Jesienią roku 2019 może wydarzyć się kolejny przełom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Osierocone centrum

Łukasz Warzecha

W wyborach do Parlamentu Europejskiego jest jeden wielki, choć niemal niewidoczny przegrany: centrum. To nie jest dla Polski dobra wiadomość

Wybory wygrywa się w centrum – czy ta zasada stabilnych demokracji jest nadal ważna w Polsce? Tych wyborów PiS na pewno nie wygrał w centrum w takim sensie, jak to zwykle rozumiano. Raczej nie pozostawił części centrum innego wyjścia niż tylko udzielenie mu poparcia.

Co to właściwie jest centrum w polskich warunkach? Nietrudno sobie takiego wyborcę wyobrazić. W części będzie przypominać centrowego wyborcę z innych państw Europy. Odrzuca go krzykliwa i skrajna retoryka którejkolwiek ze stron. Nie odpowiada mu umieszczanie polityki w logice wojny. Irytuje go populizm wiecowych pokrzykiwań i podejmowanych ad hoc decyzji. Niekoniecznie musi się głęboko interesować polityką, ale chciałby, aby była „rozsądna", nawet jeśli to określenie rozumie powierzchownie i hasłowo. Bardziej niż kwestie ideologiczne interesują go sprawy gospodarcze. Nie ogląda ani „Wiadomości", ani „Faktów", tylko „Wydarzenia" Polsatu. Zapewne częściej można go znaleźć w miastach niż na wsi, ale niekoniecznie w tych największych, raczej w średnich i mniejszych.

Specyfiką polskiego centrowego wyborcy jest natomiast jego naturalny konserwatyzm. Centrowy wyborca w naszym kraju jest umiarkowanym, instynktownym konserwatystą. Naturalny konserwatyzm oznacza poszukiwanie stabilności i względnego spokoju, niechęć do rewolucji, dbałość o własne pieniądze, nawet jeśli są wciąż niewielkie – ale nie jest konserwatyzmem uświadomionym. Centrowi wyborcy sami zapewne nie określiliby się jako konserwatyści. Nie są wyznawcami doktryny konserwatywnej i nie cytują na wyrywki Rogera Scrutona czy Edmunda Burke'a, choć w istocie pasują do opisu konserwatystów, które znajdujemy choćby w „Co znaczy konserwatyzm" Scrutona. W polskich warunkach ów naturalny konserwatyzm oznacza jednak także niechęć do eksperymentów obyczajowych, uważanych już za całkiem normalne na Zachodzie.

KTO MIAŁ OFERTĘ?

Czy w tych wyborach ktokolwiek miał zatem ofertę dla centrowego wyborcy? Od razu odrzucić można Wiosnę i Konfederację, bo to partie skrajności, które zresztą zrobiły wynik znacznie niższy od oczekiwań. Wyborcę centrum będą odrzucać i antyklerykalne tyrady Biedronia, i lunatyczne brednie Brauna o batożeniu homoseksualistów, podlane sosem amerykanofobii i doprawione Berkowiczem z kipą nad głową posłanki PiS.

Koalicja Europejska? Nie przedstawia żadnej spójnej opowieści poza „PiS jest zły, trzeba go obalić", ale to nie jest opowieść nęcąca dla centrum, bo zapowiada rewolucję à rebours. Podobnie

eprasa.pl 41c41ae693

mało kuszące są oferty wobec krzykliwych mniejszości seksualnych, pokątnie i trochę po kryjomu prezentowane przez obóz Schetyny – dla dawnego, tradycyjnego elektoratu PO mogą być wręcz odrzucające.

Zjednoczona Prawica? Ta kampania była chyba pierwszą od czasu wyborów prezydenckich w 2010 r. (co się właściwie nie liczy, bo prezes PiS kandydował wówczas na prezydenta), gdy Jarosław Kaczyński nie tylko się nie schował, lecz także był wręcz eksponowany. Mało tego, wygłosił kilka istotnych wystąpień, w tym w bardzo ostrym tonie, jak choćby to, w którym przywołał słowa kard. Wyszyńskiego o ręce podniesionej na Kościół. A prezes PiS nie jest postrzegany jako człowiek centrum. Nieufność do niego utrzymuje się na wysokim poziomie – w marcu było to 58 proc., prawie o 10 punktów procentowych więcej niż w przypadku Donalda Tuska i 14 punktów procentowych więcej niż w przypadku Andrzeja Dudy.

Owszem, ogólny przekaz PiS wydawał się nieco spokojniejszy niż choćby w najgorętszych momentach batalii o zmiany w sądownictwie, ale tylko dlatego, że rządząca partia działała na tle radykalnej Konfederacji, zaś swój reformatorski ekstremizm ze sfery politycznej przesunęła do sfery socjalnej, całkiem wprost włączając tryb ostentacyjnego wręcz fiskalnego populizmu. To również nie jest oferta dla wyborców centrum, nawet jeżeli części z nich coś z PiS-owskich transferów skapnie.

Kto w takim razie? Kukiz'15? Dla partii Pawła Kukiza wybory do PE okazały się druzgocącą porażką. Zemściło się uporczywe trwanie w postanowieniu, żeby nie korzystać z subwencji i nie tworzyć partii, czyli w pełni świadomie trwać w pozycji słabszej niż konkurenci. W rezultacie, gdy dwie główne siły (a także częściowo Wiosna) organizowały konwencje niemal co tydzień, Kukiz'15 zorganizował jedną. Zemścił się też brak jasnego przekazu. Zemścił się wreszcie brak jasno określonej grupy, do której Kukiz chciał przemówić – nie było nią centrum. O ile w 2015 r. elektorat antysystemowy był obszernym rezerwuarem poparcia, o tyle dziś jest już całkiem inaczej. Przez te niemal cztery lata wiele się zmieniło.

Najbardziej przygnębiający jest los Polski Fair Play Roberta Gwiazdowskiego – inicjatywy politycznej jakby na miarę uszytej dla centrowego wyborcy, prawda, że o poglądach gospodarczo bardziej liberalnych. Gwiazdowski świadomie i z premedytacją odciął się nie tylko od wszelkiego populizmu, lecz także zrezygnował z zajmowania się jakimikolwiek tematami światopoglądowymi. I poległ już na wstępnym etapie: nie udało mu się zebrać podpisów w wymaganych siedmiu okręgach, aby zarejestrować ogólnopolską listę, co od razu ustawiło PFP na straconej pozycji. Można wskazywać, że przyczyną była bardzo słaba rozpoznawalność lidera, ograniczona grupa docelowa (głównie jednak przedsiębiorcy) czy mało wiarygodny partner polityczny, jakim okazali się Bezpartyjni Samorządowcy. Nie zmienia to faktu, że jedyna prawdziwie centrowa oferta w tych wyborach poniosła klęskę.

JAK ONI ZAGŁOSOWALI?

Co się stało zatem z centrowymi wyborcami? Część zapewne nie poszła głosować, część oddała głosy na ugrupowania, które progu nie przekroczyły, a część pogodziła się z realiami, zagryzła zęby i być może nieco z przyzwyczajenia oraz rozpędu oddała głosy na któryś z dwóch głównych obozów.

I to jest bardzo zła wiadomość. Jeżeli bowiem prawdą jest, że jesteśmy u progu powstania systemu dwupartyjnego, to system ten będzie budowany od skraju ku centrum, a nie odwrotnie. To prawda, że w tych demokracjach, gdzie taki system istnieje od lat – przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, częściowo w Wielkiej Brytanii (choć tam akurat następuje, zdaje się, zmiana w przeciwną stronę, i to mimo najprostszej ordynacji większościowej) – duże obozy zagarniają polityków i tym samym wyborców o bardzo różnych poglądach, w tym centrowych. W środku spektrum zachodzą na siebie tak mocno, że lewa strona Partii Republikańskiej jest czasem bardziej demokratyczna niż prawa strona Partii Demokratycznej. Jednak to systemy istniejące od paruset lat, nawet jeśli w trakcie ich ewolucji aktorzy się zmieniali (w Zjednoczonym Królestwie konserwatyści wyparli wigów). Efekt zaciągania wyborców z centrum występuje dopiero, gdy taki system dojrzeje, a oba wymienione dojrzewały w innych warunkach politycznych niż obecne. I w krajach o innej tradycji. Gdy podobny mechanizm dojrzeje w Polsce – jeśli w ogóle – w centrum mogą zostać już tylko zgliszcza i będziemy mieli jedynie dwa skrzydła.

W Polsce największe partie funkcjonują w warunkach dyktatu lidera, który może sobie dowolnie definiować aktualną linię ideową, czasami wręcz kpiąc z pojęcia spójności programowej, z postulatu konsekwencji i kontynuacji. Główną troską nie jest zasięganie z centrum, ale – jak pokazała taktyka i PiS, i Koalicji Europejskiej – dociskanie do ściany tych, którzy pojawiają się na skrajnej pozycji.

LOGIKA WOJNY

A może to wcale nie jest źle? Może pora przestać rozpaczać po osieroconym centrum i trwającym tam wyborcom powiedzieć po prostu, że albo muszą się zadeklarować, albo niech siedzą cicho? Owszem, to dobre podejście, jeśli będziemy tkwić w logice wojny i nadzwyczajnej sytuacji. Natomiast w logice dobrego i stabilnego zarządzania państwem centrum jest nie tylko potrzebne – jest wręcz niezbędne. Konieczność zabiegania o znajdujący się tam elektorat wymusza bowiem na partiach głównego nurtu stępienie własnego radykalizmu. Silne centrum działa tonująco, jest jak punkt zawieszenia szal wagi. Dodatkowo w polskich warunkach to centrum jest przesunięte wystarczająco na prawo (naturalny konserwatyzm wyborców), że w przewidywalnym czasie gwarantowałoby przyhamowanie przesuwania się państwa w stronę różnych lewicowych rozwiązań obyczajowych.

Można by też stwierdzić, że tak krawiec kraje, jak mu materii staje. Skoro wybory da się wygrywać bez dbania o centrum, to po co o nie zabiegać? Skoro najlepsze efekty daje granie na skrajnych emocjach, polaryzowanie opinii, tworzenie poczucia, że istnieją jakieś dwa oddzielne światy, w których żyją wyborcy z dwóch obozów – to po co wyważać własny przekaz? Faktycznie, tak to może wyglądać z czysto pragmatycznego punktu widzenia. Ostatecznie jednak rzecz sprowadza się do pytania, czego oczekujemy od polityków: wyłącznie pragmatyzmu, w którym gubi się roztropna strategia, czy może jednak spoglądania nieco dalej niż perspektywa najbliższych wyborów?

Tak, wiem, rozważania pięknoducha. Jednak dziś zgoda na czysty pragmatyzm oznacza zarazem zgodę na coraz bardziej wyniszczający populizm. Naprawdę chcemy iść w tę stronę?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

Wojciech Wybranowski

Na progu istnienia

Konfederacja i Kukiz'15 zaliczyły spektakularną porażkę wyborczą. Wybuchły w nich kłótnie. Trudno będzie im przetrwać do wyborów parlamentarnych

Tylko przez kilka godzin Konfederacja mogła cieszyć się z sukcesu wyborczego. Sondaże exit poll dawały im trzy mandaty europarlamentarne i stawiały w rzędzie czterech partii, które przekroczyły próg wyborczy. – Odnieśliśmy spory sukces i zmierzamy w Polsce do systemu czteropartyjnego, w którym Konfederacja stanie się ważnym punktem dla wyborców ideowej prawicy – przekonywał nas Krzysztof Bosak.

Marzenie prysło, gdy kilka godzin później PKW ogłosiła oficjalne wyniki. Konfederacja ostatecznie otrzymała 4,55 proc. poparcia, czyli nie przekroczyła progu wyborczego. „Coś tu nie gra. Ja bym to i owo sprawdził..." – pisał Janusz Korwin-Mikke na swoim Facebooku. Sprawdzanie zaczęło się jednak w gronie samej koalicji. Szukanie winnych porażki, rozliczenia, konflikty.

PODJAZDY I WOJENKI

Konfederacja to porozumienie Ruchu Narodowego skupionego wokół Krzysztofa Bosaka i posła Roberta Winnickiego, partii Korwin – Janusza Korwin-Mikkego, organizacji „Pobudka" Grzegorza Brauna, stowarzyszenia Skuteczni Piotra Liroya-Marca i partii Federacja dla Rzeczypospolitej Marka Jakubiaka.

Po wyborach niektórzy uważają, że nie wszyscy w Konfederacji traktowani byli równo. – Ostatnie dwa tygodnie kampanii promowały ludzi Janusza Korwin-Mikkego, ustawione było pod jego partię, chociaż to nasi ludzie ciągnęli całą kampanię, zbierali podpisy, ciężko pracowali w terenie. W ogóle można odnieść wrażenie, że listy były ustawione pod Korwina, a nam się to nie podoba – mówi „Do Rzeczy" jeden z polityków Ruchu Narodowego.

Wśród ludzi Konfederacji mówi się też, że niemal kilka godzin po ogłoszeniu wyników wyborów zaczęły się – nasi rozmówcy wskazują na ludzi JKM – próby przeciągania stronników, kaptowania dla niego aktywistów koalicyjnych ugrupowań.

– Proszę zwrócić uwagę, że wynik procentowy Korwina na liście nie był rewelacyjny. Więc niech się nie szarpie – mówi jeden z konfederatów. I dodaje: – Na pewno otoczenie Janusza Korwin-Mikkego jest bardzo zdeterminowane do dalszej współpracy w ramach Konfederacji. A on sam? Nawet gdyby coś planował, to jest ograniczony tym, że funkcjonuje właśnie w takiej strukturze.

Wewnętrzne spory szybko stały się publiczne. Janusz Korwin-Mikke, przedstawiając procentową zmianę w liczbie głosów poparcia dla jego ugrupowania, także dane Konfederacji podpisał jako wynik „Partii Janusza Korwin-Mikkego", na co ostro zareagował Marek Jakubiak, pytając, czy Konfederacja „stała się już partią Korwin-Mikkego". Z kolei Kacper Rogacin z „Polska The Times" ujawnił, iż poseł Jacek Wilk z partii KORWiN usiłował zablokować występ w telewizyjnej debacie w TVP Katowice swojego kontrkandydata z tej samej listy, europosła Dobromira Sośnierza, także korwinowca. Teraz Sośnierz będzie wnioskował o wyrzucenie Wilka z Konfederacji.

– Źle ustawione listy, wyraziści liderzy w tych samych okręgach, nierówno prowadzona kampania, wzajemna wycinka. Wiele rzeczy nie zadziałało, mam nadzieję, że przed jesienią uda się nam je poprawić – mówi inny z naszych rozmówców, kandydat Konfederacji i działacz partii KORWiN.

Czy Konfederacja może się rozpaść przed jesiennymi wyborami? Jej działacze, z którymi rozmawialiśmy, mówią, że będą chcieli ten byt utrzymać i powalczyć przynajmniej jeszcze o mandaty sejmowe.

– Będziemy się spotykać w tym tygodniu i ustalać zasady wzajemnej współpracy. Wiele spraw trzeba wyjaśnić, doprecyzować, ale generalnie jestem

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

dobrej myśli – mówi nam poseł Robert Winnicki (RN)

Poseł Jakub Kulesza w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl mówił, że niedługo odbędzie się rada krajowa partii KORWiN, a: „Nastroje w partii są zdecydowanie nastawione na dalszą współpracę w ramach Konfederacji".

Zdaniem politologa dr. Jacka Kloczkowskiego z Ośrodka Myśli Politycznej po przegranej europejskiej elekcji szanse Konfederacji na odegranie poważniejszej roli na scenie politycznej znacząco zmalały. – W wyborach, które były dla tego ugrupowania największą szansą, dającą Konfederacji możliwości pokazania się jako alternatywna siła polityczna wobec PiS, wypadła ona słabo, co wskazuje, że jej liderzy mają marny potencjał mobilizacyjny elektoratu. Mają „twarze", które są bardzo mocne w swoich środowiskach, ale są to środowiska niewielkie, a jednocześnie są oni nie do strawienia dla ludzi spoza tego grona – uważa dr Kloczkowski.

ZABIORĄ KUKIZOWI?

Jaki jest pomysł Konfederacji na walkę o brakujące procenty, tak by przekroczyć pięcioprocentowy próg i zyskać reprezentację w Sejmie? Wiele wskazuje na to, że walka z ruchem Kukiz'15, który w wyścigu do europarlamentarnych foteli poniósł jeszcze większą klęskę.

W ubiegłym tygodniu europoseł Dobromir Sośnierz (Konfederacja) oskarżył we wpisie na swoim Facebooku Pawła Kukiza i Roberta Gwiazdowskiego (Polska Fair Play), że to przez samodzielny start w wyborach ich ugrupowań Konfederacji zabrakło niewiele, by zdobyć mandaty. Działacze partii JKM, Brauna i Winnickiego kolportują też wśród dziennikarzy i sympatyków prawicy informacje, jakoby co najmniej kilku posłów i aktywistów Kukiz'15 szukało możliwości przejścia do Konfederacji.

– My jesteśmy otwarci na Pawła Kukiza, nie ma między nami wrogości. Chcielibyśmy, żeby do nas dołączył, żebyśmy razem tworzyli silny, ideowy blok. Mam świadomość, że jest to trudne, bo na przeszkodzie stoi wicemarszałek Tyszka, doradca Kukiza, który nas nienawidzi – opowiada nam jeden z polityków Konfederacji. – Ale ruchy z klubu Kukiza i jego środowiska do nas już się zaczęły – dodaje.

Sam Kukiz w TVN 24 stwierdził, że „nie ma takiej opcji, by poszedł gdzieś z Korwinem. Szczególnie po tych jego wypowiedziach dotyczących pedofilii, różnych spraw. Nie ma takiego interesu politycznego, który by złamał jakiś mój system wartości".

A wśród posłów klubu Kukiz'15 nie brakuje rozczarowanych słabym wynikiem ich ugrupowania w wyborach europarlamentarnych. – Wynik nie jest najlepszy, czeka nas bardzo ciężka praca. Pół miliona osób nam zaufało, teraz mamy kilka miesięcy, żeby te pół miliona przekonało kolejne pół miliona lub więcej osób, co pozwoli nie tylko przekroczyć próg, lecz także stać się języczkiem u wagi – mówi „Do Rzeczy" poseł Piotr Apel (Kukiz'15).

Jednak wśród wielu pozostałych członków klubu parlamentarnego Kukiz'15, z którego odeszło w tej kadencji najwięcej posłów, optymizmu jest coraz mniej. Ludzie Kukiza, z którymi rozmawialiśmy, mają sporo zastrzeżeń do dotychczasowej polityki swojego lidera, który wypowiedziami medialnymi i działaniami często lawirował pomiędzy Platformą a PiS, przez co – ich zdaniem – nie budował obrazu swojego ugrupowania i tracił wyborców. Nasi rozmówcy mówią też, że brak finansowania z budżetu państwa nie pozwolił im na prowadzenie efektownej kampanii. Nie wszyscy są zadowoleni z sojuszu Kukiza i Prawicy Rzeczypospolitej Marka Jurka. Zdaniem części z nich to nie przekłada się na pozyskiwanie nowego elektoratu. Jednak wielkiego zainteresowania transferami do Konfederacji u kukizowców na razie nie widać. – Z kim mielibyśmy rozmawiać? Z ludźmi, którzy krzyczą „Americans go home!", albo takimi jak Korwin, którzy mówią, że większym wrogiem jest Ukraina niż Rosja? To przecież dyskredytujące, jeśli chodzi o budowanie jakiejkolwiek wspólnej siły politycznej – mówi jeden z czołowych parlamentarzystów Kukiz'15.

SAMI CZY Z KIMŚ?

Minorowe nastroje w Kukiz'15 potęguje też fakt, iż sam Kukiz dość jasno dał do zrozumienia, że dalsza walka polityczna będzie dla jego ruchu jeszcze trudniejsza. Na Facebooku napisał, że w Polsce tworzy się duopol partyjny: „I chyba jest to proces nieodwracalny. Na »rynku politycznym« wkrótce pozostaną dwie partie. Tak będzie wyglądać sytuacja po jesiennych wyborach […]. W sumie szanse na jakiekolwiek zmiany ustrojowe i systemowe wyglądają bardzo marnie, ale »dopóki walczysz – jesteś zwycięzcą« i tego się trzymajmy".

Co to oznacza? Nasi rozmówcy ze środowiska Kukiza mówią, że w ich ugrupowaniu słychać głosy – na razie niezbyt liczne – o ewentualnej współpracy z Polskim Stronnictwem Ludowym, które również musi dziś podjąć polityczną walkę o odzyskanie tożsamości, bądź ewentualnych transferach właśnie do tego ugrupowania. Według naszych informatorów wśród kukizowców nie brakuje też osób uważających, że w sytuacji realnego duopolu kierownictwo Kukiz'15 powinno przemyśleć możliwość udziału w koalicji Zjednoczonej Prawicy. Wreszcie słyszymy też głosy, że za chwilę ludzie Kukiza mogą rozejść się po różnych ugrupowaniach, a on sam uznać, że ma dosyć polityki, i wrócić do grania.

– Wszystkie opcje są możliwe, ale dziś są to wyłącznie spekulacje. Będziemy jeszcze rozmawiać o tym, co dalej, ale na chwilę obecną staramy się odbudować i idziemy do wyborów, sięgając po elektorat Konfederacji, która właśnie przeżywa bardzo silne wewnętrzne problemy – mówi poseł Tomasz Rzymkowski (Kukiz'15).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

Łukasz Zboralski

Kiedy szkoła szkodzi

Finowie już dostrzegli, że nowoczesna edukacja mogła ich zaprowadzić w ślepą uliczkę. Mankament polskiego systemu, czyli odporność na zmiany, okazał się zbawienny?

Fiński system edukacji – choć często mocno zmitologizowany, czego przykładem jest m.in. częste przekonanie o nieistnieniu tam w ogóle prac domowych – co najmniej od dekady stawiany jest w całej Europie za wzór. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że i edukacja musi nadążać za zmieniającym się szybko światem. Dlatego próbowano uczynić szkoły miejscami przyjemniejszymi dla dzieci, odejść od nauki faktów na rzecz nabywania przez dzieci umiejętności. Tak zwana wiedza encyklopedyczna została oficjalnie wyklęta i powszechne stawało się przekonanie, że umiejętności oraz sprowadzona do możliwego minimum wiedza powinny być w zasadzie przemycane przez zabawę. Innym z priorytetów stało się nauczenie dzieci uczenia się – uznano bowiem, że dostępność zasobów jest tak wielka, że najważniejsza staje się nauka korzystania z nich samodzielnie.

Także polski system przed ostatnią reformą edukacyjną szedł tym kursem. A raczej próbowano go w ten sposób wymodelować – choć polscy nauczyciele okazali się (nie po raz pierwszy) grupą dość odporną na zmiany i wciąż bardzo wielu z nich uczyło tak jak przed laty. Być może tym razem ten mankament naszego sytemu uchronił nas od nieszczęścia. I być może kolejna reforma edukacji została podyktowana dobrą intuicją.

FIŃSKA ZAGADKA

Tym, co skłoniło Finów do refleksji nad – zdawałoby się – doskonałym systemem edukacji, były słabnące wyniki uczniów w międzynarodowym teście PISA. Gdy polscy gimnazjaliści pięli się w nim w górę, fińscy 15-latkowie zaczęli notować niższe osiągnięcia. Pierwsze tąpnięcie można było zauważyć w 2012 r. Nie lepiej było w roku 2015. Test wskazał, że pogarszały się zarówno umiejętności czytania i pisania młodych Finów, jak i w rozumowaniu w naukach przyrodniczych oraz – najbardziej – w umiejętnościach matematycznych. Okazało się, że coraz słabiej radzą sobie przede wszystkim fińscy chłopcy.

Temat zaczęła badać psycholog z Uniwersytetu w Helsinkach dr Aino Saarinen. Przyglądała się dogłębnie wynikom badania PISA z lat 2012 i 2015, obejmując badaniem w sumie ponad 5 tys. dziewcząt i chłopców. Raport z badania nie został jeszcze upubliczniony (przechodzi naukowe konsultacje, badaczka twierdzi jednak, że ma już „zielone światło" dla międzynarodowej publikacji wyników swojej pracy), ale wnioski z dochodzenia przedostały się do fińskich mediów – ujawniła je gazeta „Helsingin Sanomat". I wywołała burzę. Ponieważ dr Saarinen szukając przyczyn osłabiania się wyników edukacyjnych fińskiej młodzieży, odkryła to, co trudno w Finlandii przyjąć, bo uderza w podstawy polityki edukacyjnej tego kraju. Wyniki badania wskazują bowiem, że nowoczesne metody nauczania – skoncentrowane na uczniu i konstruowane tak, by treści nauczania wielu

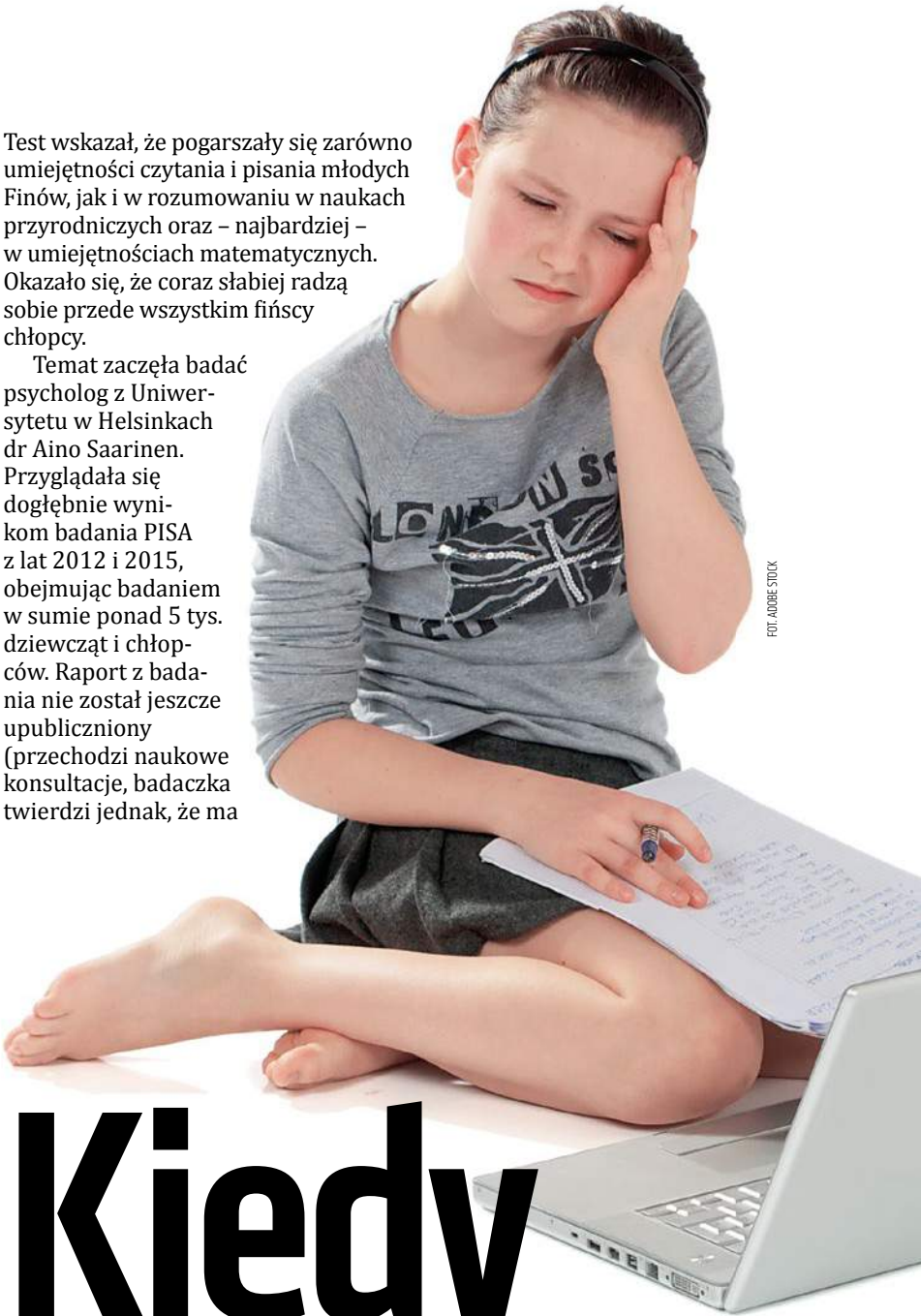

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 41c41ae693

przedmiotów wzajemnie się przenikały – sprawiają dzieciom w podstawowych szkołach trudność.

Nie można się dziwić, że część naukowców, nie mając możliwości zapoznania się z pełnym raportem, już skrytykowała badaczkę. Ta przekonuje jednak, że jej raport się obroni, i zauważa, że nie tylko ona doszła do takich wniosków – podobne wyciągnięto m.in. w badaniach przeprowadzonych w Azji czy Stanach Zjednoczonych.

UCZ SIĘ SAM?

Odkrycie dr Saarinen każe z dystansem spojrzeć na metodykę nauczania ewoluującą w XXI w. To właśnie wówczas do szkół zaczęto wprowadzać nowe podejście – zmniejszano rolę nauczyciela, a zwiększano rolę uczniów w procesie uczenia się. Coraz mocniej od dziecka, od jego własnej aktywności, zależał proces nauczania. Dokładano do tego coraz bardziej holistyczne podstawy programowe. Nauczyciele mieli zostawać tylko przewodnikami, a uczeń sam, poprzez obserwowanie określonych zjawisk, miał poznawać świat i uczyć się jednocześnie wielu przedmiotów naraz.

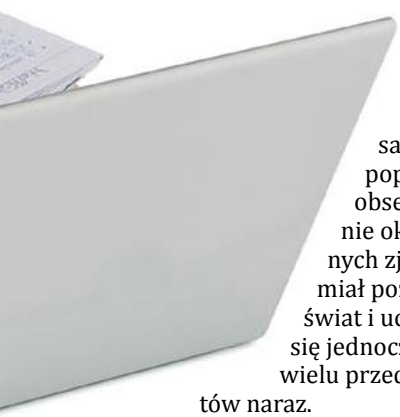

Przy takiej nauce dzieci same miały ustalać, z jakim tematem mają do czynienia, i wyznaczać sobie cele nauczania. Zazwyczaj pracowali w grupie. Okazało się, że w Finlandii uczniowie zaczęli na tym tracić. Zwłaszcza ci, którym nauczanie przychodziło trudniej. Nowoczesny system – w którym jedną z głównych ról odgrywa idea wyrównywania szans edukacyjnych – zaczął więc działać zupełnie niezgodnie z założeniami. Coraz większą rolę bowiem zaczęło odgrywać to, co dziecko otrzymuje w rodzinie (to dobrze przebadane zjawisko – dzieci z rodzin zamożniejszych, w których rodzice poświęcają im więcej czasu, osiągają lepsze wyniki w edukacji). Fińscy uczniowie przez takie metody zaczęli osiągać słabsze wyniki w matematyce i naukach przyrodniczych.

Również polski system próbowano przekierować w tę stronę. Stawiano na przenikanie się treści różnych przedmiotów, krytykowano dotychczasowe sztywniejsze podejście do wpajania uczniom wiedzy. Jednak polscy nauczyciele opornie wdrażają nowości. Bardzo wielu nadal uczy w starym stylu.

– Powiedziałbym, że my się przed tym po prostu uchroniliśmy – mówi Maciej Jakubowski, szef fundacji Evidence Institute i pracownik Uniwersytetu Warszawskiego. – Ochroniły nas nasza lekka zaściankowość i niedoinwestowanie edukacji. Wiele systemów na Zachodzie idzie jednak tym torem, takie jest kształcenie nauczycieli. I u nas w programach rozwoju zawodowego to się uwzględnia, by uczyć przez zabawę, problemowo. Wielu nauczycieli jest jednak mądrzejszych, zwłaszcza ci starsi, mający doświadczenie zawodowe. Oni dobrze wiedzą, że to nie jest tak, że wszystko da się wygooglać, że trzeba mieć podstawę. Że najpierw uczeń musi poznać koncepcję i schemat, a potem dopiero można stawiać mu problem do rozwiązania. Poza tym należy zauważyć, że przeplatanie treści nauczania jest dużo trudniejsze, trzeba być naprawdę dobrym, by móc uczyć interdyscyplinarnie.

Czy ostatnia reforma edukacji, idąca trochę pod prąd nowoczesnej modzie edukacyjnej, wyprzedziła problem, z którym mogliśmy się spotkać? – Można by tak rzec, gdyby było to opracowane, gdyby miało oparcie w faktach i było efektem dyskusji. A to stało się przypadkiem – odpowiada Jakubowski.

SPUSTOSZENIE CYFRYZACJĄ

Drugi wniosek z badania fińskiej psycholożki powinien być bardzo poważnie rozważony przez Ministerstwo Edukacji Narodowej w Polsce. Od lat bowiem w kraju próbujemy w placówkach oświatowych nadrobić pewne zacofanie cywilizacyjne i prowadzimy intensywne programy cyfryzacji. Polegają one jednak głównie na dostarczaniu szkołom łączy do szybkiego Internetu oraz wyposażaniu ich w komputery i tysiące tablic multimedialnych.

Tymczasem badanie Uniwersytetu w Helsinkach prowadzi do wniosku, że im więcej na lekcjach wykorzystuje się cyfrowego sprzętu, tym gorsze wyniki w PISA osiągali uczniowie. Wykluczono przy tym to, że barierą była nieumiejętność obsługi – tam, gdzie uczniowie świetnie radzili sobie ze sprzętem, wyniki nauczania też spadały. Dlaczego? Badacze sugerują, że może występować problem z koncentracją. Przy korzystaniu z cyfrowego urządzenia uczeń musi poradzić sobie w jednym czasie z obsługą aplikacji, polecaniami nauczyciela i odebrać wiele bodźców z urządzenia (animacja, dźwięk itd.). To może utrudniać mu skupienie się na tym, czego właśnie ma się nauczyć. A jeśli nie przetworzy informacji w sposób dla niego przystępny, efekt nauczania nie znajdzie się w jego pamięci długoterminowej.

To nie oznacza oczywiście, że digitalizację nauczania należy wykluczyć. Może należałoby jednak wskazywać, że trzeba do niej podchodzić ostrożnie i że nie może ona stać się celem. – Cyfryzacja sama w sobie nie jest potrzebna do tego, żeby świetnie pisać, przecież arcydzieła literatury powstały bez komputerów – mówi Kamil Sijko z Fundacji CoderDojo Polska, który w Instytucie Badań Edukacyjnych badał umiejętności cyfrowe polskich uczniów. – Z drugiej strony możemy sobie definiować, co chcemy z uczniami osiągać, używając komputera. Jeśli cyfryzujemy nie po to, by uczyć języka polskiego, lecz także by uodpornić uczniów na phishing [wyłudzanie danych w sieci – przyp. red.] oraz nauczyć ich, czym jest bitcoin, to ma to sens. Cyfryzacja na siłę wiąże się z powstawaniem potworków edukacyjnych. Znane są przypadki wykorzystywania nawet najlepszych marek gier, takich jak Mario czy Donkey Kong, w charakterze edukacyjnym, ale najczęściej próby stworzenia gier edukacyjnych kończyły się kiepską grą i wątpliwą edukacją – zauważa.

Jednym z problemów, także polskim, przy cyfryzacji nauczania są kompetencje nauczycieli. Jeśli nakaże się uczyć z wykorzystaniem komputera lub tablicy cyfrowej tych, którzy nie mają do tego dobrego przygotowania, to nic dobrego z takiej zmiany raczej nie wyjdzie. – Z moich obserwacji wynika, że nauczyciele, gdy brak im kompetencji, uciekają w podstawy programowe i zaczynają sztywno trzymać się np. ćwiczeń – dodaje Sijko.

Wygląda więc na to, że problem z kadrą i wyposażeniem polskiej szkoły na razie zupełnie przypadkowo mógł działać na korzyść polskich uczniów w obszarze cyfryzacji i nowego podejścia do nauczania uczenia się przez samego ucznia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

Zespół reaktywują (od lewej): Mieczysław Jurecki, Romuald Lipko i Tomasz Zeliszewski

FOT. ANNA POWIERŻA

Budka bez Suflera

Agnieszka Niewińska

„Dobranoc, żegnajcie!"– tymi słowami Krzysztof Cugowski pożegnał fanów Budki Suflera na ostatnim koncercie grupy w 2014 r. Teraz dawni koledzy ogłosili reaktywację grupy. Bez niego, a nawet wbrew niemu

Zespół na zawsze żegna się z publicznością", „już nikt nigdy nie będzie miał okazji zaśpiewać tych kultowych piosenek na koncercie Budki Suflera" – informowały media w 2014 r., kiedy zespół po 40 latach ogłosił koniec grania i ruszył w pożegnalną trasę. Grupa dała ok. 100 koncertów. Finałowy zagrali na pl. Zamkowym w Lublinie – w mieście, w którym Budka się narodziła.

– Zawsze mówiłem: „Dobranoc, do zobaczenia!". Dzisiaj mówię: „Dobranoc, żegnajcie!" – powiedział na koniec lubelskiego koncertu frontman Krzysztof Cugowski.

Informacja o tym, że zespół wraca, nagra nowe utwory i ruszy z koncertami, zaskoczyła fanów. Na jesień zaplanowana jest trasa koncertowa pod nazwą „45 lat. Powrót do korzeni". „Przeniesiemy się wspomnieniami cztery dekady wstecz, do czasów, gdy zespół rozpoczynał swoją karierę. Zabrzmią też przeboje z lat 80." – informują na stronie internetowej muzycy.

Tyle że to nie do końca będzie ten sam zespół, który pożegnaliśmy pięć lat temu. Budka wystąpi bez Krzysztofa Cugowskiego, który jest współtwórcą grupy. Cugowski zapoczątkował zespół w 1969 r. jako licealista. Po rozpadzie pierwszego składu dołączył do szkolnego kolegi Romualda Lipki. Przyjęli nazwę zespołu Cugowskiego. Pierwszy sukces przyszedł po tym, jak nagrali polską wersję utworu „Ain't No Sunshine" z repertuaru Billa Withersa. Tak zaczęła się wielka muzyczna kariera zespołu.

DZIŚ SĄ NA „PAN"

O reaktywacji grupy zaczęły rozpisywać się media i szybko się okazało, że Cugowski ma zastrzeżenia co do występów dawnych kolegów pod szyldem Budki. – W takiej sytuacji każdy by je miał. Jest mi smutno i przykro – mówi nam Cugowski.

W rozmowie z „Dziennikiem Wschodnim", za pośrednictwem którego dawni członkowie zespołu pod koniec maja wymienili gorzkie słowa, ostentacyjnie mówiąc o sobie na pan, stwierdził, że o reaktywacji dowiedział się od osób trzecich. Dodał, że w rozmowie z Romualdem Lipką i Tomaszem Zeliszewskim zaznaczył, że mogą grać, co chcą, ale nie pod szyldem Budki Suflera, bo nazwę i logo zespołu we trzech zastrzegli w urzędzie patentowym.

Lipko – też w „Dzienniku Wschodnim" – winą za zakończenie działalności zespołu obarczył Cugowskiego. „Pan Cugowski nie ma żadnego dokumentu, który by potwierdzał rozwiązanie zespołu większością trzech głosów. […] Zawsze próbował prowadzić jakąś działalność obok Budki, często na niekorzyść zespołu" – powiedział i zaznaczył, że Budka to spółka cywilna, a decyzje zapadają większością głosów.

Cugowski podkreśla z kolei, że decyzję o zakończeniu działalności Budki Suflera zespół podjął wspólnie. – Jakiekolwiek bredzenie teraz na ten temat jest nie na miejscu. Tonący brzydko się chwyta – kwituje. Tematu już więcej nie chce komentować.

Tomasz Zeliszewski, członek zespołu i wieloletni manedżer grupy, podkreśla: – Krzysztof jest wielkim, niekwestionowanym wokalistą. To niezwykły i jedyny w swoim rodzaju artysta. – Taka jest prawda! Ale jest prawdą również to, że przez te wszystkie wspaniałe lata wielkie przeboje wyśpiewali dla Budki tacy artyści, jak: Romuald Czystaw, Felicjan Andrzejczak, Urszula czy Izabela Trojanowska.

To właśnie Andrzejczaka, Urszulę czy Trojanowską reaktywowana Budka zaprasza dzisiaj do wzięcia udziału w jesiennej trasie. – Oczywiście do wspólnego grania zaprosiliśmy wszystkich artystów, którzy współpracowali z zespołem Budka Suflera – mówi Romuald Lipko. – 29 września w Krakowie, w kolejną rocznicę śmierci Romualda Czystawa, na scenę wyjdą muzycy, którzy pragną na niej być – dodaje.

NIE TAKA PUBLICZNOŚĆ, NIE TE STAWKI

Jarosław Sawic, dziennikarz muzyczny, autor obszernej biografii „Budka Suflera. Memu miastu na do widzenia. Muzyka – miasto – ludzie" wydanej w 2017 r., zwraca uwagę, że konflikt między muzykami Budki trwa od dłuższego czasu. – Kiedy Budka Suflera poinformowała o zakończeniu wspólnego grania, muzycy podkreślali, że żegnają się z publicznością, bo trzeba wiedzieć, kiedy zejść ze sceny – jak śpiewał „Perfect". Jednak de facto do rozpadu doprowadził silny konflikt w zespole. Trójka muzyków: Krzysztof Cugowski, Romuald Lipko i Tomasz Zeliszewski ze względów osobistych nie byli w stanie dłużej ze sobą współpracować – mówi Sawic.

– Nie jest dla mnie zaskoczeniem, że Krzysztof Cugowski nie jest zainteresowany reaktywacją zespołu. Już wtedy szczerze podkreślał, że chce definitywnie zakończyć działalność Budki Suflera. Bardziej zaskoczyło mnie to, że Romuald Lipko i Tomasz Zeliszewski zdołali się dogadać, bo w tym

eprasa.pl 41c41ae693

ostatnim okresie działalności zespołu byli w nie najlepszych stosunkach. Mieczysław Jurecki z kolei to człowiek bardzo koleżeński, fair, chcący pomagać, więc przypuszczam, że nie chciał odmawiać, kiedy dostał propozycję wzięcia udziału w reaktywacji – ocenia Jarosław Sawic.

Zwraca uwagę, że muzycy, którzy dziś powracają do Budki Suflera, znaleźli się w trudnej sytuacji, kiedy grali indywidualnie. – Lipko założył Romuald Lipko Band. Grał głównie budkowe przeboje. Zapraszał do wspólnych występów Felicjana Andrzejczaka, Urszulę czy Izabelę Trojanowską. Jednak to nie były koncerty dla ogromnej publiczności, stawki też nie były takie jak w czasach, kiedy Budka grała razem. Tomasz Zeliszewski poszedł swoją drogą, ale jako perkusista miał trochę mniej możliwości. Myślę jednak, że reaktywacja jest im potrzebna nie tylko ze względów finansowych. Granie dla wielkiej publiczności to także zastrzyk energii.

Krzysztof Cugowski po zakończeniu działalności Budki Suflera występował z synami – Piotrem i Wojciechem. Grupa Cugowscy nagrała album studyjny, który odniósł spory sukces. Działalność zakończyła się w 2018 r., a Krzysztof Cugowski występuje dziś z Zespołem Mistrzów, wykonując wiele przebojów Budki. W tym roku obchodzi złoty jubileusz działalności artystycznej. Kalendarz koncertowy ma wypełniony. Katowice, Wilno, Rzeszów, Bochnia… 25 maja wystąpił na warszawskim Torwarze. Na październik ma zaplanowany duży jubileuszowy koncert w łódzkiej Atlas Arenie.

KOPIA FRONTMANA?

Wielu fanów zespołu nie kryje, że konflikt wśród członków legendarnej grupy złamał im serce. Piszą w sieci, że to będzie Budka bez Suflera.

Sytuacja wokół zespołu przypomina nieco inny spór – w grupie Kombi. W jego efekcie na muzycznej scenie pojawiły się dwa zespoły, których nazwa różni się jednym „i": Kombi i Kombii. Oba grające przeboje dawnego Kombi. Muzycy wzajemnie się obwiniają, wydają książki o historii zespołu, przedstawiając inne wersje wydarzeń. Doszło nawet do sytuacji, w której Kombi i Kombii w 2018 r. wystąpiły na dwóch telewizyjnych sylwestrach – Kombi zagrało w Zakopanem dla TVP, a Kombii na imprezie TVN w Warszawie.

Reaktywowana Budka wzięła się już do nagrywania nowych utworów. – Niebawem do rozgłośni radiowych trafi nowy singiel zespołu. Będzie można w nim usłyszeć Roberta Żarczyńskiego, nowego wokalistę kapeli – poinformował nas zespół. Żarczyński był dotychczas wokalistą Budka Band grającego covery Budki Suflera.

– Budka Suflera ma niepodważalne miejsce w historii polskiej muzyki rozrywkowej. Byli na topie przez 30 lat, rządzili na polskim rynku muzycznym. Takimi przebojami, jak choćby „Cień wielkiej góry", udowadniali wysoki poziom muzyczny, a jednocześnie byli przystępni w odbiorze – ocenia Jarosław Sawic. I dodaje: – Reaktywacja nie jest niczym nadzwyczajnym. Scorpionsi kilka razy żegnali się z fanami, a potem wracali. Jednak taki powrót – w niepełnym składzie i w atmosferze konfliktu – raczej negatywnie wpłynie na legendę Budki Suflera. Zwłaszcza że nie zdecydowali się na to, żeby pójść w muzycznie inną stronę. Nie odbieram im prawa do powrotu i wykonywania przebojów Budki, ale mam wrażenie, że zaproszenie do składu wokalisty, który jest kopią (również wizualną) Krzysztofa Cugowskiego, to o jeden krok za daleko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 41c41ae693

Wiesław Chełminiak

Sukcesy ponad stan

Sto lat temu powstał najsłynniejszy z nadwiślańskich przybytków lekkiej muzy – teatrzyk Qui Pro Quo

Gdy triumfy zaczęła święcić operetka, smakosze kultury przez duże „K" orzekli, że niżej już upaść nie można. Rzeczywistość wkrótce wyprowadziła ich z błędu – twórcy coraz bardziej schlebiali pospolitym gustom. W Paryżu – światowej stolicy wolnomyślicielstwa i wyuzdania – zrodziła się moda na kabarety. Był to istny fenomen, również psychologiczny. Na scenie cyganeria szydziła z zacofania i obłudy siedzących na widowni burżujów, ci zaś bili brawo, zaśmiewali się do łez i bez ociągania kupowali drogie bilety. Obraźliwym kupletom towarzyszyły zwykle śpiew, podkasane tańce oraz wzmożona konsumpcja napojów wyskokowych.

Chętnych do szargania świętości w zamian za godziwe wynagrodzenie nie brakowało też w naszej części Europy, tu jednak skandaliści napotykali barierę cenzury i konserwatyzmu potencjalnych odbiorców. Stefan Żeromski, autor „Dziejów grzechu", miał o francuskim revue zdanie jak najgorsze, nazywał je „przybytkiem najgorszej pornografii, brutalnej wulgarności i ohydy". Puryści dorzucali do tego zarzut szerzenia obcych wpływów. Roznegliżowane girlsy z Paryża, szmoncesy z Wiednia, melodie rodem z Ameryki – z takiego połączenia mogła wszak powstać sztuka prawdziwie narodowa.

W Warszawie pierwszą jaskółką kulturowej rewolucji był kabaret Momus Arnolda Szyfmana, który od końca 1908 r. próbował zabawiać gości restauracji Oaza vis-à-vis Teatru Wielkiego. Tekstów dostarczali mu współtwórcy krakowskiego Zielonego Balonika i niedoszły handlowiec Konrad Tom, który do spółki z kompozytorem Jerzym Boczkowskim napisał przebój „Na Czerniakowskiej". Momus okazał się jednak efemerydą, zakończył żywot już po dwóch latach.

KIEDY PANIENKI IDĄ SPAĆ

W ówczesnej branży rozrywkowej plajty zdarzały się o wiele częściej niż sukcesy, więc gdy wiosną roku 1919 w stołecznej prasie ukazały się anonse o powstaniu

Porównywany do Charliego Chaplina Adolf Dymsza w jednej ze scen programu rozrywkowego Qui Pro Quo w 1928 r. FOT. NAC

eprasa.pl 41c41ae693

nowej świątyni lekkiej muzy, warszawiacy zapewne przyjęli tę wieść bez ekscytacji. Tymczasem teatrzyk Qui Pro Quo przetrwał aż 13 sezonów, wystawiając rekordową (136) liczbę programów. Gdyby wydać ten urobek na płytach DVD albo Blu-ray, pakiet byłby imponujący, retromaniacy mieliby zaś dziką uciechę. Szalonych wieczorów w podziemiach pasażu Luxenburga nikt jednak nie rejestrował. Zachowało się trochę zdjęć, plakatów, świstków z fragmentami skeczy i tekstami piosenek.

Przez scenę w podziemiach pasażu Luxenburga przewinęło się półtorej setki wykonawców. Tutaj gwiazdorski status zdobyli Bohdan Junod, czyli Eugeniusz Bodo, i Maria Pietruszyńska, lepiej znana jako Hanka Ordonówna. Męska część publiczności wielbiła temperamentną Zulę Pogorzelską, choć większy aktorski talent miała Mira Zimińska, zwana „Chaplinem w Spódnicy". Do słynnego komika porównywano też Adolfa Dymszę. Mistrzem szmoncesu był Kazimierz Krukowski „Lopek". Pod szyldem Qui Pro Quo debiutowały Chór Dana z Mieczysławem Foggiem i żeński zespół taneczny Tacjanny Wysockiej. Krócej związany z teatrzykiem Feliks Parnell, legenda baletu, występował w duecie z nie mniej utalentowaną żoną, Wierą Pawliszczewą.

Naczelnym tekściarzem od pierwszego do ostatniego spektaklu był Julian Tuwim. „Książę Poetów" pisał (wierszem i prozą) skecze, monologi i słowa piosenek. Niesamowicie płodny, używał 40 różnych pseudonimów, by nie prowokować ataków hejterów. Może też trochę się wstydził, że rozmienia swój talent na drobne. Przesiadywał w pasażu Luxenburga równie często jak w Ziemiańskiej, z loży dyrektorskiej obserwując reakcje publiczności.

Zazdrosny Antoni Słonimski twierdził, że Tuwim wyciągał z kabaretu 4 tys. miesięcznie. Gwiazdy zarabiały jeszcze lepiej. Pogorzelska wywalczyła sobie ponoć 12 tys., 2 tys. więcej niż Ordonówna, strasząc, że przejdzie do konkurencji. Dla porównania urzędnik średniego szczebla mógł wtedy liczyć na 200–300 zł pensji.

PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA

Formalnie rzecz biorąc, ojcami założycielami Qui Pro Quo byli: 22-letni ziemianin, a później aktor Bolesław Przyłuski oraz niewiele od niego starszy architekt i scenograf Tadeusz Sobocki. W rozkręcenie rozrywkowego interesu spore sumki zainwestowali kupiec Izydor Weisblat oraz nieznana z nazwiska przyjaciółka Przyłuskiego, która przywiozła z Rosji walizkę carskich rubli. W piątek 4 kwietnia 1919 r. zagrano dwa przedstawienia, o godz. 19.30 i 21.30. Nie obyło się bez wpadki: Maria Strońska grająca wiedźmę paloną na stosie zemdlała, co wywołało konsternację na scenie i widowni. Niecałe dwa miesiące wcześniej w Warszawie wygasła epidemia hiszpanki. Jej ofiarami najczęściej padali ludzie przed czterdziestką, lekarze obawiali się powtórki.

Już po miesiącu Przyłuskiemu i Sobockiemu skończyły się pieniądze, na ratunek sprowadzono księgowego z konkurencyjnego Czarnego Kota. Seweryn Majde odpowiadał za finanse i administrację, Jerzy Boczkowski z Momusa za kwestie artystyczne. Ten duet przejął pełnię władzy, gdy ojcowie założyciele ostatecznie stracili serce do sprawiającego kłopoty dziecka i odeszli. Boczkowski, z powodu hołdowania nałogowi tytoniowemu zwany „Fają", znęcał się nad autorami, Hemara zamknął we własnym gabinecie, grożąc, że go nie wypuści dopóty, dopóki skecz nie będzie gotowy. Próby zaczynały się o godz. 10, spóźnienia i picie alkoholu w pracy nie były tolerowane. Sam dyrektor dawał dobry przykład, komponując na użytek sceny oprawę muzyczną, jednoaktowe operetki oraz piosenki. Próbę czasu najlepiej przetrwała „Letnia przygoda" w interpretacji Marty Mirskiej.

W Qui Pro Quo panował artystyczny eklektyzm. Oprócz muzyki klasycznej i operowych arii grano jazz. W jednym przedstawieniu lansowano folklor góralski albo żydowski, w drugim fokstrota, w trzecim – tango argentyńskie. Wielu przychodziło, by oglądać roznegliżowane girlsy. Te same dziewczyny wykonywały jednak układy taneczne do kompozycji Händla, Webera, Chopina i Schumanna. Przeróbki muzyki ludowej, wykonywane przy ulicy Senatorskiej, chwalił sam Karol Szymanowski. Wzory czerpano z Paryża, Berlina, Wiednia i – coraz częściej – zza wielkiej wody (choć Boczkowski zawsze zaklinał się, że „kochana stara buda" jest zawsze w awangardzie i nikogo nie małpuje).

Od jesieni 1924 r. najważniejszą twarzą Qui Pro Quo był cudzoziemiec po przejściach. Fryderyk Járosy, tytułowany przez przyjaciół Fryderykiem Wielkim, urodził się w czeskiej Pradze. Ojciec – bankier, był z pochodzenia pół Węgrem, pół Chorwatem, matka zaś wiedenką ze zasymilowanej rodziny żydowskiej. On sam wżenił się w rosyjską arystokrację, lecz po upadku cara musiał czmychać na Zachód. Do Polski przyjechał z emigracyjnym kabaretem Sinaja Ptica. Nie wypadało prowadzić konferansjerki w języku zaborcy, więc Járosy odbył intensywny kurs polskiego przy kawie i koniaku. „Bestia była tak zdolna, że nad ranem mówił już za dobrze" – wspominał po latach korepetytor Słonimski. Warszawiacy od razu pokochali wytwornego i nonszalanckiego showmana, który na dobre i na złe związał się z Polską, zwłaszcza że mógł tu zrealizować swoje reżyserskie ambicje.

Fryderyk rychło wypracował własny, niepodrabialny styl. Na scenie bez litości dworował sobie z kolegów i koleżanek, ale nigdy nie pozwalał sobie na obrażanie publiki, co w czasach bohemy uważano za obowiązek konferansjera. Ze swej cudacznej polszczyzny uczynił atut. Odkrył i wylansował Ordonkę, Stefcię Górską i Zofię Terne, z każdą z nich związał się również prywatnie.

Jesienią 1925 r. w kabarecie doszło do rozłamu. Konrad Tom i Andrzej Włast założyli własny teatr Perskie Oko – bardziej ludyczny i roztańczony – zabierając ze sobą część wykonawców. Włastowi, autorowi największych szlagierów międzywojnia, zarzucano nieuleczalną skłonność do kiczu. Qui Pro Quo miało lepszą prasę, lecz również Tuwim i Hemar nie zawsze imponowali wyrafinowaniem. Dość spojrzeć na tytuły programów: „Kiedy panienki idą spać", „Puść go kantem", „Kupa śmiechu", „Ele mele na wesele", „Przez dziurkę od klucza", „Ostatnia nagość", „Czysta wyborowa", „Humpa, humpa!" (o przygodach dwóch żydowskich kupców w podróży dookoła świata), „Bernard, nie bój się mamy", „Ja lubię podglądać", „Czy Anna jest panna?".

To prawda, że „kwiprokpiarze" adresowali swą ofertę do ludzi wykształconych i oczytanych, w lot chwytających cytaty z Gogola, Czechowa, Londona czy Sienkiewicza. Stuprocentową frekwencję, o jakiej poważne teatry mogły tylko marzyć, zapewniał jednak „bojkot przemysłu włókienniczego" (tak Járosy komentował występ obnażonych tancerek). Dobrze sprzedawała się też egzotyka, dlatego gwiazdą programu „Czarno na białym?" była murzyńska trupa z Ameryki.

Awangardzista Leon Chwistek wyrokował: „Ewolucja naszego kabaretu idzie stanowczo w kierunku sztuki". Być może miał na myśli iluzjonistyczne scenografie Józefa Galewskiego. Tymczasem męska część publiczności, opuszczając podziemia pasażu Luxenburga, nuciła pod nosem: „Chcę mieć dziecko z Pogorzelską".

eprasa.pl 41c41ae693

Dwa tygodnie po Bitwie Warszawskiej Boczkowski i Majde wystawili patriotyczną rewię „W godzinie cudu". Artyści z Senatorskiej, jak na wielkomiejskich inteligentów przystało, serca mieli raczej po lewej stronie. W potyczki z endekami najczęściej wdawał się Tuwim, którego Boy-Żeleński nazywał „szefem departamentu politycznego Qui Pro Quo". Kabaretowe żądło satyry kłuło jednak niezbyt głęboko i w miarę symetrycznie. Wyśmiewano partyjnych liderów: „Drwitosa", „Furfantego" i „Gdaczyńskiego". Bodo śpiewał piosenkę o „Piłsuderze", innym razem Járosy, ucharakteryzowany na Marszałka, ujeżdżał konika na biegunach.

Spektakl „Będzie lepiej" z 1923 r., w którym wytknięto państwowym urzędnikom nieudolność, spowodował kontrolę przeciwpożarową. Magistrat doszedł do wniosku, że ze względów bezpieczeństwa teatr trzeba zamknąć. Po interpelacji posła PPS rzecz zakończyła się kompromisem: na koszt dyrekcji Qui Pro Quo przebudowano wejście do piwnicy.

Rok później, podczas przedstawienia „Precz z Grabskim" (reformy premiera nie cieszyły się wielkim społecznym poparciem), Tom rozwiązywał zagadkę: „Czym się różni Grabski od trawy? Trawę można zagrabić, ale Grabskiego nie można strawić". W skeczach przebierano polityków w dziecięce ubranka, dawano do zrozumienia, że kierują się przede wszystkim prywatą i kompromitują Polskę za granicą. Járosy zapewniał, że łatwiej stworzyć nowy rząd niż nową rewię.

Po przewrocie majowym Tuwim i spółka lawirowali. „Zjazd Centrośmiechu" wymierzony w opozycyjny Centrolew, „Gabinet figur wo(j)skowych" – w ludzi Piłsudskiego. W lożach widywano VIP-ów, na czele z Józefem Beckiem i Edwardem Śmigłym-Rydzem. Dla narodowców Qui Pro Quo był „teatrzykiem sanacyjno-żydowskim", „Gazeta Warszawska" regularnie demaskowała zaprzaństwo „nadwornych wesołków". Gdy w 10. rocznicę odzyskania niepodległości Ordonka śpiewała o warszawskich pomnikach idących na wódkę, na widowni zerwały się krzyki: „Wara od świętości narodowych!", „Brońmy honoru Polaka!". Przedstawienie przerwano, musiała interweniować policja. Okazało się, że rejwach wszczęła grupa studentów, dowodzona przez dwóch redaktorów „GW".

Sala mogła pomieścić 514 widzów. Bilety do lóż i pierwszych rzędów kosztowały 16–18 zł, w ostatnich, kupowane tuż przed występem – 2 zł. Stała klientela „kochanej starej budy" składała się z ludzi zamożnych i ze snobów. „W pierwszym rzędzie krzeseł pan Y, który trzęsie najpoczytniejszym dziennikiem, obok niego pani Z, której pierwszy mąż był ministrem, drugi bankierem, a trzeci jest gwiazdą rodzimego ekranu. W drugim rzędzie pogromca opozycji politycznej i odrodziciel kultury, dalej muza najpopularniejszego poety, najmodniejszy malarz, najlepiej ubrana dyrektorowa, najzjadliwszy felietonista, najpiękniejszy hrabia, najbogatszy grubas" – wyzłośliwiała się Maria Kuncewiczowa.

W kryminale „Czerwony błazen" w reżyserii Henryka Szaro załoga Qui Pro Quo wystąpiła pod szyldem kabaretu Złoty Ptak. Niestety, żadna kopia tego filmu nie dotrwała do naszych czasów. Dzisiaj możemy sobie tylko wyobrażać, jak Bodo wygłupiał się, śpiewając „Titinę", jak Pogorzelska w duecie z manekinem odśpiewała „Małego gigolo", jak młodziutka Górska radziła sobie z fokstrotem „Czy pani Marta jest grzechu warta", a Terné – wspierana przez orkiestrę Warsa – z nieśmiertelnym szlagierem „Kiedy znów zakwitną białe bzy". No cóż, na pytanie postawione przez rewelersów z Chóru Dana: „Co nam zostało z tych lat?" odpowiedź brzmi: „Niewiele".

Jak na ironię, teatrzyk z Senatorskiej upadł, będąc u szczytu powodzenia. Oficjalnie winien był kryzys gospodarczy. Wtajemniczeni wiedzieli jednak, że przyszłość „kochanej starej budy" od dawna wisiała na włosku. Rewię „Panie ministrze" po raz ostatni wystawiono 30 czerwca 1931 r. W lipcu zgodnie z tradycją „kwiprokpiarze" dali jeszcze serię gościnnych występów w Teatrze Wielkim we Lwowie i to był koniec. Tym razem nie udało się zmiękczyć serca komornika.

A TYMCZASEM POD ŁÓŻKIEM...

Oprócz legendy po kabarecie pozostał horrendalny dług: 770 tys. zł. Jak mogło do tego dojść? Owszem, fiskus zabierał ponad połowę urobku, lecz grano przecież przy kompletach publiczności. Współcześni obwiniali dyrekcję, która jak zahipnotyzowana spełniała każdą zachciankę rozkapryszonych artystów, płaciła wygórowane gaże, sama popisując się niewiarygodną rozrzutnością. Majde, jako zapalony kibic Polonii, wręczał darmowe wejściówki wszystkim piłkarzom, a kasjerka z pasażu Luxenburga miała zwyczaj płacić biletami na rewie w sklepach z szykowną odzieżą.

Beztroskę kabareciarzy po części tłumaczy ich młody wiek. Znaleźli się na szczycie, mając po dwadzieścia kilka lat. Trawestując bon mot Słonimskiego: Bóg powierzył im humor Polaków. Z dzisiejszej perspektywy widać jeszcze wyraźniej, że to nader utalentowane pokolenie osiągało sukcesy ponad stan. Tak samo było z II RP, która znienacka rozbłysła mocnym światłem i równie nagle zgasła. Tuwim, Hemar i Járosy nie zniknęli: ożywiali ducha „kochanej starej budy" w kolejnych teatrzykach, z najlepszym skutkiem w Cyruliku Warszawskim.

Ostatnim przedsięwzięciem Boczkowskiego przed II wojną światową był założony w 1937 r. kabaret literacki Małe Qui Pro Quo mieszczący się na pierwszym piętrze słynnej Ziemiańskiej. Ze starej gwardii udzielali się tam: Zimińska, Górska, Dymsza i Chór Dana. Teksty pisali młodzi: Jerzy Jurandot i Tadeusz Wittlin. Na początku września 1939 r. miał wystartować „Figaro". Járosy, szef projektu, działał z typowym dla siebie perfekcjonizmem. Próby do przedstawienia „Żyć, nie umierać!" przeciągnęły się do później nocy 31 sierpnia. Na koniec Fryderyk zaproponował artystom zaśpiewanie hymnu. Podobno wszyscy płakali.

Galeria Luxenburga spłonęła w czasie powstania, jej resztki rozebrano po wojnie. Włast i Majde zginęli w getcie warszawskim, Bodo na Syberii. Ocalałych „kwiprokpiarzy" podzielił stosunek do pojałtańskich porządków. Niezłomni, na czele z Hemarem, podtrzymywali na duchu polską emigrację. W kraju ludzie sentymentalni kupowali bilety do stołecznej Syreny, gdzie zatrudnili się: Dymsza, Górska i Krukowski (dyrektorskim stołkiem tego teatru władza ludowa kusiła do powrotu Járosego).

Eklektyczny repertuar Qui Pro Quo sprawia, że za spadkobierców teatrzyku Boczkowskiego można uznać projekty tak różne jak Kabaret Starszych Panów, Kabarecik Olgi Lipińskiej, Dudka Edwarda Dziewońskiego, Pod Egidą Jana Pietrzaka, nawet krakowską Piwnicę pod Baranami. Język aluzji, wypracowany przy ulicy Senatorskiej, idealnie pasował do nowych czasów. Czego jednak nie udało się komunie, dokonała demokracja. Inteligentna rozrywka, pozbawiona społecznej bazy i dopływu świeżej krwi, umiera. Nie żyje już nikt z tych, którzy na własne oczy oglądali występy „kwiprokpiarzy". Jeśli jednak w zaświatach istnieje strefa przeznaczona dla miłośników lekkiej muzy, to z pewnością dobiega z niej tupot nóg podopiecznych Tacjanny Wysockiej i dźwięki szlagieru „A tymczasem pod łóżkiem... stoi sprzęt zwany garnuszkiem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

Poczta Polska

GRUPA CEDROB

HM Inwest S.A.

eprasa.pl 41c41ae693

O co ta gra

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Po co opowiadamy sobie baśnie? W gąszczu odpowiedzi ucieka nam prawda oczywista: bo czujemy się dzięki temu lepiej

Ten efekt znajdziecie też w klasycznej powieści kryminalnej, westernie, fantazji. Oto równowaga w świecie zostaje zaburzona. Efektem zmian jest narastające zagrożenie. Dzięki działaniom bohaterów udaje się zagrożenie zneutralizować, sprawcę wskazać i ukarać. Nieważne, czy to zły czarodziej, przebiegły morderca czy herszt desperados najeżdżających wioskę bronioną przez siedmiu wspaniałych. Dochodzi do przesilenia, równowaga zostaje przywrócona, świat może funkcjonować dalej. Chociaż nie musi być już taki sam.

Czujemy się oszukani, czegoś nam brakuje, gdy baśń tych podstawowych funkcji nie wypełnia. Może być jednak czymś więcej, jak przekonywał Tolkien, zarówno pisząc „Władcę Pierścieni”, jak i analizując fenomen baśni, w której widział też drogę do moralnej przemiany, niemal ewangeliczny ratunek dla zagubionego człowieka. Oczywiście może być także dydaktyczna, podróżnicza czy satyryczna – schodząc szczebel niżej.

KULTOWOŚĆ U KRESU

Dni mijają, a spór o zakończenie serialu „Gra o tron” się nie kończy. Jedni przyglądają się źródłom sukcesu powieści George’a R.R. Martina, na których oparto serial, i wytykają błędy serialowych twórców. Inni idą dalej. Może kłopot mamy nie z „Grą o tron”, ale w ogóle z tym, jak zamykać znaczące dokonania telewizyjne? Słowo „znaczące” jest kluczowe. Seriali są tysiące, ale tylko niektóre z nich budzą tak gigantyczne dyskusje. Spierano się o koniec „Rodziny Soprano”, „Miasteczko Twin Peaks” czy „Lost”. O znaczenie ostatniego odcinka „Mad Men” albo „Breaking Bad”. Serial najpierw musi stać się kulturowym fenomenem, by wzbudzić tak wielkie emocje u swego kresu.

„Gra o tron” takim fenomenem się stała. Seria powieści fantasy publikowana od roku 1996 przez pierwsze lata zyskiwała fanów powoli, prawdziwą sensacją stała się dzięki wersji telewizyjnej, którą od kwietnia 2011 r. emitował kanał HBO. Teraz serial dobiegł końca, choć nie znamy zakończenia wersji powieściowej – Martinowi zostały do wydania jeszcze dwie powieści z zaplanowanej na siedem tomów całości. Podobno przedostatnie „Wichry zimy” mogą ukazać się jeszcze w tym roku. Kiedy przyjdzie czas na wielki finał w postaci tomu ostatniego – nie wiadomo.

Martin nie spieszył się z pisaniem, ale świat telewizji rządzi się swoimi prawami i kolejne sezony muszą pojawiać się w miarę regularnie. Gdy HBO pożarło już wątki dostępne w opublikowanych dotąd tomach, Martin opowiedział z grubsza producentom serialu, ku jakiemu zakończeniu zmierza. Resztę musieli dopowiedzieć sobie sami. Wielu fanów oceniło tę próbę surowo.

Pisarz miał oczywiście rację, pozostając powściągliwym. Działałby na własną

eprasa.pl 41c41ae693

szkodę, gdyby wszystkie tajemnice „Gry o tron", wszystkie niespodzianki i zakręty fabuły oddał telewizji. Po co ktokolwiek miałby sięgać po niewydane jeszcze książki, skoro wszystkiego dowiedział się z serialu? Martin zagrał sprytnie, od dłuższego czasu sygnalizując fanom, że drogi serii powieściowej i serialu się rozchodzą. Nawet jeśli kluczowe punkty zostały te same (nie mamy takiej pewności), to równie ważne jest to, jak autor je uzasadni. Teraz będzie mógł reklamować nowe książki hasłem: „Oto jak naprawdę skończyła się »Gra o tron«". Pieniądze z HBO dostał i tak.

Popsuty rozwój postaci, niewiarygodne, czasem absurdalne punkty zwrotne, nazbyt pośpieszne kończenie wątków – zarzutów do ostatnich dwóch sezonów „Gry o tron" było wiele. Znajdziecie w zachodniej prasie dziesiątki analiz, a w Internecie – tysiące. Większość jest bardzo trafna, wiele bardzo złośliwych. Zdecydowana większość nie wykracza jednak poza fanowski poziom refleksji: czy to dobrze, że X zabił Y, czy stało się to we właściwym miejscu i we właściwy sposób, dlaczego ten umierał krótko, a tamten długo. To poziom analizy opery mydlanej. A przecież ważniejsza jest inna kwestia: czy pod koniec serial zdradził ducha prozy Martina, czy wypaczył jej przesłanie.

Saga „Pieśń lodu i ognia" rozpoczęta powieścią „Gra o tron" jest unikatowym połączeniem klasycznej fantasy, powieści historycznej oraz szekspirowskiego dramatu władzy i ambicji. Przez pierwsze sezony serial był tej opowieści wierny, choć zmieniano na potrzeby małego ekranu poszczególne wątki, wycinano jednych bohaterów, dopisywano innych. Pod koniec tego wyczucia, doświadczenia i wiedzy twórcom serialu zabrakło, zredukowali więc „Grę o tron" do melodramatu, w którym najważniejsze są niespodziewane rewelacje rodzinne (kto jest czyim pociotkiem i czyj brat się odnalazł), a zwroty w zachowaniu głównych bohaterów nie są uzasadnione niczym poza pilną potrzebą wytworzenia efektownej sytuacji dramatycznej.

Pozostałe zarzuty – że za mało w finale mocnych kobiet, że zbyt mętne przesłanie polityczne – mam za drugorzędne. Saga Martina nie jest antyfantasy, tak jak nie była nią saga Sapkowskiego o Wiedźminie, choć jeden i drugi wiele w swych książkach zdekonstruowali. Mimo sprytnej żonglerki kliszami i odwracania znaczeń, mimo podkreślania niejednoznaczności (mamy łotrów, którym zdarza się kierować dobrymi chęciami, mamy pozytywne postacie, które kryją mrok w sercu) kibicujemy w tych dziełach najbardziej tym, którzy walczą o uczynienie świata lepszym i których cnoty przeważają nad przewinami. Wieloznaczność, nieoczywistość nie mogą oznaczać nijakości – tego scenarzyści ostatnich dwóch sezonów serialu nie zrozumieli. Także tego, że wpychanie na siłę do fantastycznej opowieści rozmaitych aluzji do świata realnego niszczy tylko podstawowe dla baśni, dla fantastyki, porozumienie między twórcą a odbiorcą, niszczy wspólne „zawieszenie niewiary".

KONIEC DLA WSZYSTKICH?

Za kilka lat będzie okazja, by porozmawiać o tym, jak wybrnął z tego George R.R. Martin, i by porównać jego wizję z dokonaniami producentów z HBO. Na razie z fali całkiem poważnej publicystyki wywołanej finałem „Gry o tron" najciekawsze wydają mi się rozważania na temat tego, czy w świecie współczesnej popkultury i mediów społecznościowych w ogóle są możliwe zadowalające wszystkich zakończenia. Zauważmy jednak, że jest różnica między „nie wszystkich zadowolić" a „skopać dokumentnie", więc spróbuję odsunąć się o krok od przedmiotu dyskusji i spojrzeć szerzej.

Powtarzalność i seryjność popkultury są wpisane w jej naturę. Nieważne, czy chodziło o tandetne broszurki o bohaterach z Dzikiego Zachodu czy niekończące się groszowe cykle kryminalne o „ajentach śledczych". Nieme kino dostarczało swoich niekończących się seriali o lubianych bohaterach, czytelnicy domagali się od Conan Doyle'a nowych opowiadań o Sherlocku Holmesie, a od Burroughsa – powieści o Tarzanie. Książka lub sztuka zekranizowana raz trafiała w nowej wersji na ekran ponownie, czasem już po kilku latach. Lubimy piosenki, które już znamy. Lubimy poczucie bezpieczeństwa i znajome twarze, które daje nam nowa odsłona dobrze znanej historii.

To jednak tylko jeden rodzaj przyjemności. Dość oczywisty. Drugim, dużo głębszym i dalece bardziej satysfakcjonującym, jest poczucie spełnienia, jest możliwość zamknięcia książki lub spojrzenia na napisy końcowe filmu lub serialu i wypowiedzenie zdania: „I tak oto dokonało się". Głęboko zakorzeniona jest w nas struktura mitu, opowieści o wyraźnym początku, przemianie i mocnym finale oraz o znaczeniu takiej podróży nie tylko dla bohatera – przede wszystkim dla nas! Była przedmiotem analiz Johna Campbella w „Bohaterze o tysiącu twarzy" i innych pracach psychologów, literaturoznawców oraz mitoznawców. Jest też fundamentem współczesnych podręczników scenariuszopisarstwa.

Nie przeszkadzały mi więc niedopowiedzenie i zawieszenie w finale „Rodziny Soprano" czy „Mad Mena" – ich bohaterowie swoją podróż odbyli. Do szału zaś doprowadził finał „Lost", który sprawiał, że pytaliśmy sami siebie: „To po cholerę myśmy się tym wszystkim emocjonowali tyle lat?!". W zakończeniu telewizyjnej „Gry o tron" próbowano nas przekonać do właściwej konkluzji, lecz doprowadzono do niej niewłaściwymi drogami, stąd poczucie niedosytu. Martinowi marzy się słodko-gorzkie zakończenie w duchu „Władcy Pierścieni". Myślę że jest w stanie takie napisać. Wiem już, że nie byli go w stanie napisać spece z HBO.

W wielu innych produktach współczesnej popkultury problem jest głębszy: nic nigdy nie kończy się naprawdę, za rogiem czekają kolejny sequel, kolejne wskrzeszenie bohatera, kolejne odgrzanie emocji. A nawet kiedy rzecz wydaje się definitywnie zamknięta, teraz okazuje się, że to tylko element multiwersum – w alternatywnej rzeczywistości można opowiedzieć tę samą historię trochę inaczej, a skoro można, to trzeba. Oto przykazanie rozrywki XXI w. Już wydarzyło się to w komiksowych uniwersach, za moment ujrzycie to samo w kinowych filmach, na początku opowieściach ze stajni Marvela (poczynając od filmu „Spider-Man: Daleko od domu", ale już wyraźnie wyłożono to w animowanym „Spider-Man Uniwersum"). A przecież to nie kwestia „co i jak się dzieje", lecz „dlaczego się wydarza" jest kluczem do satysfakcjonującej opowieści.

Wiemy, dlaczego opowiadamy baśnie. Dlaczego czujemy się zatem dziś nimi tak bardzo zmęczeni? Bo baśń musi mieć zrozumiały początek, konkretny powód i wyraźny koniec. Tylko koszmary nigdy się nie kończą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

Radosław Wojtas

Ten serial ściska za gardło od pierwszych minut i nie puszcza do samego końca. Pozbawia widza powietrza. Zupełnie jakby wokół naprawdę zaczęły krążyć „miliony radioaktywnych pocisków"

Śmierć wisi w powietrzu

Coś takiego nigdy nie zdarzyło się na planecie" – mówi jeden z głównych bohaterów serialu HBO „Czarnobyl", chemik Walerij Legasow. I stara się uświadomić partyjnym aparatczykom, z jakim problemem się mierzą. Bo z różnych względów nie od początku było to dla nich jasne, dość długo bagatelizowane, a później – tuszowane.

Dostępny w HBO GO „Czarnobyl" nie jest serialem dokumentalnym. To oparta na faktach, podkręcona na potrzeby trzymającego w napięciu serialu, pięcioodcinkowa fabuła, w którą wpleciono kilka prawdziwych postaci. I to losy tych bohaterów z krwi i kości do spółki z ciężkim klimatem sprawiły, że już po emisji trzeciego odcinka „Czarnobyl" został najlepiej ocenianym serialem w największej światowej bazie filmowej – serwisie IMDb. Serial ten to nie tylko opowieść o jednej z największych katastrof przemysłowych w historii, lecz także o państwie, w którym życie już nawet nie jednostki, ale setek, a nawet tysięcy obywateli jest niczym, gdy w grę wchodzi dobre imię partii i potęgi totalitarnego państwa.

Wśród bohaterów wzorowanych na żyjących naprawdę osobach jest wspomniany już chemik Walerij Legasow, ekspert komisji zajmującej się badaniem przyczyn katastrofy. Jest Boris Szczerbina, aparatczyk partyjny, zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRS, który kierował czarnobylską komisją. Jest Ulana Khomyuk, której postać scenarzyści zbudowali na podstawie życiorysów kilku żyjących naukowców. Jest w końcu (choć to nie ostatnia z postaci przeniesionych z ZSRS do serialu HBO) Anatolij Diatłow – jedna z kluczowych osób w historii katastrofy w Czarnobylu.

Oczywiście każda z nich skrojona pod hollywoodzką miarę. I tak np. Legasow to typowy naukowiec z amerykańskich filmów katastroficznych – który od początku jako jedyny lub jeden z nielicznych widzi zagrożenie i ostrzega całą resztę niczemu nieświadomych. W „Czarnobylu" występujący w nieco innych warunkach, bo co innego rzucić kilka cierpkich słów w twarz amerykańskiemu generałowi, a co innego towarzyszowi Gorbaczowowi. Szczerbina to z początku antypatyczny typ, którego z czasem da się polubić. Znajomość Legasowa i Szczerbiny to też typowo filmowa szorstka męska przyjaźń.

WYBUCH I CISZA

Zgodnie z Hitchcockową zasadą, że film rozpoczyna się trzęsieniem ziemi, a później napięcie już tylko rośnie, pierwsze sceny „Czarnobyla" przedstawiają samobójczą śmierć Walerija Legasowa (naukowiec powiesił się w drugą rocznicę katastrofy w Czarnobylu). Następne kadry to już tragiczny finał eksperymentu, który wymknął się spod kontroli. Eksperymentu, który 26 kwietnia 1986 r. doprowadził do przegrzania reaktora, wybuchu wodoru i trwającego dziewięć dni pożaru, który wzbijał w powietrze promieniotwórcze izotopy. Obrazowo efekty pożaru opisuje w serialu Walerij Legasow: „Każdy atom uranu 235 przypomina pocisk. Osiąga niemal prędkość światła. Przenika wszystko na swojej drodze: drewno, metal, beton, ciało. […] Wiatry rozniosą cząstki promieniotwórcze po całym kontynencie. Cząstki te spadną na nas z deszczem. Trzy miliony miliardów bilionów pocisków w powietrzu, którym oddychamy, w wodzie, którą pijemy, w żywności, którą jemy".

Chociaż opisy skutków katastrofy w serialu są nieco przesadzone, to zarówno w produkcji HBO, jak i w rzeczywistości w pierwszych chwilach po wybuchu nie zdawano sobie sprawy z zagrożenia. Używanym na początku miernikom promieniowania brakowało skali. Przyjęto więc, że jest znacznie niższe od rzeczywistego.

Ta z początku niewiedza, a później premedytacja w narażaniu ludzi biorących udział w akcji ratowniczo-gaśniczej jest w serialu HBO pokazana tak, że własna kanapa wydaje się miejscem nieprzyjaznym do życia. Tych, którzy ruszyli na śmierć, w „Czarnobylu" uosabia Wasilij Ignatienko.

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To strażak, który w dniu wybuchu zostaje zmobilizowany do gaszenia elektrowni, mimo że nie pełni w tym czasie służby. Po kilku dniach, obchodząc ze skóry i umierając w męczarniach na szpitalnym łóżku, dowiaduje się od trzymającej go za rękę i narażającej się na promieniowanie żony, że spodziewają się dziecka. Ignatienko istniał naprawdę, w rzeczywistości jego żona w kwietniu 1986 r. była w szóstym miesiącu ciąży. Serial dopowiada historię jej i dziecka zgodnie z rzeczywistością.

Nieodpowiednio zabezpieczeni byli także ci, którzy pracowali przy likwidacji skutków wybuchu, gdy skala skażenia była już znana. W serialu HBO są to zwłaszcza ludzie zrzucający fragmenty radioaktywnego grafenu, który zalegając na resztkach dachu zniszczonego w eksplozji budynku, uniemożliwia zamknięcie napromieniowanych zgliszcz w betonowym sarkofagu. Gdy zawodzą wszystkie metody, ze zdalnie sterowanym robotem przywiezionym z RFN włącznie, zapada decyzja: „Użyjmy biorobotów". Czyli... ludzi.

PRL W OBLICZU CZARNOBYLA

Władze ZSRS nie spieszyły się z ostrzeżeniem świata. O katastrofie nie informowano nawet „przyjaciół". 28 kwietnia, czyli dwa dni po wybuchu, stacja monitoringu radiacyjnego w Mikołajkach odnotowała obecność promieniotwórczych izotopów w powietrzu na poziomie ponad pół miliona razy większym niż zazwyczaj. W tamtym czasie obawiano się najgorszego, ale analiza wykazała, że źródłem obecności promieniotwórczych związków nie jest wybuch bomby atomowej, lecz pożar reaktora elektrowni jądrowej. Po południu Polska dowiedziała się o awarii z Radia BBC. Europa została ostrzeżona dzięki szwedzkim naukowcom, którzy również odnotowali promieniowanie – ponad 1100 km od Czarnobyla. ZSRS musiał się przyznać.

Władze PRL powołały specjalną komisję, która w nocy z 28 na 29 kwietnia zdecydowała o podaniu dzieciom preparatu jodowego. 29 kwietnia na spotkaniu KC PZPR podjęto decyzję o przekazaniu w mediach komunikatu z zaleceniami dla ludności, ale ostatecznie wycofano się z tej decyzji. Zamiast tego w prasie pojawiła się lakoniczna informacja, że nad Polską przeszedł radioaktywny obłok, ale nikomu nic nie grozi.

W obliczu próby ocenzurowania rzeczywistości ludzie szukali informacji na własną rękę, co tylko podsycało niepokoje. Oliwy do ognia dolewały chaotyczne i często sprzeczne działania oraz komunikaty władz PRL. Najpierw zakazano wypasu krów na pastwiskach, zalecano podawanie dzieciom wyłącznie mleka w proszku, a niedługo później uspokajano: „Dzieciom nic się nie stanie, jak pobiegają sobie na świeżym powietrzu, najwyżej będą musiały się częściej myć, ale wyjdzie im to na zdrowie".

Zapasów tabletek z jodem w PRL nie było, zamiast tego zdecydowano się podać przechowywany na wypadek nuklearnego kryzysu płyn Lugola. Profilaktyką objęto tylko dzieci i młodzież ze wschodnich województw. Co nie poprawiło nastrojów, bo znaczna część społeczeństwa miała poczucie, że preparat podaje się zbyt późno, a objęcie profilaktyką tylko dzieci i młodzież wynika z braku zapasów płynu, a nie z tego, że starsi są mniej narażeni. W Olsztynie niepokojono się, że „Warszawa dba tylko o siebie, jak starczy leków, to dopiero dadzą w teren", a w Lesznie zauważano, iż płyn najpierw dostają dzieci milicjantów i esbeków. Toruń żył plotkami, że miasto zostanie odcięte od wody. Matki z dziećmi po płyn Lugola często musiały ustawiać się w długich kolejkach.

Nawet wybuch w elektrowni atomowej nie mógł popsuć władzy świętowania. Pochodów pierwszomajowych nie odwołano. Partia oceniła później, że katastrofa nie zmniejszyła frekwencji.

MOGŁO BYĆ GORZEJ

Dzisiaj wiadomo, że obawy Polaków były bezpodstawne. Ocenia się, że w pierwszym roku po wybuchu w Czarnobylu statystyczny mieszkaniec Polski przyjął w związku z katastrofą dawkę promieniowania w wysokości 0,3 milisiwerta (skrót: mSv; to mniej więcej tyle, ile podczas robienia zdjęcia rentgenowskiego głowy), a w ciągu 70 lat będzie to 0,9 mSv. Osoby, które zginęły w Czarnobylu, otrzymały w krótkim czasie dawki promieniowania sięgające nawet kilkunastu tysięcy milisiwertów, a pracujący przy likwidacji skutków katastrofy – przeciętnie po 100 mSv w dwa lata.

Wciąż trwa spór co do liczby ofiar katastrofy. Według raportu Komitetu Naukowego ONZ ds. Skutków Promieniowania Atomowego 134 osoby (pracownicy elektrowni i członkowie ekip ratowniczych) były narażone na bardzo wysokie promieniowanie, 28 z nich zmarło właśnie w wyniku napromieniowania, a dwie osoby – od oparzeń. Specjaliści w raporcie dla WHO, ONZ i Międzynarodowej Agencji Atomowej szacują, że z powodu promieniowania u od 4 do 9 tys. ludzi może wystąpić rak tarczycy. Jednak już organizacje ekologiczne mówią o setkach tysięcy zgonów.

REŻ. JOHAN RENCK
„CZARNOBYL" („CHERNOBYL")
USA/WIELKA BRYTANIA
wyst. Jared Harris, Stellan Skarsgård, Emily Watson, Philip Barantini, Jessie Buckley

Wyobrażenia o skali zniszczenia po Czarnobylu przerosły rzeczywistość. Legendę stworzyła popkultura, przeciwnicy energetyki jądrowej, swoje zrobiły też próby ukrywania informacji o katastrofie. Jednak rzeczywistość – o czym przypomina serial HBO – mogłaby być znacznie bardziej tragiczna, gdyby nie „bioroboty".

To jeszcze nie koniec. Resztki reaktora po raz kolejny zabezpieczono w 2016 r. ważącą niemal 30 ton konstrukcją (sfinansowaną z pieniędzy pochodzących spoza Ukrainy; Polska wyłożyła 1,5 mln euro). Ma spełniać swoją funkcję przez sto lat. Resztki po Czarnobylu mogą być niebezpieczne 10 razy dłużej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

W czepku urodzony

Najlepsze państwa do życia to Szwajcaria, Kanada i Niemcy – twierdzi wujaszek Google. Polska zajęła w tym rankingu zaszczytne 32. miejsce. Z innych badań wynika, że idealnym miejscem dla amatorów wysokich zarobków jest Singapur, kandydatów na naukowców – Wielka Brytania, zaś emerytów – Kostaryka. Kraj najbardziej przyjazny dla kobiet to Szwecja (stref szariatu chyba nie uwzględniono).

A gdzie najlepiej jest być podrzutkiem? Po obejrzeniu „Wymarzonego" nie mam wątpliwości – we Francji. Film Jeanne Herry każdego sceptyka przekona, że rodacy Kartezjusza stworzyli system adopcyjny, ocierający się o doskonałość. Po prostu mysz się nie prześliźnie. Tamtejsi pracownicy szpitali położniczych i opieki społecznej w niczym nie przypominają aroganckich, zimnych biurokratów. Owszem, przestrzegają procedur, lecz tylko dla dobra wszystkich zainteresowanych.

Każdy przypadek jest traktowany indywidualnie i z najwyższą starannością. Kandydaci na zastępczych rodziców na pozytywną decyzję czekają nawet po 10 lat. Wcześniej są sprawdzani na wszelkie możliwe sposoby. Muszą potulnie odpowiadać na pytania w stylu: „Życie składa się z łąk i pól minowych. Jak poradziłaś/poradziłeś sobie z przejściem przez te pola?". Przekonanie jednego urzędnika wcale nie załatwia sprawy. Specjalna komisja oceni, czy już dojrzałeś do tego, by zostać dobrą matką lub dobrym ojcem.

Kto, śledząc ostatnie medialne doniesienia, nabrał przekonania, że Francuzi to agresywni frustraci, skorzy do podpalania cudzych samochodów i naparzania się z policjantami, może doznać szoku, widząc na ekranie wyłącznie sympatycznych oraz empatycznych ideowców. Losy ich podopiecznych śledzimy na przykładzie niemowlaka płci męskiej, niechcianego owocu studenckiego romansu. Kto myśli, że Herry potępia kobiety, pozbawione instynktu macierzyńskiego, które z lekkim sercem wyrzekają się własnych dzieci, tkwi w błędzie.

Mama nie stanęła na wysokości zadania? Trudno, mały Theo do czasu, gdy nie znajdzie się nowa, trafi pod opiekę fachowca. Pielęgniarz Jean bije rekordy anielskości, nic więc dziwnego, że panie wodzą za nim tęsknym wzrokiem (choć jest żonaty). „Wymarzony" to film wzruszający, lecz zwodniczy. Łapie widza w emocjonalną pułapkę, udając cinéma vérité, którym nie jest. W realnym świecie nadgorliwość Jeana, jego koleżanki i kolegów zakończyłaby się dla nich ciężkim, psychicznym kryzysem. Komedia kryminalna „Fanka", reżyserski debiut Herry, była o klasę słabsza, lecz uczciwsza. W obu filmach pierwsze skrzypce gra ta sama aktorka: Sandrine Kiberlain. I nie fałszuje. ©℗

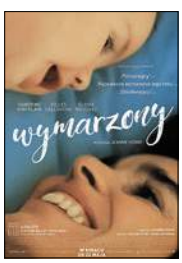

★★★★☆☆

REŻ. JEANNE HERRY
„WYMARZONY" („PUPILLE")
BELGIA/FRANCJA 2019

wyst. Sandrine Kiberlain, Gilles Lellouche, Élodie Bouchez

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ROCKETMAN"

Trzy tygodnie po premierze w Cannes opowieść o Eltonie Johnie trafia i do polskich kin. Rzecz trochę podobna do „Bohemian Rhapsody", ale opowiedziana z większą inwencją, bo biografia miesza się tu z fantazyjnymi wstawkami inspirowanymi twórczością piosenkarza. Reżyser (i aktor) Dexter Fletcher dokończył zresztą „Bohemian Rhapsody", kiedy z powodu oskarżeń o molestowanie seksualne odebrano tamten film Bryanowi Singerowi. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Rocketman", reż. Dexter Fletcher, wyst. Taron Egerton, Jamie Bell, Richard Madden, Wielka Brytania 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„X-Men: Mroczna Phoenix", reż. Simon Kinberg, USA 2019***
- ***„Catalina", reż. Denijal Hasanović, Polska / Bośnia i Hercegowina 2017***
- ***„Milcząca rewolucja", reż. Lars Kraume, Niemcy 2018***
- ***„Jestem William", reż. Jonas Elmer, Dania 2017***

eprasa.pl 41c41ae693

Uwierz w przeznaczenie

Miłość od pierwszego wejrzenia jest super, ale najpierw porozmawiajmy o pieniądzach. „Ponad wszystko" – adaptacja debiutanckiej powieści Nicoli Yoon z gatunku „young adult" – tylko w kinach zarobiła 50 mln dol. Wytwórnie Warner Bros. i MGM prędziutko kupiły więc prawa do ekranizacji kolejnego dzieła ulubienicy nastolatek. Niestety, tym razem zamiast zysku będą chyba straty.

Yoon ukończyła kurs kreatywnego pisania i wie, że przeciwieństwa się przyciągają. Jeśli on jest romantykiem, to ona musi wyznawać światopogląd naukowy. W jeden dzień rozkochać w sobie dziewczę niewierzące w miłość i przeznaczenie – oto misja godna współczesnego Romea.

Daniel ma korzenie koreańskie, Natasha urodziła się na Jamajce. Zupełnie jak Nicola i jej mąż. Głównym bohaterem tej opowieści w gruncie rzeczy jest Nowy Jork, sportretowany jako miasto poetów i marzycieli, a przy okazji tygiel ras i kultur. Nie wszyscy przebywają w tym raju legalnie, lecz autorzy filmu wolą piętnować bezduszność polityki imigracyjnej USA niż ludzi, którzy łamią prawo.

Tytuł jest aluzją do zainteresowań Natashy, z upodobaniem cytującej złote myśli astronoma Carla Sagana. Domyślam się, że amerykańskich widzów odstraszyły przemądrzałość i wydumana fabuła. Bo o rasistowskie uprzedzenia nie śmiem ich podejrzewać. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. RY RUSSO-YOUNG
„SŁOŃCE TEŻ JEST GWIAZDĄ" („THE SUN IS ALSO THE STAR")
USA 2019

wyst. Yara Shahidi, Charles Melton, John Leguizamo

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NIE UFAJ NIKOMU

Amerykanie też mają swoje kino społeczne. Czasem to intrygujący dokument (tak jak nominowany do Oscara „Jutro albo pojutrze"), często opowieść o zwykłych ludziach wchodzących w konflikt z prawem, bo przekonanych, że nie ma innego wyjścia. „Kokainowy Rick" to historia nastolatka, który robi szybką karierę jako diler narkotyków grający na dwie strony, bo do przestępczego procederu nakłaniają go policjanci, których jest informatorem. W tle mamy pogrążone w kryzysie gospodarczym, popadające w ruinę Detroit oraz Matthew McConaugheya w roli ojca na co dzień sprzedającego używaną broń, a w wolnych chwilach śniącego o przyszłym zyskownym biznesie. Rick (w tej roli świetnie wypadł debiutant Richie Merritt) szybko przekonuje się, że honoru brak nie tylko między złodziejami, lecz także wśród stróżów prawa. W chwili próby nie będzie mógł liczyć na dobre słowo tych, dla których pracował i przez których zszedł na złą drogę.

★★★★☆☆

REŻ. YANN DEMANGE
„KOKAINOWY RICK"
USA 2018, DYSTR. IMPERIAL

wyst. Matthew McConaughey, Richie Merritt, Bel Powley

WIELE HAŁASU O NIC

„W »Zabójczych maszynach« nieskrępowana fantazja ostatecznie przeważa nad ideologią" – pisałem w ubiegłym roku, recenzując powieść Philipa Reeve'a. Odnalazłem w niej „klimat ekscentrycznych brytyjskich fantazji, od Wellsa przez steampunk do powieści Neila Gaimana". W wersji kinowej niewiele z tego uroku pozostało. Zgadza się sceneria: gościmy w postapokaliptycznej przyszłości, kiedy to ludzkie niedobitki żyją w olbrzymich wędrownych miastach, przemierzających na wielkich gąsienicach dna wyschniętych oceanów. Akcenty postawiono jednak inaczej i wyszedł z tego traktat o złu wyrządzanym przez cywilizację wstrętnego białego człowieka kolorowej multi-kulti reszcie świata. Ocena widzów była bezlitosna – kosztująca niemal 150 mln dol. produkcja przyniosła ledwie 80 mln dol. i okazała się jedną z największych finansowych klap minionego roku. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★☆☆☆☆

REŻ. CHRISTIAN RIVERS
„ZABÓJCZE MASZYNY"
USA 2018, DYSTR. FILMOSTRADA

wyst. Hera Hilmar, Robert Sheehan, Hugo Weaving

GRA TYGODNIA: „A PLAGUE TALE: INNOCENCE" ★★★★★☆

Dwie sieroty pozostawione na pastwę losu w XIV-wiecznej Francji, dręczonej przez plagę czarnej śmierci i wszechobecne hordy szczurów. Brzmi mrocznie i tajemniczo zarazem? Dobrze, bo właśnie taki klimat towarzyszy graczom zasiadającym przed nową produkcją Asobo Studio. Jej siłą jest ciekawie opowiedziana historia, łącząca autentyczne wydarzenia z inwentarzem fantasy. Większość walk główna bohaterka, starająca się ocalić młodszego brata, odbywa, skradając się oraz używając sztuczek i procy – to teoretycznie ma nas sprowokować do myślenia. Niestety, gdy zaczyna się robić ciekawie, gra okazuje się liniowa i prosta. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Przygodowa/TPP*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Asobo Studio/Focus Home Interactive*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 41c41ae693

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wańkowicz wciąż pisze

Bohater tej książki, jeden z najlepszych (i najpopularniejszych) pisarzy polskich XX w., autor arcydzielnego „Ziela na kraterze" i wielkiego wojennego fresku „Bitwa o Monte Cassino", nie ma, jak dotąd – a od jego śmierci minie we wrześniu 45 lat – klasycznej biografii. A jednak pamięć o nim ma się nie najgorzej, a to za sprawą Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, która o Melchiorze Wańkowiczu pisze „od zawsze", i w Polsce, i w Ameryce, gdzie mieszka od 1990 r. W ostatnich dniach ukazała się, nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, grubo ponad 600-stronicowa praca jej pióra – „Wokół Wańkowicza".

W jednym tomie znalazły się tu poprzednie książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm: „Blisko Wańkowicza" i „Na tropach Wańkowicza po latach", poszerzone obecnie o analizy dokumentów z Instytutu Pamięci Narodowej i inne materiały, a także nowe opinie krytyczno-literackie. Dla miłośników twórczości autora „Szczenięcych lat" rzecz bezcenna. Co ja jednak będę opowiadał truizmy, zwrócę raczej uwagę na kilka tematów unoszących się nad tą książką niczym duchy, niekoniecznie dobre.

Po pierwsze, wciąż nie mogę przejść do porządku dziennego nad opowieścią „Gryfa", zmarłego dwa lata temu świadka ostatnich godzin życia córki pisarza, Krystyny Wańkowiczówny, jej dowódcy. Doprawdy, jest zdumiewające, że ze swoją relacją czekał on (w powstaniu warszawskim sierżant podchorąży, pośmiertnie awansowany do stopnia generała dywizji!) do 2010 r.! To, że był agentem brytyjskiego wywiadu, nie usprawiedliwia niczego. Czyżby nie czytał „Ziela na kraterze", nie wiedział, że odpowiedzi na pytanie o okoliczności śmierci i miejsce pochówku łączniczki „Anny" szuka rodzina, że Wańkowicz poprzez

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

biura ewidencji próbował namierzyć „Gryfa", ten jednak przepadł jak kamień w wodę. Rozmowa z nim, przeprowadzona przez Aleksandrę Ziółkowską-Boehm grubo ponad pół wieku po powstaniu, ma gorzki posmak, czego nie zmienia to, że Krysia Wańkowiczówna stała się w minionych latach patronką szkół i drużyn harcerskich, bohaterką, którą była w istocie. Swoją drogą, na co czekają filmowcy, mając w ręku taki materiał, jakim jest „Ziele na kraterze"? Wypreparowanie z tej powieści (?) wątku Krysi i zaadaptowanie go na ekran pozwoliłoby stworzyć obraz nawiązujący do naszych najlepszych filmów o powstaniu.

Kapitalne są fragmenty książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm dotyczące relacji Wańkowicza z paryską „Kulturą", a zwłaszcza jej redaktorem, Jerzym Giedroyciem. Niezależnie od wysoko rozwiniętego egocentryzmu obu panów rzuca się w oczy małostkowość Giedroycia, który najwyraźniej w świecie fatalnie znosił żarty o sobie i tak jak obraził się na Stefana Kisielewskiego, który sparodiował go jako radcę Gieysztora w „Sprzysiężeniu", tak miał za złe Wańkowiczowi, że w „Drodze do Urzędowa" zrobił z niego Piotra Kupścia-Massalskiego. Ale że był książę redaktor realistą politycznym, swoje zdanie o Wańkowiczu zmieniał, tyle że z sobie tylko wiadomych powodów dopuścił do druku w „Kulturze" tekst Tadeusza Kallenbacha, mający wyraźne cechy paszkwilu. A stało się to bezpośrednio po śmierci Wańkowicza.

Na pewno do bardziej interesujących należą też fragmenty książki odnoszące się do procesów Melchiora Wańkowicza, nie tylko tego najbardziej znanego, z 1964 r. po „Liście 34", w którym pisarz został skazany na trzy lata więzienia, tyle że komunistom zabrakło odwagi, by ten hańbiący polskie sądownictwo wyrok zrealizować. Autor „Tędy i owędy" sądził się także z literatami, m.in. ze Stanisławem Strumph-Wojtkiewiczem, o kłamstwo zawarte w jego wspomnieniach, w złym świetle stawiające Wańkowicza, czy z Władysławem Machejkiem, któremu obowiązki redaktorskie wyraźnie myliły się z cenzorskimi.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm po raz pierwszy zadzwoniła do mieszkania Melchiora Wańkowicza 20 maja 1972 r. Była studentką polonistyki piszącą pracę magisterską o autorze „Hubalczyków". Została magistrem, później obroniła doktorat, a pisarz zatrudnił ją jako sekretarkę. Była jego researcherką, zbierała materiały do „Karafki La Fontaine'a", którą jej właśnie Wańkowicz zadedykował. A w testamencie przekazał jej swoje archiwum, z którego użytek czyni po dziś dzień, najlepszy z możliwych. Od dawna uprawia swoją indywidualną twórczość; pisze o Ameryce, Indianach, także… kotach, ale przede wszystkim o polskiej historii (m.in. „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon", „Kaja od Radosława"). Ani przez chwilę nie zapominając o człowieku, który wprowadził ją do literatury. Takiej rekomendacji można tylko pozazdrościć, ale autorka „Wokół Wańkowicza" okazała się jej godna. ©℗

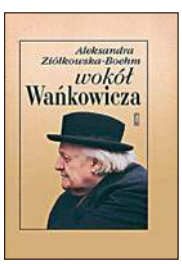

★★★★★★

ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM „WOKÓŁ WAŃKOWICZA" PIW 2019

eprasa.pl 41c41ae693

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Blues Moby'ego

Moby, którego poznajemy w autobiograficznej książce „Porcelain. Wspomnienia", przypomina animowanego ludzika znanego z teledysków do jego piosenek. Samotny, dobroduszny facecik, którego najlepszym przyjacielem jest pies. Albo zagubiony na Ziemi poczciwy kosmita, który bezskutecznie próbuje nawiązać kontakt z obojętnie mijającymi go ludźmi.

„Któż to ten Moby?" – może ktoś zapytać. Znacie go dobrze, choć wielu może nie kojarzyć. Słyszeliście na pewno jego remiks tematu muzycznego z filmów o Bondzie albo piosenkę „Extreme Ways" towarzyszącą filmom o Jasonie Bournie. Lub jeden z wielu elektronicznych, melodyjnych hitów: „Porcelain", „Natural Blues", „Lift Me Up" czy „We All Are Made of Stars".

Książka słynnego DJ-a i muzyka to kawał ciekawego pisania, w którym opowieść o początkach kariery Moby'ego jest ledwie połową frajdy. Drugą połowę zapewnia spostrzegawcze oko autora, który opowiada o Nowym Jorku, w którym się wychował, doczekał sławy i w którym jest zakochany. To wszak najpiękniejsze miasto świata, jak twierdzi. Mimo że oznaczało dla niego klepanie biedy, samotność, głód, mieszkanie na nielegalu w opuszczonej fabryce bez wody w klitce obudowanej płytami z paździerza. Był tam jednak prąd, a to wystarczało, by młody Moby mógł pracować nad swoimi miksami.

Upór, talent, jeszcze więcej uporu i ciężkiej pracy plus odrobina szczęścia – oto droga Moby'ego. Zaczynał od grania w nowojorskich klubach za psie stawki. Łapał się każdej roboty, włącznie z przygrywaniem na orgiach swingersów. Zawsze jednak najbardziej kręciło go robienie własnej muzyki, nawet jeśli przez długi czas lepił ją tylko z cudzych dźwięków. Jednocześnie trzymał się z dala od narkotyków i był głęboko wierzący, dzięki czemu opis nowojorskich nędznych ulic oraz rozpasanego życia bohemy jest u niego tyleż precyzyjny, co obiektywny. I smutny. Nowy Jork, miasto świata, tętni muzyką i sztuką, ale jest też morzem śmieci i ćpunów, rozjaśnianym głównie optymizmem życiowym narratora.

Żeby nie było zbyt optymistycznie: kiedy przyszedł wielki sukces (książka „Porcelain" kończy się w roku 1999, kiedy kariera Moby'ego eksplodowała dzięki płycie „Play"), muzyk musiał przejść własną dolinę cienia, z uzależnieniami włącznie.

O tym pisze już jednak w następnej książce „Then It Fell Apart", która ukazała się w USA kilka tygodni temu. Aha, jeszcze jedno. Po drodze stracił też gdzieś wiarę. Teraz jest ateistą. Nieunikniony skutek życia w show-biznesie? ©℗

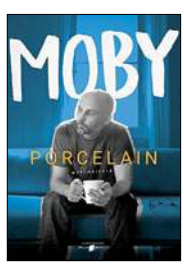

★★★★★☆
MOBY
„PORCELAIN. WSPOMNIENIA"
WYDAWNICTWO PLANETA

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Fundamentalna praca geopolityczna brytyjskiego geografa, autora koncepcji Heartlandu i Światowej Wyspy. Uzupełniona o inne ważne teksty, w tym „Geograficzną oś świata". Tego tytułu nie można przegapić!

HALFORD J. MACKINDER
„DEMOKRATYCZNE IDEAŁY A RZECZYWISTOŚĆ"
ZONA ZERO

Zbiór tekstów prasowych autora „Morfiny" (źródła: „Pani" i „Nowe Peryferia"), najciekawszych, gdy okazują się komentarzem do ważnych motywów jego twórczości („Wrogość ciała", „Dlaczego nie jestem Scytą", „Kwestionariusz").

SZCZEPAN TWARDOCH
„JAK NIE ZOSTAŁEM POETĄ"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Zbiór opowiadań autora znanego z licznych publikacji w magazynach poświęconych broni i strzelectwu. Od Rosji do Falklandów, od frontu zachodniego do Afryki – o strzelcach wyborowych i ich śmiercionośnych narzędziach.

MAREK CZERWIŃSKI
„SNAJPERZY"
WARBOOK

Wspólne dzieło trzech naukowców (oprócz Tysona są nimi Michael A. Strauss i J. Richard Gott), przepięknie ilustrowana i przystępnie napisana podróż po najważniejszych zagadnieniach współczesnej astrofizyki i astronomii. ©℗

poleca Piotr Gociek

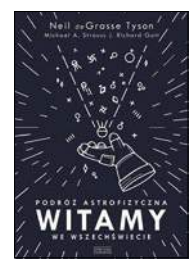

NEIL DEGRASSE TYSON
„WITAMY WE WSZECHŚWIECIE"
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. *Remigiusz Mróz „Listy zza grobu" (Filia)*
   – pierwszy tom nowej serii poczytnego autora. Główny bohater – patomorfolog Seweryn Zaorski.
2. *Tomasz Piątek „Morawiecki i jego tajemnice" (Arbitror)*
   – kombinacja pomówień i ryzykownych teorii autora, któremu wszystko się kojarzy.
3. *Camilla Lackberg „Złota klatka" (Czarna Owca)*
   – pierwszy tom nowej serii popularnej autorki skandynawskich kryminałów.
4. *Adam Ostrowski „Brzydki, zły i szczery" (Wielka Litera)*
   – O.S.T.R., ikona polskiego rapu, opowiada o swym życiu i karierze. Wciągające.
5. *Frederic Martel „Sodoma" (Agora) – francuski autor książek o kulturze amerykańskiej i gejowskiej pisze o homoseksualizmie w Watykanie.*

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 6 do 19 maja 2019 r.)

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. KASIA SKRZYPEK/FACEBOOK/HAŃBA!

Hańba! z międzywojnia

Opowieść snuta przez zespół Hańba! wkracza w najbardziej dramatyczną fazę. W alternatywnej rzeczywistości niecodziennego projektu muzycznego mamy właśnie rok 1939 (zespół „powstał" w 1931 r.). Poprzedzające wybuch II wojny światowej lata, nastroje, decyzje, ludzie i zdarzenia, które są tematami dotychczasowych nagrań Hańby!, też są pełne dramatyzmu.

Hańba! na wydarzenia, o których opowiada, patrzy oczami im współczesnymi. Opisuje rzeczywistość słowami poetów, w tym Juliana Tuwima, Władysława Broniewskiego, Lucjana Szenwalda czy Zuzanny Ginczanki. Opisuje (a właściwie piętnuje, bo skupia się na tym, co ich zdaniem w międzywojniu najgorsze) problemy społeczne, wzrost napięcia i militaryzm oraz wydarzenia historyczne, np. zamach na prezydenta Narutowicza. Zresztą nazwa zespołu ponoć wzięła się właśnie z filmu o zamachu („Śmierć prezydenta" Jerzego Kawalerowicza), w którym „hańba" to często padające słowo.

Muzycy nie tylko śpiewają i grają tak jak w międzywojniu, nie tylko tak wyglądają, lecz także nie wychodzą z roli w komunikacji z fanami. I tak potrafią na swój facebookowy profil wrzucić taki post: „Kanclerz Hitler przed tygodniem jednostronnie wypowiedział pakt o nieagresji wobec Polski. Wczoraj, 5 maja, minister Beck jednostronnie uznał, że milszy mu honor niż pokój". A opisując swój zespół, tworzą już zupełnie alternatywną rzeczywistość: „W 1931 roku na krakowskim Podgórzu powstała orkiestra podwórkowa. [...] Zbuntowana Orkiestra Podwórkowa Hańba! jest muzyczno-literacką fikcją udowadniającą, że punk rock nie powstał na Wyspach Brytyjskich w hałaśliwych latach 70., lecz stworzono go w burzliwych czasach II Rzeczypospolitej [...]".

To wszystko sprawia, że w świat wykreowany przez czterech muzyków – Andrzeja Zamenhofa (właśc. Andrzej Zagajewski), Wiesława Króla (Michał Radmacher), Adama Sobolewskiego (Mateusz Nowicki) i Ignacego Wolanda (Jakub Lewicki) – warto wejść, nawet jeśli politycznie nam z nimi nie po drodze (uwaga zwolennicy sanacji!). Tym bardziej że to projekt bardzo poczciwy muzycznie. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Nasz Grek i przyjaciele

Milo Kurtis, syn greckich imigrantów politycznych, dopiero od czterech lat jest Polakiem. Za to od pół wieku to jedna z najbardziej kreatywnych postaci na naszej scenie muzycznej.

Milo grywa muzykę od free jazzu do punky reggae. Jednak jego głównym żywiołem jest fuzja wszelakich odmian world music. Dzięki niemu na jednej scenie w lutym 2018 r. stanęli: jemeńska wokalistka Rasm al-Mashan, grający na korze Gambijczyk Buba Kuyateh, wirtuoz darbuki Syryjczyk Adeb Chamoun oraz Polacy: Mateusz Szemraj (oud, rebab, cymbały) i Mariusz Kozłowski (saksofon). On sam zagrał zaś na takich instrumentach, jak: klarnet, djembe, kalimba, didgeridoo, na instrumentach perkusyjnych oraz używał głosu.

Kwiecisty Milo Ensemble zabiera nas w transową podróż tworzoną przez przepiękne, akustyczne brzmienia. Koncert odbył się po zaledwie dwóch próbach i dlatego w grze zespołu istotna jest jazzowa improwizacja. Najbardziej wyraźna jest w 17-minutowej „Ta-Ma-Rze", w której dodatkowo pojawia się element muzycznej medytacji.

Podobnych multikulturowych spotkań znajdziemy wiele na płytach z world music. To warszawskie, dzięki charyzmie Milo Kurtisa (byłby idealnym ministrem kultury), uwodzi spontanicznością i radością emanującą z gry muzyków. Warto promować tego typu inicjatywy. ©℗

★★★★☆☆

MILO ENSEMBLE
„LIVE AT PROM KULTURY"
MILO

★★★★☆☆

SORRY BOYS
„MIŁOŚĆ"
MYSTIC

Bela Komoszyńska śpiewa o różnych aspektach miłości, również tej macierzyńskiej. Czwarty album grupy jest przystępny, ale muzycznie bezkompromisowy. Oczarowuje różnorodność aranżacyjna i instrumentalna. W „Carmen" pojawia się Kayah.

★★★☆☆☆

RÓŻNI WYKONAWCY
„FOR THE THRONE"
COLUMBIA/HBO

Album z piosenkami inspirowanymi serialem „Gra o tron". Alternatywny The National, latynoska Rosalía, country'owa Maren Morris, folkowy The Lumineers... Bojowo, patetycznie, ale i tanecznie, o czym świadczy singlowy „Power Is Power". ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Opium dla klasy średniej

Gdyby ktoś był na tyle nierozsądny, aby mnie zapytać, po co właściwie dziś żyjemy, to odpowiedziałbym bez wahania: żeby oglądać seriale.

Dzisiejszy człowiek poszukuje poklasku w mediach społecznościowych oraz świetnych seriali. Myślę, że gdyby zbadać, czym jest dla przeciętnego człowieka szczęście, ale tak naprawdę, bez ściemniania i górnolotnych bzdetów o rodzinie lub rozwoju osobistym, to z zakamarków wielu różnych dusz wycisnęlibyśmy dość podobny obraz: odpłynięcie przy bardzo wciągającym wielosezonowym serialu z zaskakującymi zwrotami akcji. Plus wino i przekąski w gratisie.

Pytanie o serial godny polecenia jest chyba najczęstszym, z jakim się stykam zarówno w życiu realnym, jak i wirtualnym. Moi znajomi są na wiecznym głodzie. Już coś kończyli, ale chcieliby się wciągnąć w kolejny. I zaraz z niepokojem się rozglądają za następnym. To dobre? To warto? A to widziałem – mega! Byle tylko nie zostać bez czegoś, co może wypełnić kilka godzin wieczornego relaksu.

Oglądają samotnicy, ale i małżeństwa. Ludzie się o seriale spierają, prawie tak jak o politykę. A nawet bardziej. Finalny sezon „Gry o tron" wywołał ogólnonarodową (przepraszam: ogólnoświatową) dyskusję, która całkowicie przyćmiła kolejne zabawne odkrycia „Gazety Wyborczej", tym razem na temat Morawieckiego. Miała rację Holland/Janda/Stalińska, gdy rozpaczliwie krzyczała na młodych ludzi, że tolerują rządy PiS. – Ockniecie się, jak wyłączą wam Netfliksa? – pytała płaczliwie. No właśnie, nie wyłączą. Tacy głupi to nie są.

Serial z gatunku dość pogardzanego (za czasów mego pacholęctwa mieliśmy niezłą polewkę z matek chłonących „Niewolnicę Isaurę" czy „Ptaki ciernistych krzewów") stał się czymś bardzo sexy i trendy. Stał się synonimem jakości, odkrywczości i rozrywki na najwyższym poziomie.

Czy słusznie? Trochę tak. Powstało wiele bardzo ciekawych seriali przeznaczonych dla dość wyrafinowanej publiczności, a w każdym razie bardziej wyrafinowanej niż masowa publiczność kinowa. Serial przestał być zesłaniem dla scenarzysty, aktora, a nawet reżysera, co wpłynęło na poziom produkcji, podobnie jak większe budżety. Boom na seriale spowodował jednak nadprodukcję. Kolejne dzieła zaczęły się do siebie upodabniać, brnąć w schematy albo prześcigać w niedorzecznych pomysłach. No i żenować zakończeniami. Poza tym naprawdę niełatwo trzymać równy poziom przez kilka albo i kilkanaście sezonów. Większość seriali przypomina notowania Nowoczesnej: zaczynają z wysokiego C, a potem z rozmaitymi podrygami ryją w muł.

Karol Marks określił religię mianem opium dla ludu. Myślę, że seriale to opium dla klasy średniej. Nic więc dziwnego, że jako bardzo średni człowiek lubię pozażywać. Chociaż przyznam, że wciągam się coraz rzadziej. Na pewno to starość. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Dobra rada

Wielu zadaje sobie ostatnio pytanie: Co powinni zrobić przywódcy PO, żeby wygrać jesienią? Odpowiedź jest krótka – nic. Trener drużyny, która w najbliższych mistrzostwach nie ma szans, odpuszcza je i przygotowuje się do następnych. Byle z głową.

W najbliższych wyborach sukces mógłby przynieść tylko cud, a sądzę, że klakierzy pana Jażdżewskiego nie mogą liczyć na pomoc Opatrzności. Wszelkie rezerwy zostały wyczerpane. Kaperunek Biedronia arytmetycznie wiele nie da. Razem z Zandbergiem to byłoby 46 proc., a PiS mając elektoraty Kukiza i Konfederacji, które na lewicę głosu w życiu nie oddadzą, nie ma się czym martwić. Poza tym idę o zakład, że z Biedroniem Koalicja dostanie mniej niż obecnie.

Nic tak nie zaszkodziło Schetynie jak ostry skręt w lewo. Gdybyż wytrwał z prawicową kotwicą? Platforma święciła triumfy pod sztandarami konserwatywnego liberalizmu, obecnie niczym się nie różni od bezideowej palikociarni. Jednak nawet Palikot nie łasił się do Millera i Cimoszewicza, przynajmniej publicznie. Dalsze nieliczenie się z faktami, podgrzewanie emocji może sprawić, że skończy jak Palikot. Antypisizm się wypala, za to Europa bez Tuska pełna kontestatorów nie będzie się angażować w obronę interesów przegranej formacji. Nie twierdzę, że nie ma w Polsce miejsca na partię liberalną reprezentującą interesy przedsiębiorców, wolnych zawodów wielkomiejskiej młodzieży, ale to za mało, aby rządzić Polską, zwłaszcza bez śmiałych porywających pomysłów.

Można śmiać się z jagiellońskich pomysłów PiS. Jednak co w zamian? Ciepła woda w kranie już jest. Trzeba nauczyć się czekać. Dokonać zmiany pokoleniowej, wycofać mowę nienawiści, ograniczając do konstruktywnej krytyki i budować atrakcyjny program. Nic nie jest wieczne. Nawet PiS. Podejmowana czwarty rok tendencja, „więcej tego samego" to najlepszy sposób na własną anihilację. Polityka oparta na totalnej negacji oraz używanie przy każdej okazji przymiotników w stopniu najwyższym, po pewnym czasie staje się jedynie śmieszna.

Jak pogróżki „idziemy po was" rzucane ostatnio bez umiaru. I o cóż takiego moglibyście oskarżyć rządzących – jakie konkretne nieszczęście spadło na Polaków wskutek rzekomego łamania konstytucji. Gdzie zbrodnie, przestępstwa, cenzura, represje? Rozumiem tych, którzy się boją, i słusznie, że ktoś do nich zapuka o szóstej rano – sponsorzy i beneficjenci rzeczywistych afer i grabieży, ale dalibóg nie pojmuję emocji tych, którzy dają się manipulować i ich kryją, myśląc, że bronią demokracji. Na moje wyczucie pierwsza okazja rewanżu może pojawić się przy wyborach za pięć lat. Pod warunkiem wyciągnięcia wniosków. ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

POLSKA – USA – IZRAEL

Z Tomaszem Sakiewiczem, redaktorem naczelnym „Gazety Polskiej" *rozmawia Maciej Pieczyński*

FOT. FILIP BŁAŻEJEWSKI/FORUM

PiS nie wypłaci organizacjom żydowskim ani złotówki

MACIEJ PIECZYŃSKI: Politycy PiS od niedawna stanowczo zapewniają, że Polska nie będzie wypłacać organizacjom żydowskim żadnych roszczeń. Skąd ta pewność?

TOMASZ SAKIEWICZ: Nie brakuje radykalnych organizacji żydowskich ani zwykłych prowokatorów, którzy wbijają klin pomiędzy Polskę a Izrael. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że tzw. ustawa 447 to nie jest wyłącznie efekt roszczeń konkretnych środowisk. To również jedno z narzędzi wewnętrznej walki politycznej w USA. Większość amerykańskich Żydów poparła w ostatnich wyborach prezydenckich kandydatkę demokratów, podczas gdy większość Polaków stanęła po stronie republikanów. Tamtejsza lewica zrobiła wszystko, by skłócić głosujących na Donalda Trumpa konserwatywnych Żydów z Polonią.

Była w tym skuteczna. Ustawa 447 została uchwalona.

Środowiska żydowskie chciały, by w ustawie 447 znalazło się więcej szczegółów, w oczywisty sposób zobowiązujących władze Stanów Zjednoczonych do jakichś nacisków w sprawie roszczeń. Nie udało im się tego postulatu przeforsować. Ustawa jest na tyle ogólnikowa, że nie powinniśmy się jej obawiać. Nakłada na Waszyngton jedynie obowiązek monitorowania kwestii wypłaty roszczeń. Pamiętajmy, że Polska nawet nie jest wymieniona w ustawie 447. Jej zapisy wcale nie muszą nas dotyczyć. Może się okazać, a właściwie powinno, że w świetle ustawy, roszczenia dotyczą kogoś innego. Stan prawny jest bowiem taki, że jeśli do kogoś środowiska żydowskie mogą się jeszcze zwracać o wypłatę odszkodowań, to do Niemców, które już w latach 50. wzięły przecież na siebie – i słusznie! – pełną odpowiedzialność za rozpętanie i konsekwencje II wojny światowej. Jeśli w kogoś ta ustawa powinna uderzyć, to prędzej w Berlin, nie w Warszawę. A ja bym nie miał nic przeciwko temu, żeby to Niemcy rozliczyli się z Żydami…

Dzisiaj coraz częściej przypisuje się Polakom współsprawstwo Holokaustu. W tej sytuacji „moralna konieczność" może się liczyć bardziej niż stan prawny.

Takich zarzutów nie stawia nam ani prezydent USA, ani generalnie żaden liczący się amerykański polityk.

Oskarżają nas jednak wpływowi politycy izraelscy.

eprasa.pl 41c41ae693

Ustawę 447 uchwalił Kongres, nie Kneset.

Przecież to bliscy sojusznicy.

Izraelscy politycy od lewa do prawa skaczą sobie do gardeł, a my często obrywamy przy okazji. Kwestia polska jest wykorzystywana jako narzędzie wewnętrznego sporu. Dobrym przykładem jest kariera izraelskiego Nikodema Dyzmy, bo tak należałoby określić Israela Katza – polityka, który stał się zauważalny, kiedy ostro zaatakował Polskę. Obecny minister spraw zagranicznych Izraela sprawuje swoją funkcję tak naprawdę przede wszystkim ze szkodą dla Izraela. Z winy takich właśnie polityków Tel Awiw niebawem może się doczekać izolacji na forum Unii Europejskiej, gdzie raczej mu sprzyjaliśmy.

Jest oczywiste, że to Izrael ma wciąż silniejszą pozycję wizerunkową niż Polska. Jeśli ktoś doczeka się izolacji na arenie międzynarodowej, to prędzej my, nie oni.

Zróbmy więc wszystko, żeby mieć pozycję może nie aż tak silną (bo to dzisiaj nierealne), ale dużo silniejszą. Na to jednak, żeby ją zbudować, potrzeba wielu lat, kreowania pozytywnego wizerunku… Mam zresztą wrażenie, że Izrael naprawdę zniechęca do siebie światową opinię publiczną przez swój coraz bardziej wyrazisty radykalizm. Niezbyt dobrze wygląda atakowanie sojusznika z byle powodu.

Organizacje żydowskie próbują ponoć przekonać Donalda Trumpa, by uzależnił budowę stałej bazy amerykańskiej w Polsce od wypłaty roszczeń.

Myślę, że w tej sprawie lobbują nie tylko Żydzi, lecz także Rosjanie i oczywiście Niemcy, którzy – tak twierdzą na offie polscy dyplomaci – podobnie jak Kreml w sprawie storpedowania planu bazy USA w Polsce uaktywnili wszystkie swe narzędzia wpływu za oceanem.

Izrael i Rosja prowadzą bardzo podobną politykę historyczną. Jej wspólnym mianownikiem jest wdzięczność Armii Czerwonej za pokonanie Hitlera i fanatyczna pasja nazywania każdego przeciwnika faszystą.

To nie do końca tak wygląda. Jeśli bowiem bardziej wnikniemy w debatę publiczną toczącą się w środowiskach żydowskich, to dostrzeżemy problem zbrodni popełnianych przez żołnierzy sowieckich na więźniarkach Auschwitz i temu podobne sprawy. Z polskiej perspektywy wszystko wygląda bardzo jednoznacznie, a tak nie jest. Poza tym są: problem wspierania przez Moskwę organizacji terrorystycznych, jej aktywność w Syrii, sprawa Iranu. Przywódcy FR i Izraela wygłaszali wspólne deklaracje co do polityki historycznej, ale nie mam wątpliwości, że Amerykanie dostrzegają ten problem. Coraz bardziej Waszyngton zdaje sobie sprawę z tego, że Tel Awiw zerka w stronę Moskwy. Odwróćmy jednak trochę tę sprawę – polskim narodowcom nie podoba się antypolonizm części izraelskich polityków, to, że robią z nas pomocników Hitlera. Słusznie. Mnie też się to nie podoba – zawsze będę to piętnował. Dostrzegam jednak to samo u Rosjan. Najważniejsi ludzie na Kremlu nazywają nas antysemitami, mówią, że wywołaliśmy II wojnę światową, że mordowaliśmy Żydów. I co robią polscy narodowcy? Krzyczą: czas na politykę prorosyjską.

Wciąż w Stanach silniejsze są wpływy żydowskiego lobby niż strach przed prorosyjskimi sympatiami bliskowschodniego sojusznika. Dlatego dość racjonalna wydaje się obawa, że przywódca tak

REKLAMA

eprasa.pl 41c41ae693

proizraelski jak obecny prezydent USA ulegnie w końcu naciskom i postawi nam ultimatum o treści: „Albo wypłacicie roszczenia, albo Fort Trump nie powstanie".

Nie sądzę, by Trump zaryzykował taki ruch, ponieważ doskonale wie, jaka byłaby nasza reakcja.

A skąd pan wie, że byłaby odmowna?

Nie mielibyśmy wyjścia, musielibyśmy odmówić. Obecny polski rząd nie mógłby inaczej postąpić. Zgoda na taki upokarzający „kompromis" byłaby nie tylko sprzeczna z oczekiwaniami elektoratu PiS, lecz także generalnie z wolą absolutnej większości Polaków, niezależnie od poglądów. Jarosław Kaczyński nie podjąłby takiego ryzyka. Poza tym Jarosław Kaczyński to jedyny czynny polski polityk, który ma odwagę i doświadczenie, by walczyć skutecznie o interes Polski z najsilniejszymi państwami na świecie.

PiS stara się od zawsze prezentować jako partia broniąca polskiego interesu narodowego. Jednak właśnie w ramach tego wizerunku mieści się również dbałość o bezpieczeństwo Polski. Budowa stałej bazy amerykańskiej nad Wisłą to też bardzo istotny argument dla patriotycznie nastawionych wyborców. Ile PiS jest w stanie zapłacić za Fort Trump?

Oczywiście, w polityce zdarzają się różne szaleństwa, zapadają czasem nieracjonalne decyzje. Wiadomo natomiast, jaka granica na pewno nie zostanie przekroczona – na pewno nie zostaną podjęte działania sprzeczne z polską suwerennością. Amerykanie doskonale sobie z tego zdają sprawę. W sferze ekonomicznej możemy ustępować, czynić pewne wyraziste gesty. Możemy np. kupić trochę amerykańskiego sprzętu wojskowego, podpisać kontrakt na dostawy amerykańskiego gazu. Poza tym proszę zauważyć, że do tej pory tego typu żądania, uzależniające stosunek Waszyngtonu do Warszawy od relacji polsko-żydowskich, nie pojawiły się otwarcie. Gdyby więc Amerykanie wprost to wyartykułowali, byłby to wielki przełom w naszych wzajemnych stosunkach. Również ustawy 447 nie można uznać za taki przełom. Kongres uchwala sporo tego typu deklaracji. Nie mają one jednak żadnego praktycznego znaczenia ani realnych konsekwencji. Niestety, Rosja skutecznie wykorzystuje różnej maści wariatów, żeby opowiadali niestworzone głupoty na ten temat.

Pije pan do Konfederacji?

Rosja gra w dwa ognie. Po pierwsze, buntuje przeciw Polsce radykalne środowiska żydowskie w Izraelu i USA. Po drugie, próbuje różnymi metodami napuszczać na Żydów radykalne środowiska w Polsce. Skutecznie kreuje tym samym konflikt polsko-izraelski i polsko-żydowski, a to ma doprowadzić do pogorszenia relacji z USA. To przerażające, że ludzie, którzy mienią się narodowcami, nie znają historii Polski, nie wiedzą, że Rosja właśnie wykonuje kolejną tego typu operację, która polega na skłócaniu nas z naszymi sojusznikami. Przypominam, że konfederacja targowicka również oficjalnie występowała w obronie tradycyjnych wartości, by w rezultacie, ulegając zaślepieniu nienawiścią do Zachodu, pójść na służbę u cara.

Współczesna Konfederacja nie poszła jednak na służbę u cara.

Współczesna Konfederacja już puka do Putina. Jak inaczej nazwać choćby wypowiedzi jej liderów dla Sputnika? Jakie mają korzyści ze wspierania tuby propagandowej Kremla, która w Polsce praktycznie nie ma żadnych odbiorców?! A jak wytłumaczy pan przypadek Lilii Moshechkovej, kandydatki Konfederacji, która jest przyjaciółką lidera Nocnych Wilków, czyli śmiertelnego wroga Polski. Słowem: Konfederacja to jedyna w Polsce partia, która jawnie chce sojuszu z Rosją. Buduje się, gdy rozdmuchuje sprawy, które szkodzą Polsce. Proszę zauważyć, że zanim się oni pojawili, o ustawie 447 było cicho. Organizacje żydowskie zaczęły głośno podejmować temat roszczeń dopiero w odpowiedzi na protesty Konfederacji. Wiele z nich zacierało wtedy ręce. Liczba głupot, które przy okazji tej awantury wypowiedziano, przekracza wszelkie granice. Nie ma możliwości, by zmusić Polskę do wypłacenia pieniędzy, których Polska zwyczajnie wypłacić nie chce. A jeśli Amerykanie instalują nad Wisłą swoją infrastrukturę wojskową, to nie z miłości do nas, ale dlatego, że sami mają w tym interes. Trumpowi nie opłaca się wchodzić z Polską w konflikt. Taki spór na dłuższą metę szkodziłby Stanom Zjednoczonym. W polityce wiele się mówi, pada wiele deklaracji, ale najważniejsze są czyny. A te na razie nie wskazują na to, by Amerykanie mieli wycofać się z sojuszu z Polską z powodu roszczeń żydowskich.

A jednak o tym, że nie spełnimy żądań, które mogą wynikać z ustawy 447, politycy PiS zaczęli mówić dopiero po tym, gdy całą sprawę nagłośniła Konfederacja. Można podejrzewać, że bezkompromisowość Jarosława Kaczyńskiego podyktowana była logiką kampanii wyborczej.

Pan serio wierzy w to, że Polska wypłaci Żydom te 300 mld dol.?! Przecież my tak naprawdę rozmawiamy o lądowaniu kosmitów na ul. Marszałkowskiej. Poziom dyskusji o ustawie 447 jest intelektualnie nie do zniesienia. Jeżeli parę procent wyborców pozwoliło sobie wyprać mózgi, to jest to ich sprawa. Proszę mnie nie zmuszać, bym uwierzył w takie brednie. Jeśli pan ma ochotę wraz z liderami Konfederacji straszyć Polaków, to bardzo proszę. Ja podziękuję za taką atrakcję. Nie wierzę, że w ramach roszczeń bezspadkowych zapłacimy jakieś pieniądze, a co dopiero 300 mld! Wie pan, dlaczego PiS zaczął mówić w ogóle o tej ustawie?! Bo jeśli część społeczeństwa zaczęła wierzyć w latające talerze, to zadaniem odpowiedzialnego rządu jest cierpliwie tym ludziom tłumaczyć, że zostali wprowadzeni w błąd.

Gdyby Waszyngton zażądał w zamian za Fort Trump nie 300, nawet nie 3 mld dol., ale jakiejś o wiele mniejszej sumy na poczet żydowskich roszczeń, to powinniśmy taką propozycję przyjąć?

Byłoby to bezprawne. Wydanie choćby złotówki na poczet roszczeń niemających oparcia w prawie, wszystko jedno czyich, otworzyłoby pole do dalszych żądań. Przyznalibyśmy wówczas, że to my ponosimy jakąś część winy za II wojnę światową, a nie Niemcy. Możemy, oczywiście, wesprzeć w Polsce kulturę żydowską czy pamięć o Holokauście, zbudować muzeum. To byłoby nawet dobre wyjście – szczególnie że przecież mamy za sobą wiele stuleci pokojowego współistnienia z Żydami. W żadnym wypadku nie możemy się jednak zgodzić na wypłatę odszkodowań za niepopełnione winy. Możemy za to popierać wszelkie starania Żydów wobec Niemców. Trzeba też ucywilizować proces reprywatyzacji. Obecnie odbywa się on przez sądy, ale jest przy tym bardzo wiele nadużyć, które często dotyczą mienia pożydowskiego. Przy zwrocie mienia narodowość nie może być żadnym kryterium. Wszyscy muszą mieć takie same prawa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

Z Tomaszem Sommerem, redaktorem naczelnym „Najwyższego Czasu"
rozmawia Maciej Pieczyński

Zażądajmy odszkodowań od Izraela

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

MACIEJ PIECZYŃSKI: W rozmowie z telewizją wRealu24 stwierdził pan, że istnieją dwie możliwe odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego PiS boi się debaty nad ustawą 447?". Według pierwszej partia rządząca to „izraelska agentura", wykonująca zadania zlecone przez Tel Awiw. Druga, „bardziej uprzejma" interpretacja zakłada, że postawa PiS wynika z zakompleksienia i niedoinformowania. A dlaczego nie bierze pan pod uwagę trzeciej wersji – może po prostu nasz rząd gra tak, jak przeciwnik pozwala, i robi wszystko co w polskiej mocy?

TOMASZ SOMMER: Nie sądzę. PiS potrafi działać twardo i zdecydowanie w sferze polityki zagranicznej. Z jakiegoś powodu wobec Izraela prezentuje zupełnie odmienną postawę. Bardzo zresztą niekonsekwentną. Ewidentnie w partii rządzącej dają się zauważyć dwa nurty w podejściu do Izraela. Jedni szczerze chcą forsować polski interes narodowy, inni natomiast z jakichś tajemniczych powodów wolą się przed tym powstrzymywać. Za każdym razem wygrywa ta druga, zachowawcza opcja.

PiS potrafi być asertywny wobec Brukseli czy Berlina. Jednak Izrael jest bardziej wymagającym przeciwnikiem, choćby ze względu na potęgę propagandową i wpływy w Waszyngtonie...

Nie powiedziałbym. W USA żyje więcej Polaków niż Żydów.

Ilość niekoniecznie przechodzi w jakość. Organizacje żydowskie są silniejsze niż Polonia.

Zgoda, ale trzeba zrobić wszystko, by tę ilość przekuć na jakość. Nie możemy marnować potencjału polonijnego. Według mnie PiS popełnia najgłupszy z możliwych w dyplomacji błędów. A mianowicie – prowadzi politykę zagraniczną przez pośredników. Z Amerykanami rozmawiamy poprzez Żydów. To absurd. Nie może być tak, że polski premier wizytę w USA rozpoczyna od spotkania z organizacjami żydowskimi. To samobójcze podejście.

Jednak ustawa 447 zapewne zostałaby uchwalona niezależnie od tego, czy rozmawialibyśmy z Amerykanami o Żydach, czy nie.

Nie zgadzam się z tą tezą. Przedstawiciel Polski podczas wizyty w USA nie powinien w ogóle spotykać się z organizacjami żydowskimi. Nieracjonalne jest załatwianie interesów przez pośrednika, bo to normalne, że pośrednik za swoją usługę będzie oczekiwał zapłaty. Szczególnie że jest to pośrednik bardzo doświadczony w negocjacjach. Poza

eprasa.pl 41c41ae693

tym teza, jakoby w Ameryce funkcjonowało jakieś potężne lobby żydowskie, jest tezą antysemicką…

Myśli pan, że gdybyśmy ignorowali „pośredników", problemu ustawy 447 by nie było?

Polacy zostali skutecznie wmanewrowani w całą tę sytuację. Problemu by nie było, gdybyśmy nie podpisali deklaracji terezińskiej.

To akurat „wina Tuska", a nie „wina Kaczyńskiego". To rząd PO-PSL ją przyjął.

To prawda. Jednak, jak pokazuje przykład Donalda Trumpa, z międzynarodowych zobowiązań zawsze można się wycofać. Trzeba tylko chcieć. Amerykański prezydent chciał i wycofał się najpierw z pakietu klimatycznego, a ostatnio z umowy z Iranem. Ustawa 447 dotyczy jedynie tych państw, które podpisały deklarację terezińską. Wystarczy anulować polski podpis na tym dokumencie i sprawa załatwiona.

A potem amerykańskie wojska wycofają się z Polski i zostaniemy na lodzie, sam na sam z Rosją.

Przekonamy się. Nie byłbym taki pewien, czy Amerykanie zaryzykują spalenie mostów w relacjach z Polską tylko z uwagi na kaprys Izraela. Trump ma przed sobą kampanię wyborczą, z pewnością chciałby wygrać drugą kadencję…

… więc musi przypodobać się Polakom?

Przypominam, że w czasie ostatnich wyborów większość Polaków głosowała na Trumpa, a większość Żydów – na jego kontrkandydatkę. Trzeba użyć tej karty przetargowej. Niedługo prezydent Andrzej Duda wybiera się do Waszyngtonu. Powinien zakomunikować Trumpowi, że Polska rezygnuje z żydowskiego pośrednictwa w relacjach z USA, amerykańska Polonia ponownie zaś go poprze tylko wówczas, jeśli wyraźnie stanie po stronie Warszawy, zamiast bronić interesów grupy, która z reguły wspiera jego rywali.

Politycy PiS ostatnio jednoznacznie deklarują, że Polska nie będzie spłacać żydowskich roszczeń. Może więc nie ma tematu?

Dzięki temu, że Konfederacja nagłośniła problem ustawy 447, sprawa wypłynęła na światło dzienne i PiS musiał zareagować. Dlatego też organizacje żydowskie tracą cierpliwość i idą na całość ze swoimi wydumanymi żądaniami. Coraz więcej amerykańskich urzędników mówi otwarcie, że chodzi tylko o pieniądze. Ta kosmiczna suma 300 mld dol. została rzucona „na rybkę", jak w żydowskim targu – zaczynają z wysokiej kwoty, żeby jak najwięcej wynegocjować.

Na jednoznaczne wypowiedzi Kaczyńskiego i Morawieckiego w sprawie roszczeń bardzo ostro zareagowały izraelskie media. Trudno się dziwić, że nas atakują. Sami się o to prosimy. Jeżeli ambasador Magierowski jednego dnia zostaje opluty, a drugiego wygłasza jakieś bezsensowne tyrady o antysemityzmie, to trzeba, na miłość Boską, zadać pytanie: Czyim on jest ambasadorem: Polski czy Izraela?!

Kreuje pozytywny wizerunek Polski w Izraelu. Wątpliwie, czy osiągnąłby coś tromtadracją i zaostrzaniem retoryki.

Jaki pozytywny wizerunek Polski?! Ja widzę raczej, że Magierowski próbuje kreować pozytywny wizerunek Izraela w Polsce. Gdzieś muszą być granice tego szaleństwa.

Amerykańskie i izraelskie media donoszą o naciskach organizacji żydowskich na Biały Dom, by uzależnić budowę Fortu Trump od wypłaty roszczeń przewidzianych przez ustawę 447. Z kolei Mariusz Błaszczak zapewnia, że nie ma tematu, bo kwestia bezpieczeństwa i kwestia roszczeń nie są ze sobą związane, a o stałej bazie amerykańskiej dyskutujemy już od wielu miesięcy…

Minister Błaszczak zaczyna jako jeden z niewielu mówić ludzkim głosem. Ma stuprocentową rację – te dwie rzeczy muszą być całkowicie rozdzielone.

Pytanie tylko, czy uda się je rozdzielić?

Oczywiście, organizacje żydowskie zrobią wszystko, aby te sprawy od siebie uzależnić. Ta retoryka zaczyna się również przewijać w polskich mediach. Trzeba otwarcie powiedzieć, że stosujące podobną retorykę organizacje żydowskie są wrogami Polski i że trzeba je zwalczać, oczywiście środkami dyplomatycznymi. Nie widać jednak, by ktokolwiek z rządzących próbował tę walkę podjąć.

W dyplomacji bardzo ważne jest zdefiniowanie sojuszników i przeciwników. Jeszcze ważniejsza jest asertywność. Jej przykład dają Amerykanie, Rosjanie – uczmy się od nich!

Nie można porównywać Polski ze światowymi potęgami. Nie mamy możliwości działać równie asertywnie.

Aha, czyli pan uważa Polskę za „brzydką pannę na wydaniu"…

Nie. Zastanawiam się tylko, czy z pragmatycznego punktu widzenia nie lepiej byłoby jednak mierzyć siły na zamiary.

Zasada pragmatyzmu w polityce zagranicznej uczy raczej, że powinniśmy udawać 10-krotnie silniejszych, niż jesteśmy w rzeczywistości. My tymczasem ustawiamy się w kącie jak ofiara czekająca na cios.

Jeśli będziemy udawać silniejszych, to ktoś powie „sprawdzam", i okaże się, że jesteśmy zbyt słabi.

Jeśli będziemy siedzieć w kącie, to nikt nie powie „sprawdzam", tylko przyzna nam rację, zgodzi się z naszą niską samoocenią, uzna naszą słabość za fakt.

A co jeśli jednak lobby żydowskie okaże się silniejsze i usłyszymy od Trumpa: „Wypłacacie pieniądze albo nie będzie stałej bazy"?

Wówczas powinniśmy również postawić ultimatum: „Albo zgodzicie się na stałą bazę i zrezygnujecie z roszczeń, albo powiemy Polonii, że ma głosować na przeciwnika Trumpa". Na groźbę trzeba odpowiadać groźbą. Dyplomacja to sztuka takiego przedstawiania argumentów, aby były przekonujące. Nas się przekonuje, że jedyny możliwy stosunek do Izraela to posłuszeństwo i postawa typu „ruki po szwam". Otóż nieprawda! Dopóki nasi rządzący tego nie zrozumieją, dopóty dalej będą prowadzić tę idiotyczną politykę ustępstw.

Przypominam, że w czasie ostatnich wyborów większość Polaków głosowała na Trumpa, a większość Żydów – na jego kontrkandydata. Trzeba użyć tej karty przetargowej

eprasa.pl 41c41ae693

A jeśli Trump się nami nie przejmie i postawi jednak na Izrael oraz organizacje żydowskie?

Nie wiemy, jak będzie. Jestem natomiast przekonany, że Andrzej Duda powinien twardo postawić polski interes podczas rozmowy z Trumpem. Nie tylko dla dobra Polski, lecz także dla dobra własnej politycznej formacji.

A ile wart jest Fort Trump? Ile możemy i powinniśmy poświęcić dla bezpieczeństwa Polski?

Pytanie: Czym byłby Fort Trump? Bo jeśli atrapą z papieru, którą przebije każdy kamień…

A jeśli to byłby polski Rammstein?

To nierealne. Rammstein to gigantyczna baza, poza tym zbudowana w innym celu – okupacyjnym. Amerykanie wciąż w pewnym sensie okupują Niemcy.

Ile powinniśmy poświęcić, by Amerykanie stacjonowali u nas na stałe?

Stała baza nie jest żadną gwarancją bezpieczeństwa. Pokazały to przykłady Wietnamu czy Kambodży. W Korei również była stała baza amerykańska i udało się uratować jedynie połowę kraju. Ja bym na miejscu polskiego rządu wziął przykład z Izraela. Tam nie ma stałej bazy sojuszniczej, ale za to jest broń atomowa. Obce wojska zawsze mogą się wycofać, a broń zostanie…

Stała baza nie jest gwarancją bezpieczeństwa. Pokazały to przykłady Wietnamu czy Kambodży. Udało się też uratować tylko pół Korei

Gdyby Amerykanie postawili ultimatum: „Wypłaćcie roszczenia, a my damy wam broń atomową", to warto pójść na taki układ?

Nie wolno wiązać takich rzeczy ze sobą. Nie wolno ulegać szantażowi.

Polityka często polega na szantażu.

Ale właśnie dlatego do szantażysty zawsze wysyła się negocjatora, który ma tak zrobić, żeby nie trzeba było szantażyście wypłacać pieniędzy… Poza tym strasznie mnie irytuje cała ta dyskusja o konieczności zadośćuczynienia za ofiary Holokaustu. A czym się różni potomek pomordowanej rodziny żydowskiej od potomka pomordowanej polskiej rodziny?! Oczywiście, Żydów zginęło więcej, ale to nic nie zmienia w pojedynczych ludzkich losach. Wartościowanie takich spraw jest objawem dyskryminacji.

Ameryka ma dwa lotniskowce: Polskę w Europie oraz Izrael na Bliskim Wschodzie. Na czym może polegać nasza przewaga w zabieganiu o względy USA poza liczebnością Polonii?

Naszym błędem jest to, że wpuściliśmy przeciwnika na własną połowę boiska. Daliśmy się zepchnąć do głębokiej defensywy, mając jeszcze w szeregach własnych obrońców dywersantów… Losy tego geopolitycznego meczu dałoby się odmienić, przenosząc akcję na połowę przeciwnika. Trzeba zażądać od Izraela zwrotu odszkodowań, które Izrael wziął od Niemców za 3 mln obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Uzasadnienie jest oczywiste – państwa Izrael nie było w czasie wojny, prawo nie działa wstecz, natomiast chodzi przecież o Polaków, a doszukiwanie się w nich żydowskich korzeni, to już, proszę wybaczyć, rasizm!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Prestige MJM REGENT WARSAW HOTEL wprost DO RZECZY WP cgm.pl STRÖER VIXON pap PRESS SERVICE CTv

eprasa.pl 41c41ae693

LUPANARIUM

[NA ŚWIATOWY DZIEŃ SEKSU – 7 CZERWCA]

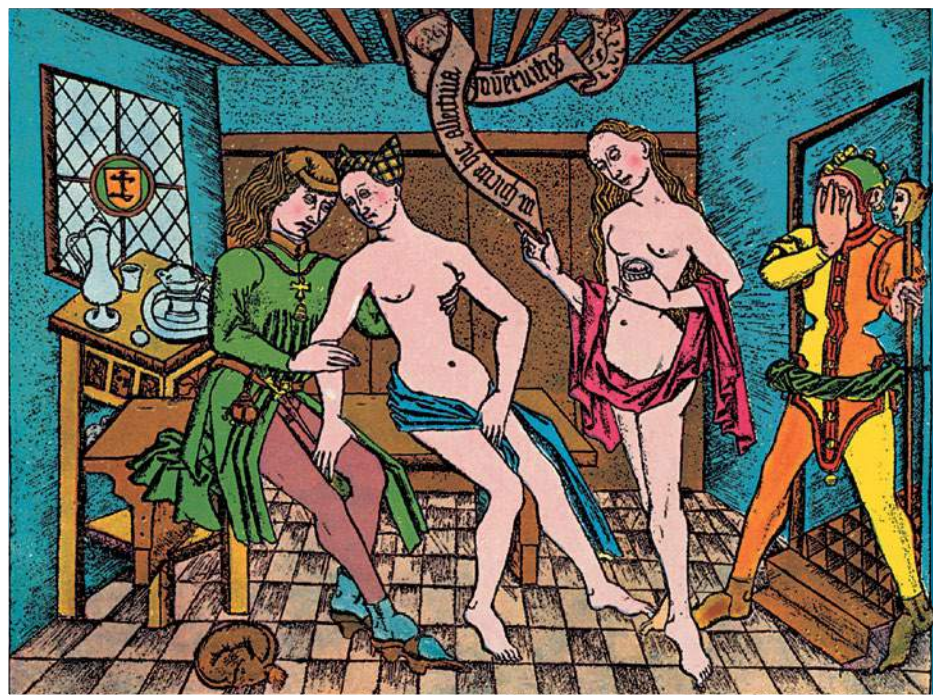

Mistrz Banderol, „W burdelu" (sztych z wieku XV)

Pietro Aretino: *„Puszczalski dochodowy kunszt to coś, co nie jest dla głupiej. Nie wystarczy zadrzeć kieckę i rozłożyć nóżęta. Trzeba czegoś więcej, by burdel nie zbankrutował".*

Wacław Berent: *„Ofelio, idź do burdelu, powiedział Hamlet...".*

Aleksander Fredro: *„Skargi płatnych cór nierządu*
Płyną już na konto rządu:
Burdelowy cech upada,
Firmom grozi dziś zagłada!".

eprasa.pl 41c41ae693

Waldemar Łysiak

W minionym roku (2018) uczciłem na tych łamach Światowy Dzień Seksu (7 czerwca) artykułem pt. **„SEKS”**, który mówił o niepolitpoprawnej miłości fizycznej między wstecznikami, czyli *„heterykami”*, vulgo: między mężczyzną tradycjonalistą a równie zacofaną kobietą. Dzisiaj natomiast składam czerwcowy hołd amorom także *„biblijnym”*, lecz płatnym, uprawianym z *„jawnogrzesznicami”* (przypominam, że Chrystus wybaczył takowej) w burdelach (*„zamtuzach”*, *„lupanarach”*, *„domach publicznych”*, *„agencjach towarzyskich”*, *„salonach masażu”*, itp.) bądź w innych *„okolicznościach przyrody”* (np. w szoferce TIR–a), gdziekolwiek, za gotówkę brzęczącą i szeleszczącą, choć podejrzewam, że dzisiaj można też regulować należność kartą płatniczą.

Przed laty Krzysztof Krawczyk i Goran Bregović nagrali piosenkę **„Płatna miłość”**. Według cynicznych mizoginów nie istnieje pomiędzy mężczyzną a kobietą seks inny niż płatny. Coco–Chanel radziła paniom: *„Nie wychodźcie za mężczyznę, który korzysta z portmonetki!”*, a to oznacza, że *„drobniaki”* nie liczą się w tej grze. Inna legendarna dama XX wieku, hollywoodzka gwiazda Zsa Zsa Gabor, twierdziła, że rasowa kobieta potrzebuje tylko czterech rodzajów zwierząt: norek w szafie, jaguara w garażu, tygrysa w łóżku, i osła, który za to wszystko zapłaci. Symptomatyczny jest tu pewien dialog na samym początku serialu **„Westworld”** (2016). Dziki Zachód. Facet wchodzi do saloonu i staje przy barze. Zaczepia go młoda prostytutka, ale on odmawia:

— Bez urazy, lecz wolę zdobyć miłość kobiety aniżeli płacić za nią.

Stojąca niedaleko starsza koleżanka tamtej cedzi ironicznie:

— Tak czy owak płacisz. Tylko że u nas cennik wisi na drzwiach.

Wiele mówiący jest również dialog dwóch pań z pewnego *„kawału”*:

— Renatko, czemu jesteś taka wściekła?

— A jak mam nie być?! Pomyśl, wychodzisz za człowieka, bo go kochasz, a ten gnojek okazuje się bez grosza, goły zupełnie!!

„Grosz” to jakże często podstawa, o czym przekonują i stare arcydzieła literackie Anglosasów (w **„Moll Flanders”** Daniela Defoe stara prostytutka mówi: *„ — Jeżeli cokolwiek pozwala wybaczyć kurwienie się, to tylko korzyści, jakie ono przynosi”*), i stare anglosaskie anegdoty; oto jedna z nich. Bogaty nuworysz proponuje pięknej arystokratce sto funtów za seks. Pełna oburzenia dama odmawia i odchodzi. Ten ją goni i podnosi cenę do tysiąca funtów. Dama ucieka, lecz natręt nie rezygnuje, proponując 10 tysięcy funtów. Bez skutku, więc rzuca cenę: 100 tysięcy funtów! Lady się zatrzymuje, płoni, spuszcza wzrok, i wyraża zgodę. Wtedy on pyta:

— A czy poszłaby pani ze mną do łóżka gdybym dał dzisiaj dwa funty li tylko?

Dama krzyczy:

— Za kogo mnie pan uważa?!!

Na co pada odpowiedź:

— To już ustaliliśmy, teraz się tylko targujemy, kobieto.

Wszystko jest zatem kwestią ceny, według cyników. Przy czym w płatnym seksie ważniejsze od rozwartych lubieżnie żeńskich ust bywa zamykanie tych warg dużo grubszą gotówką, czego ostatnio doświadczyli dwaj sławni Amerykanie, prezydent Trump (uciszający pieniędzmi ladacznice, które niegdyś obłapywał) i Harvey Weinstein, *„car Hollywoodu”*. Wyszło na jaw, że przez minione dwie dekady Weinstein zawarł z licznymi *„molestowanymi”* adeptkami komediancckiego fachu ugody prawne, płacąc im suto, by zamknęły buzie, wcześniej chętnie otwierane dla robienia potentatom *„laski”*. Cała zresztą gigantyczna afera #MeToo zyskała *„złą prasę”* u szyderców przypominających, że aktorki od stuleci synonimowano z płatnymi dziwkami, i że w przemyśle filmowym robienie kariery via łóżko to rytualny standard, zatem biadolenia o przymuszaniu (*„wykorzystywaniu”*) są obłudą.

Również w *„pro–pro”* (prostytucji profesjonalnej) przymus czy konieczność bytowa stanowi mikroskopijny margines — ogromna większość *„profesjonalistek”* uprawia swój fach *„con amore”*, z zapałem i radością. Dowodzą tego wszelkie badania sondażowe, choćby rosyjskie A.D. 1990 (**„Moskowskij Komsomolec”**) i 1992 (**„Komsomolskaja Prawda”**), czy niemieckie A.D. 2000 (**„Frankfurter Allgemeine Zeitung”**). Roku 2003 dziennikarka **„Die Weltwoche”**, Michèle Roten, przepytała setki studentek parających się uprawianiem płatnego nierządu. Odpowiedzi nie zostawiały wątpliwości. Seraina: *„ — Nie jestem żadną nimfomanką, tylko tak jak moje kumpelki lubię się pieprzyć bez końca”*; Marlene: *„ — Uwielbiam manipulować mężczyznami seksem. Ta praca sprawia mi fantastyczną przyjemność”*; Kitty: *„ — Denerwuje mnie stereotyp, że kobieta uprawia tego rodzaju miłość tylko dla kasy, że jest wykorzystywana, itp. Czas zrozumieć, że kobiety zaspokajają w ten sposób swoje pragnienia, że to im daje radość”*. Nie tylko studentkom. Już przed II Wojną Światową feministki wskazujące biedę i przemoc jako główne motory płatnej miłości miały duże kłopoty ze swą argumentacją, również w Polsce, gdzie przy ulicy Marszałkowskiej 31 (Warszawa) funkcjonował dyskretny dom publiczny, którego twórczynią i burdelmamą była hrabina Irena Mielżyńska. Zatrudniał on wyłącznie *„panie z towarzystwa”* znudzone swą regulaminową *„przyzwoitością”*. Takie burdele zatrudniające członkinie elit były w wielu krajach, Luis Buñuel zrobił o tym zjawisku film **„Belle de jour”**.

Vincent van Gogh, „W burdelu” (1888)

STAROŻYTNOŚĆ

Oddawanie się za dobra materialne lub żywność (później za pieniądze) to podobno najstarszy (ex aequo z łowiectwem, szamaństwem i handlem) fach świata. Funkcjonował już w epoce Jaskini, a w Starożytności okołośródziemnomorskiej mocno się rozwinął. Grecki Korynt, gdy liczył 600 tysięcy mieszkańców, miał 20 tysięcy prostytutek. Bardzo dużo tych pracowitych niewiast było kurwami przyświątynnymi, a libidyczną wizytę u takiej przyświątynnej traktowano jako czynność… religijną par excellence. W wielu antycznych państwach praktykowano nierząd wewnątrz obiektów kulto-

eprasa.pl 41c41ae693

wych i zapłatę oddawano bogom. Swój wysiłek jako ofiarę składały na ołtarzach uprawiające prostytucję po świątyniach kapłanki licznych bogiń (fenickiej Astarte, armeńskiej Aniti, wielkiej bogini Syryjczyków w Heliopolis, i in.). W Kartaginie dziewczęta oddawały się lubieżnościom przed oczyma bóstwa, by mieć posag z uzbieranych pieniędzy. Można tu więc mówić o prostytucji uświęconej tout court.

Mówiono zatem, lecz nie krytykując, tylko hagiografując. Prostytutki starożytne bywały często muzami artystów, opiewali je mistrzowie pióra (Menander, Terencjusz, Arystofanes, i in.), czego przykładem choćby śliczna Demo, której ciałem napawały się trzy pokolenia królów (Antygon, Demetriusz i Antygon Gonatus), służyły też jako modelki do największych arcydzieł antycznej rzeźby i malarstwa. Taką boską modelką była Teodata, którą sam Sokrates uczył rozpusty. No i ciągle dowartościowywali sławne kurtyzany starożytni wodzowie oraz mężowie stanu. Głośna nierządnica Tais namówiła pijanego Aleksandra Wielkiego, by spalił pałac Kserksesa w Persepolis. Minister skarbu tegoż Aleksandra Madecońskiego, Harpalos, uczcił swą faworyzowaną heterę Pytyjoniki dwiema statuami (w Babilonie i przy drodze z Aten do świętego miasta Eleuzys) przedstawiającymi ją jako boginię miłośći, Afrodytę. Demostenes wygłosił porywającą mowę, broniąc ladacznicę Naerę w świątyni Cybelii. Zwycięski Temistokles przejechał ulice Aten z czterema prostytutkami, zaś zwycięski Marek Antoniusz triumfalnie obwoził ze sobą Cyterydę, pensjonariuszkę rzymskiego lupanaru. Płatna rozpustnica, Pretia, przez swój wpływ na wszechwładnego Cetega wyrobiła Lukullusowi dowództwo wojskowe w Azji. Zwycięstwo pod Salaminą Grecy przypisywali modłom kurtyzan. Neron był stałym gościem domów nierządu. Uprawiająca prostytucję od dziecka Cypryjka Teodora została cesarzową, żoną Justyniana, najpotężniejszego władcy Bizancjum. Solon wzniósł świątynię Wenery za pieniądze z lupanariów dużych greckich miast. Imiona czołowych ówczesnych szafarek rozkoszy płatnej przeszły do historii świata starożytnego, a złoty medal przypadł *„Fryne"* — *„Żabie"*:

Urodziła się jako Mnesarete i wyrosła (IV stulecie B.C.) na niezrównaną piękność — kurwę nr 1 całego Antyku. Dostała dwa przydomki: *„Fryne"* (gdyż jej skóra miała barwę kości słoniowej, identyczną jak brzuch ropuchy, no i dlatego, że rozkładała nogi sposobem żab) oraz *„Przetak"* (bo stanowiła sito dla złota, którym obsypywali ją mężczyźni). Podczas hołdów i fet na cześć *„Ziemiotrzęscy"* Posejdona wyszła z morza nago, co tak zachwyciło genialnego malarza Apellesa, że wyobraził ją legendarnym freskiem jako Wenus Anadyomene. Geniusz dłuta, Praksyteles, wyrzeźbił ją jako równie kultową Afrodytę z Knidos. Wielbiciele ustawili jej złoty posąg w delfickim sanktuarium. Kiedy była sądzona przed wielkim areopagiem za bezbożność — broniący ją Hyperejdes, widząc bezowocność wszystkich swoich argumentów, jako *„ultima ratio"* zastosował nagość, raptownie zrywając szatę ze swej klientki, i sędziowie, którzy oniemieli wskutek podziwu, uniewinnili oskarżoną. Świat starożytny ciągle tak przed nią klękał.

ŚREDNIOWIECZE

Chrześcijańskie Średniowiecze zupełnie inaczej traktowało *„donne di facili costumi"* (kobiety łatwych obyczajów), *„puttane"* (dziwki), *„femmes de vie"* (kobiety użycia), *„fillettes de vie"* (dziewczęta użycia), *„femmes de joie"* (kobiety rozkoszy), *„femmes joyeuses"* (kobiety rozkoszliwe), *„femmes amoureuses"* (kobiety miłośliwe), itp. Prostytucja dźwigała wówczas brzemię podwójnej hańby: jako obmierzły grzech, tudzież jako choroba równana z trądem i homoseksualizmem. Co prawda niektórzy próbowali bronić nierządu reglamentowanego posługując się teorią *„mniejszego zła"*, ergo: argumentując, że *„chroni ona cnotliwe niewiasty przed chucią lubieżników i gwałtowników"*. Ptolemeusz z Lukki (XIII w.) przypisywał św. Augustynowi słowa alibizujące płatny nierząd: *„Kobieta publiczna jest tym w społeczeństwie, czym ściek na statku lub ustęp pałacowy. Zlikwiduj ustęp, a zapaskudzisz cały pałac"* (co było za strony Ptolemeusza nadużyciem, Augustyn bowiem głosił, że prostytucja i stręczycielstwo, jakkolwiek ohydne, są niezbędne dla kanalizowania dzikich seksualnych chuci i porywów, lecz głosił to będąc poganinem, zaś nawrócony, będąc chrześcijaninem, już takich wniosków nie reklamował; mimo to zrobiono zeń świętego patrona burdeli). Jego teoria o *„chroniącej cnotliwe białogłowy"* niezbędności zamtuzów miała później wielu epigonów, takich jak XVIII–wieczny brytyjski pisarz i lekarz Bernard de Mandeville, autor broszury pt. **„Skromna obrona domów publicznych"**.

Próbowało plenić prostytucję wielu średniowiecznych monarchów (Ludwik Święty, Filip IV, i in.) naśladujących staro-

Jean-Léon Gérôme, „Fryne przed areopagiem" (1861)

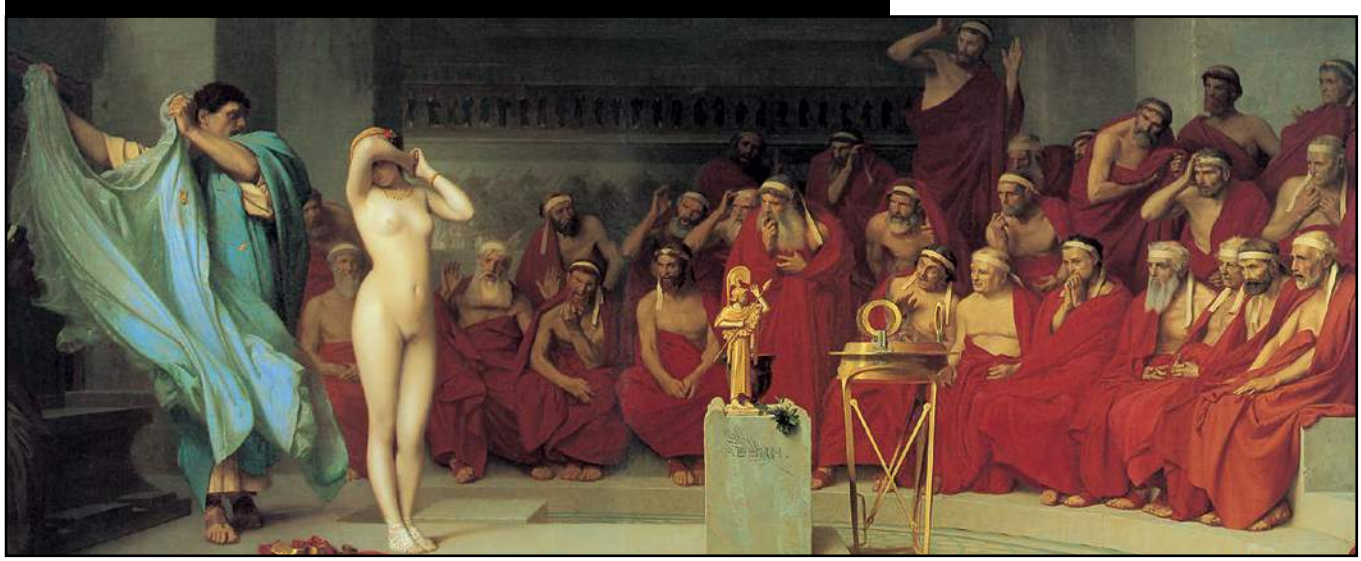

eprasa.pl 41c41ae693

rzymskiego cesarza Walentyniana — i każdy musiał prędzej czy później unieważniać restrykcyjny dekret, wracając do praktyki reglamentowania/kontrolowania płatnego nierządu. Równie jałowe okazywały się anatemy rzucane przez Watykan. Lokalnie jednak tępiono *„zawodowe poróbstwo"* bez litości (pewien włoski żołdak wyższej szarży przez pół dnia utopił niby szczenięta 800 prostytutek!) — ekspulsjami, egzekucjami, pręgierzami, konfiskatami mienia, gettami burdelowymi, itp. Ten sam rezultat dałoby karanie wylewającej rzeki chłostą. Prof. Bronisław Geremek: *„Wszelkie nowożytne walki z prostytucją były skuteczne tylko wtedy, gdy towarzyszyła im fizyczna eksterminacja"* (1972). Bzdura — fizyczna eksterminacja była skutecznym środkiem jedynie wobec zabitej kobiety, a nie wobec nieśmiertelnego libidycznego pędu kobiet do płatnych ciupciań, czyli wobec prostytucji jako takiej.

Pisząc o płatnym nierządzie Wieków Średnich nie sposób, rzecz prosta, uniknąć kwestii: prostytucja a Kościół. Mediewalny dewocyjny Chrystianizm wyplenił antyczną przyświątynną prostytucję. Chrystianizm — nie Chrystus. Jezus, jak już wspomniałem, traktował kobiety sprzedajne bardzo wyrozumiale, czego pierwszym przykładem biblijnym anonimowa jawnogrzesznica, zaś drugim Maria Magdalena, która została świętą (inną świątobliwą chlubą Kościoła jest Maria Egipcjanka, co 49 latami pustelnictwa pokutowała za 17 lat *„wyuzdanej rozpusty"* profesjonalnej). Lecz już uczniowie Chrystusa mieli serca słabiej wybaczające dziwkom oraz ich klientom; święty Paweł, który explicite zwał Marię Magdalenę *„porne"* (kobietą publiczną, ladacznicą), twardo piętnował k....ski fach, twierdząc, że nie można zostać chrześcijaninem, kiedy się korzysta z tego typu usług. Paweł był, notabene, nieufny wobec wszystkich białogłów, więc od niego feministki wywodzą ów skrajny mizoginizm, co głosi, że każda baba jest biologicznie uwarunkowaną prostytutką, tylko różne są skale uwarunkowania — od 10% do 100% (100% to jawne wykonywanie zawodu).

Na arenie płatnego seksu Średniowiecza katolickie potępienie nierzadko zderzało się z praktyką determinowaną koniecznościami. Ludwik Święty, prowadząc świętą wyprawę krzyżową dla odebrania muzułmanom grobu Chrystusa, nie omieszkał dołączyć do swej floty statku pełnego *„gamratek"*. Wilhelm hrabia Poitiers zbudował w Niort lupanar na wzór klasztoru. U Japończyków płatny nierząd też miał coś z pobożności od czasu, gdy ostatni monarcha–duchowny (*„dairi"*) utopił się czmychając przed świeckim cesarzem (*„koubo"*), a damy jego dworu, nie mając co jeść, musiały chwycić się prostytucji. Na starość zaś dewocji, co jest regułą ogólnoświatową — starzejące się *„jawnogrzesznice"* wszędzie nurkują w azyl ostrej dewocji, często klasztornej. Masowa dewocja emerytowanych prostytutek powodowała fundowanie im przybytków regenerowania przyzwoitości, a pierwszym odnotowanym był średniowieczny paryski klasztor Filles–Dieu, czyli Panienek Bożych, założony na początku XIII wieku dla pokutujących *„filles de joie"*.

RENESANS ARETINA

W Renesansie, którego sztuka zrehabilitowała (znowu odsłoniła, wzorem Antyku) kobiecą nagość — prostytutki grały jako muzy i modelki rolę fundamentalną. Pozowały Botticellemu, Belliniemu i ich kolegom nie tylko do aktów. Cesare Cantu (włoski historyk XIX–wieczny): *„W ogól-*

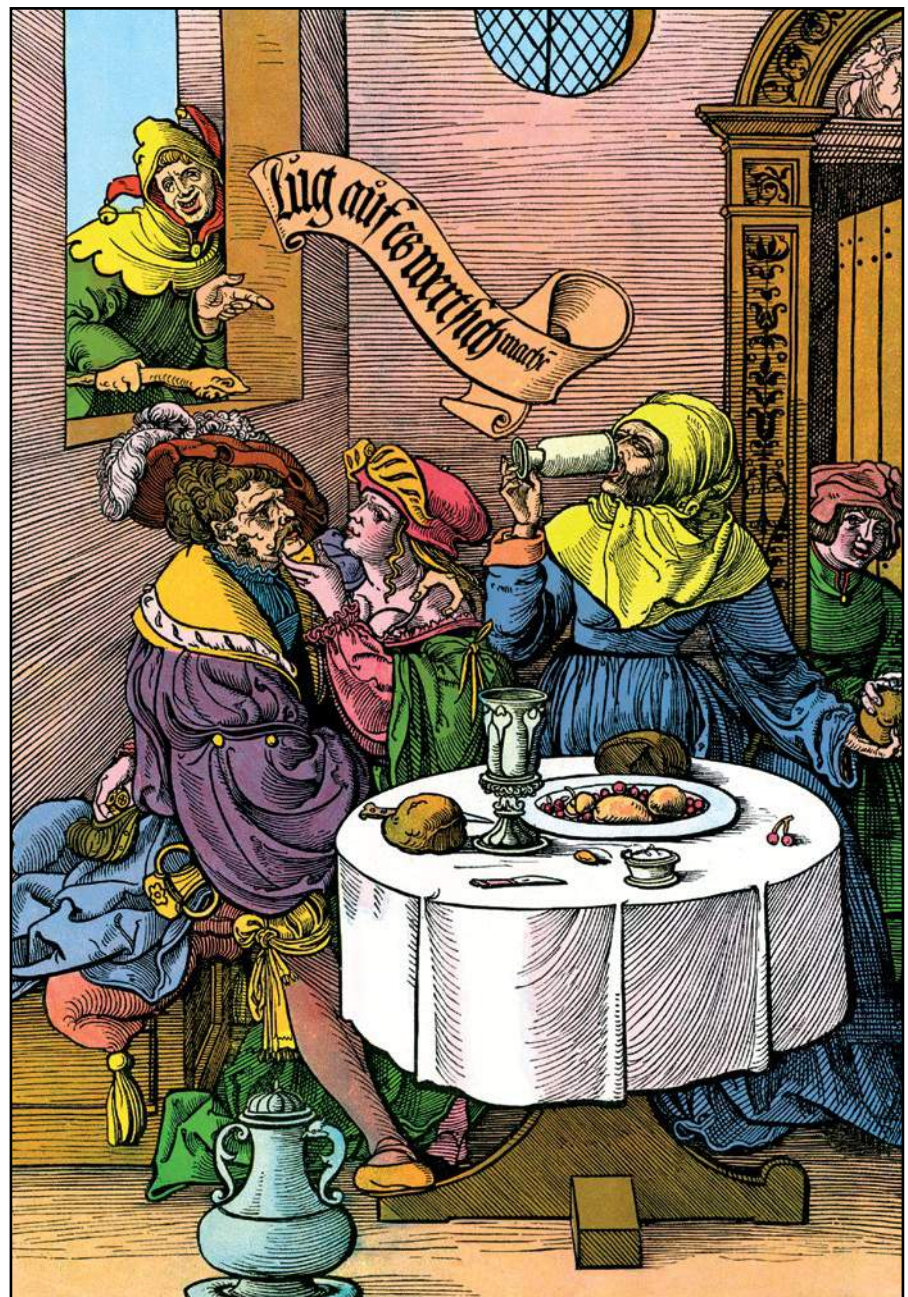

Anonimowy Mistrz z Augsburga, „W zamtuzie" (XVI wiek)

eprasa.pl 41c41ae693

Monogramista Brunszwicki, „W zamtuzie" (1550)

ności duch pogaństwa tak się wówczas rozkrzewił we Włoszech, że na ołtarzach widziano twarze słynnych Trastewerynek [prostytutek pracujących wzdłuż rzymskiej Trastevere], *które malarze, ich kochankowie, poumieszczali na obrazach świętych (...) nawet w papieskich kaplicach! Zachwiały się wszelkie wyobrażenia wstydu i sprawiedliwości"*. Sprawiedliwość próbowało wymierzyć ówczesnym prostytutkom papiestwo. Papież Pius V nakazał wszystkim *„niewiastom lekkich obyczajów"* wyjść za mąż, grożąc chłostą każdej niepokornej, a mężczyznom zakazał chodzić do burdeli. Jeszcze w tym samym XVI stuleciu papież Sykstus V obłożył prostytutki klątwą watykańską. Dało to tyle co nic.

Wiek XVI zaoferował kulturze europejskiej króla renesansowych pornografów, Aretina (pisarz Pietro Bacci z Aretino), serdecznego przyjaciela legionu gigantów tamtej doby (takich geniuszy jak Michał Anioł i Tycjan, takich monarchów jak Henryk VIII i Karol V, takich papieży jak Juliusz III, etc.). Aretino urodził się i zmarł w burdelu (jego matką była prostytutka, zaś skonał w weneckim lupanarze swoich sióstr, gdzie go tak rozśmieszono, iż spadł niefortunnie z krzesła). Dom nierządu stanowił dlań bezkonkurencyjne *„okoliczności przyrody"*, podobnie jak później dla sławnego japońskiego artysty Kitagawy Utamaro (XVIII w.), czy dla Toulouse–Lautreca (XIX w.), któremu ciągle dawały wikt i opierunek *„femmes d'amour"* z paryskiego burdelu Madame Suzanne na rue des Moulins (gdy jej podopieczne zachowywały się zbyt swobodnie, burdelmama przywoływała je do porządku sykiem: *„ — Wydaje się wam, że gdzie jesteście, co?!..."*). Aretino głosił tezę, iż prostytutki oraz wielkie damy niewiele się różnią (włoski termin *„cortegiana"* ma dubeltowe znaczenie — to: i kurtyzana, i dama dworska, dworka), oraz że ojczyzną, rajem, najwłaściwszym miejscem dla kobiety jest zamtuz, tam bowiem uprawiane jest intensywnie główne przeznaczenie tej płci. Pisał: *„Nie ma lepszego miejsca do uprawiania seksu niż burdel. Kurwy, krowy i maciory wykazują żądzę, której można ufać"*. Wspierał go mocnym głosem współczesny mu Battista Zatti di Brescia: *„A cóż w tym złego, że mężczyzna pieprzy sprzedajną kobietę? Czy zwierzęta mają mieć więcej wolności aniżeli my? (...) Zresztą bez chędożenia bab nie istniałaby ludzkość"*.

Jako wybitnemu ekspertowi od spraw płatnego seksu (w końcu to on napisał **„Żywoty kurtyzan"** i **„Jak Nana swą córeczkę Pippę kształciła na kurtyzanę"**) władze Wenecji zleciły Aretinowi opracowanie cennika burdelowego (***„La tariffa delle puttane di Venezia"***). Jednocześnie senat *„Perły Adriatyku"* postanowił opodatkować prostytutki, zaś uprzednio zewidencjonować je w tym celu. Spis wywołał szok, okazało się bowiem, iż brudną profesją para się aż 11 tysięcy weneckich białogłów (w Rzymie „ledwie" 7 tysięcy), co czyni *„Serenissimę"* nie tylko królową morza, lecz i królową lubieżności zarobkowej; notabene utrzymywała taki status już długo, gdyż półtora wieku wcześniej zwał ją *„czołowym siedliskiem rozpusty"* Giovanni Boccaccio (**„Dekameron"**). Wśród owych 11 tysięcy grubą większość stanowiły szeregowe, nierządniczy plebs formujący armię płatnego Kupidyna. Do elitarnej generalicji kobiet *„szalonych pod względem ciała"* należało parę procent kurtyzan, które trudno zwać *„publicznymi"* (*„filles publique"*), bo były używane nie publicznie, tylko przez establishment herbowy, stanowy i majątkowy.

Takie luksusowe metresy, notowane przez każdą epokę, w Antyku zwano *„heterami"*, w XIX wieku *„cocottes"* (kokotami), *„grandes horizontales"* (wielkimi poziomymi) i *„mangeuses d'hommes"* (kanibalkami, pożeraczkami facetów), a w dobie Odrodzenia *„kobietami wolnymi"* bądź *„kobietami wolnych obyczajów"* (termin taki można znaleźć choćby w **„Zazdrosnym Estramadurczyku"** Miguela Cervantesa). Używano też określenia *„meretrix honesta"* (kurwa godziwa), lecz tylko wobec arystokracji fachu. W stuleciu XVI głośne kurtyzany europejskie (Fiammetta, Imperia, Izabella de Luna, Katarzyna di San Celso, Tulia z Aragonii i inne) brylowały między prawdziwą arystokracją, jadając u wielkopańskich stołów. Poeta, nowelista i kronikarz, Giambattista Cinzio Giraldi, piętnował piórem (1565) *„obłudę i szatańskie porywy"* tych pań, lecz inne pióra sławiły ich wykształcenie i talenty. Imperia była wręcz erudytką, Hiszpanka de Luna satyryczką, Kasia di San Celso pięknie grała, śpiewała i deklamowała. Trochę później (druga połowa XVI wieku) za gwiazdę *„miasta dożów"* robiła poetessa Weronika Franco (relaksował się u niej między innymi król Henryk III Walezy), chociaż ówczesny spis weneckich luksusowych ladacznic (***„Catalogo delle principali et piu honorate cortigiane di Venetia"***) dawał jej ledwie 204 numer. Symbolem społecznego statusu kurtyzan jest fakt, że aż do 1548 roku przedstawicielka cechu

Nicolaus Knüpfer, „W burdelu" (~1650)

eprasa.pl 41c41ae693

prostytutek zasiadała podczas ceremonialnych włoskich obchodów i świąt na trybunie honorowej razem z dygnitarzami świeckimi i biskupami — jako jedyna w tym gronie kobieta! Sobór Trydencki zlikwidował takie honory żelazną pięścią.

TOLERANCJA WIEKU XIX

Prostytucja miała swój *„złoty wiek"* niezliczoną ilość razy, lecz swój epos literacki (ten mitologizujący profesję) tylko trzykrotnie — za Antyku, za Renesansu, tudzież w drugiej połowie stulecia XIX. Dziwić może, iż pośród tych trzech eposów nie figuruje orgiastycznie wyuzdane Rokoko (druga połowa XVIII wieku). Dlaczego? Niby celne jest wyjaśnienie rokokowego eksperta, Giacomo Casanovy: *„W naszych szczęśliwych czasach nie trzeba wcale sprzedajnych dziewczyn, skoro znajduje się tyle uległości u przyzwoitych kobiet"*. Jest to wszakże diagnoza ponadczasowa, tycząca wszystkich epok (vide motto z rymowanką Aleksandra Fredry), musiały więc być inne przyczyny, które okradły Rokoko z burdelowej legendy literackiej. Mój werdykt brzmi: sprośne rokokowe malarstwo (Boucher, Watteau, Fragonard i spółka) eksplodowało na froncie tak szerokim, że literatura nie była już potrzebna. Ta konstatacja daje nam pretekst, by poświęcić parę słów burdeliadzie malarskiej praktykowanej podczas minionych wieków.

Pierwsze wielkie dzieło ukazujące nierządnice to **„Kurtyzany"** (1514) spod pędzla Wenecjanina Vittore Carpaccia (prezentuje ono dwie ladacznice trochę już przywiędłe, lecz metryka nigdy nie stanowiła hamulca dla entuzjastek fachu — A.D. 1993 czynną nestorką była w Genui 82–letnia Paolina). Ostatnie zaś wielkie dzieło na ów temat to **„Panny z Awinionu"** (1907) Pabla Picassa,

William Hogarth, „W burdelu" (1735)

zwane przez komentatorów *„awiniońskim burdelem"* i *„burdelem filozoficznym"*. Pomiędzy Carpacciem a Picassem wyprodukowano mnóstwo *„desek"*, *„płócien"* i sztychów, których autorami byli zazwyczaj plastycy drugorzędni, choć zdarzali się też geniusze, jak William Hogarth (**„W burdelu"**, 1735) czy

Anonim, „W domu publicznym"

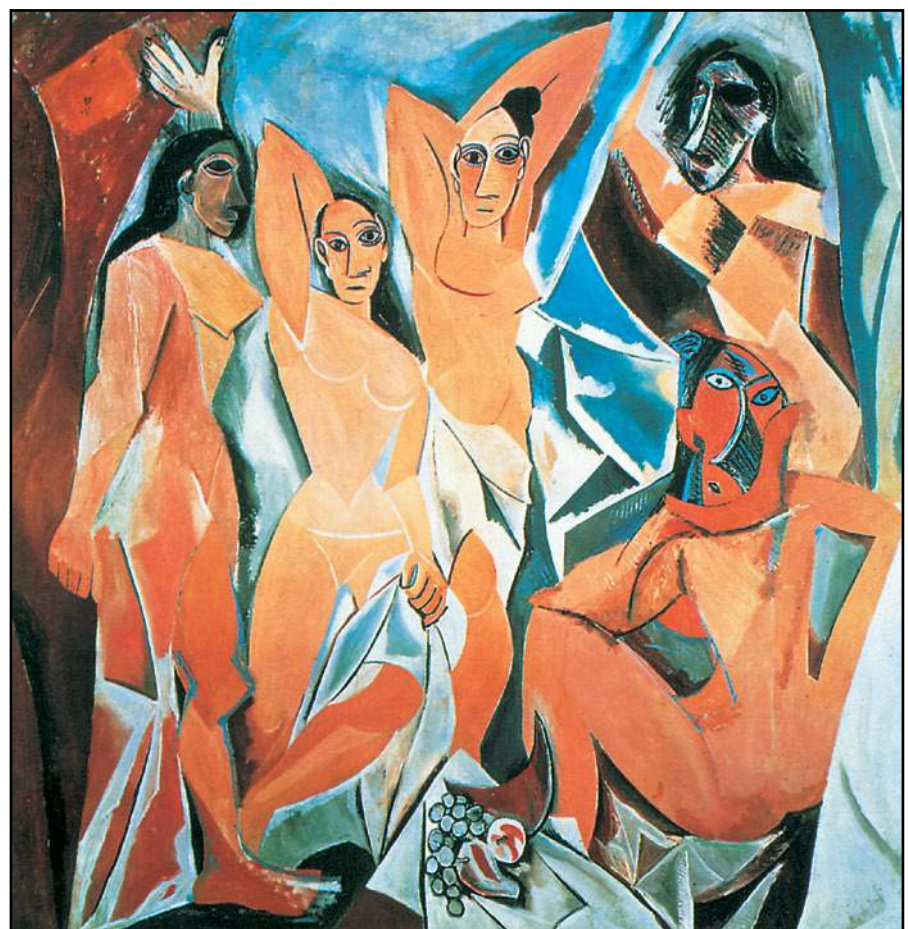

Pablo Picasso, „Panienki z Awinionu" (1907)

eprasa.pl 41c41ae693

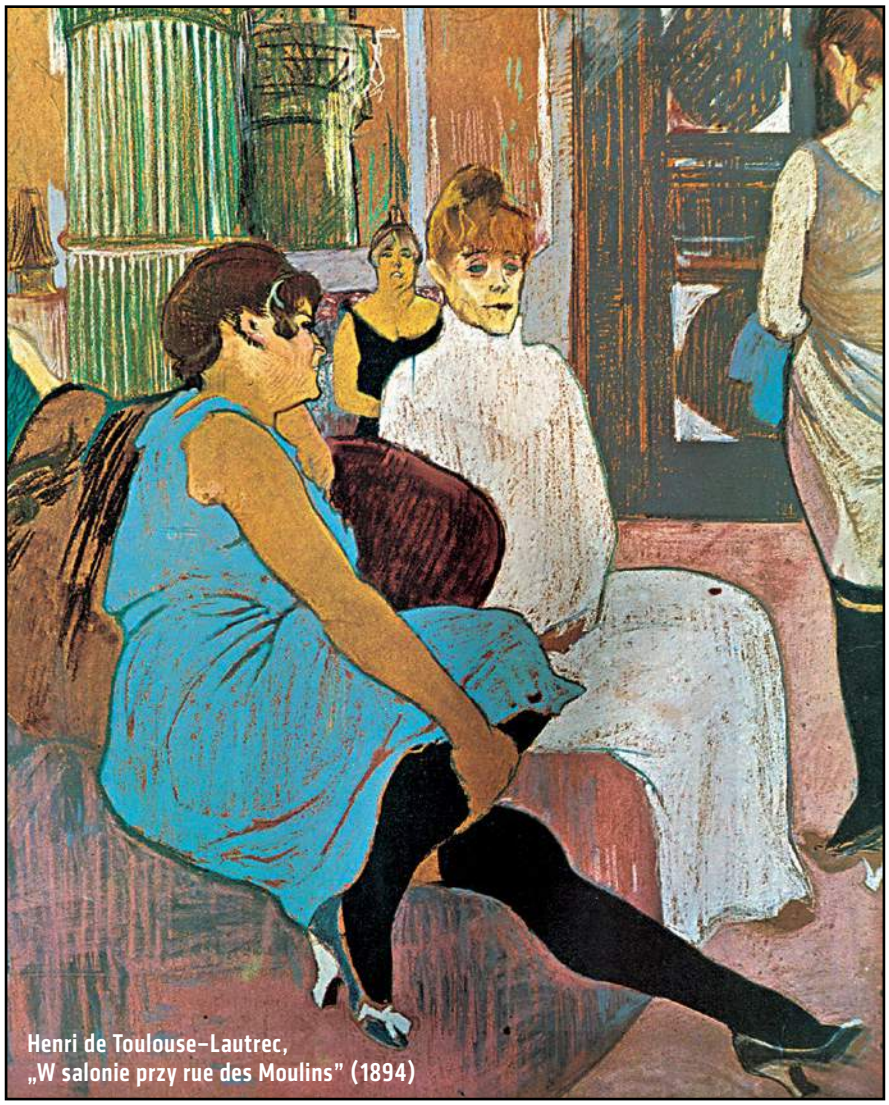

Henri de Toulouse-Lautrec, „W salonie przy rue des Moulins" (1894)

Henri de Toulouse–Lautrec (**„W salonie przy rue des Moulins"**, 1894). Wróćmy do chronologii, czyli do wielkich literackich epok burdelowego fachu.

Swoistym progiem takiej trzeciej epoki był 1848 rok. Właśnie wtedy modny francuski pisarz Aleksander Dumas–Syn wydał **„Damę kameliową"**, najsławniejsze literackie dzieło o prostytutce szlachetnej/uduchowionej, które — podobnie jak najsławniejsze filmowe dzieło o takiej właśnie nierządnicy (**„Pretty Woman"**, 1990) — było bardzo atrakcyjne dla odbiorców, choć zupełnie idiotyczne pod względem sensowności. Prowadząca bogate życie towarzyskie heroina romansu Dumasa, ladacznica luksusowa (*„utrzymanka"*), różniła się od szeregowych kurewek. Lektura scjentycznych monografii ówczesnego życia burdelowego, lub pamiętników pensjonariuszek *„maisons closes"*, daje obraz straszliwej nudy, zabijającej rutyny, bolesnej samotności. O tej pustce i o tym smutku Gustave Flaubert pisał do swej przyjaciółki, Louise Colet: *„Uwielbiam prostytucję taką, jaka jest, i za to, że w ogóle jest. Cały ów ładunek żądzy i goryczy, cielesnego szaleństwa i brzęku złota, cała ta pustka międzyludzka i ten przejmujący smutek — cały ów widok powoduje zawrót głowy"* (1853).

Rok, w jakim autor **„Pani Bovary"** to pisał, był progiem II Cesarstwa francuskiego, za którego kokoty rządzące ministrami dostawały literackie pomniki od Zoli i Balzaka, a Europa rozkwitła nowoczesnymi burdelami zwanymi *„maisons de tolérance"* — domami tolerancji. Te luksusowe przybytki serwowały — prócz usług cielesnych wszelakiego rodzaju (pedofilii i sodomii nie wyłączając) — mnóstwo perwersyjnych delikatesów i wyszukanych spektakli mających rozochocić klienta. Były to scenki z gimnastykującymi się lesbijkami, z gwałconymi uczennicami oraz mniszkami, z lubieżnym aerobikiem grupowym, z maszynerią chędożącą (już elektryczną!) i torturą sadomasochistyczną, wreszcie z zoofilią kobiet (przy wykorzystaniu niemieckich dogów i nowofunlandów). Ówczesna Anglia *„epoki Wiktoriańskiej"*, chociaż niezbyt przyzwoitsza od Francji, była jednak mniej ostentacyjna w publicznym eksponowaniu perwersji burdelowej — brytyjskie *„harlots"* (wszetecznice) wolały dyskrecję miast rozgłosu. Za *„stolicę rozpusty"* uznawano nad Tamizą Paryż, co dokumentowała przyśpiewka o angielskim nieostrożnym młodzieniaszku, który wybrał się nad Sekwanę:

„ An English boy in Paris fell
for a lovely mademoiselle..."

Teoria *„mniejszego zła"*, mająca pacyfikować przeciwników prostytucji, była do końca XIX wieku tak powszechnie uznawana, że Charles Chauvin, autor rozprawy **„Chrześcijanie i prostytucja"** (1983), studiując pisma wszelakich moralistów znalazł tylko jednego, świętego Alfonsa Liguori (XVIII–wieczny teolog neapolitański), który ową teorię krytykował. Według Liguoriego tolerowanie prostytucji przynosi więcej szkód niż pożytku. W roku 1948 papież Pius XII wyraził identyczne zdanie, a kilkanaście lat później II Sobór Watykański potępił prostytucję jako *„obrazę ludzkiej godności"* — bezwarunkowo.

* * * * *

Gdyby Lisicki dał mi kilkanaście dodatkowych stron — starczyłoby miejsca i na Polskę. A tak — musząc już kończyć — muszę się streszczać. Stąd tylko dwie perełki polskie. Władysław Broniewski (komuch, lecz pierwszorzędny poeta), widząc jak żołnierze gen. Andersa się męczą, oficjalnie postulował, by stworzyć podręczny (przyarmijny) burdel dla junaków Drugiego Korpusu, i wsparł swój postulat wierszykiem, z którego nie mogę tu zacytować ani jednej pełnej zwrotki, bo nie chcę narażać szacownego (mieniącego się *„konserwatywnym"*) periodyku na zarzut szerzenia *„obscenów"* vel *„pornosów"* — przytoczę jeno puentę (konkluzję) tyczącą świadczenia wojakom profesjonalnych usług:

„To bardzo odświeża
polskiego żołnierza".

I coś chronologicznie nowszego: gdy wczesną wiosną 2018 (marzec) grupa kabaretowa Pożar w Burdelu skompromitowała TVN audycją „Fabryka patriotów", powszechnie szydzono, że nazwa grupy odpowiada *„sytuacji wewnątrz stacji"*. ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Gułag w PRL

We wszystkich krajach świata, które opanował komunizm, występowały cztery nieodzowne dla tego systemu zjawiska:

1. powszechne kłamstwo;
2. katastrofa gospodarcza;
3. masowe mordy;
4. obozy koncentracyjne.

Nie inaczej było w przypadku PRL. Niby wszyscy słyszeli o Jaworznie i Świętochłowicach – obozach utworzonych po wojnie przez komunistów na Śląsku. Niby każdy słyszał o Salomonie Morelu i jego sadystycznych wybrykach. Jednak chyba mało kto zdaje sobie sprawę ze skali tego zjawiska.

Jak pisze prof. Bogusław Kopka w swojej książce „Gułag nad Wisłą", przez komunistyczne obozy w PRL przeszło… 300 tys. ludzi. A blisko 25 tys. straciło w nich życie. 25 tys.! To więcej ofiar śmiertelnych, niż pochłonęła zbrodnia katyńska.

Profesor Kopka – który nową książką ugruntował swoją pozycję najwybitniejszego znawcy tematu – udowadnia, że obozy pracy stworzone w PRL były wierną kopią bolszewickich łagrów. Gułagiem w miniaturze. Tak samo strasznym, tak samo okrutnym.

„Zarządzane przez Departament Więziennictwa MBP obozy pracy – pisze autor – stały się dla władz ważnym instrumentem represji w latach terroru stalinowskiego. Były swoistym uzupełnieniem dla przeludnionych więzień i aresztów, dodatkowo pozwalały uniknąć czasochłonnych – z perspektywy władz – procedur sądowych.

Z ekonomicznego punktu widzenia praca więźniów polskich obozów, podobnie jak sowieckich obozów koncentracyjnych, okazała się przedsięwzięciem nieopłacalnym. Mimo dziesięciogodzinnego dnia pracy i wyznaczania stale rosnących norm obozy cały czas przynosiły straty. Jedyną dochododową inwestycją okazał się proceder wynajmowania więźniów pobliskim gospodarstwom rolnym (PGR) i zakładom przemysłowym czy nawet osobom prywatnym".

Tak, do obozów koncentracyjnych komuniści musieli dokładać.

Obozy pracy działały w PRL od końca II wojny do drugiej połowy lat 50. Formalnie skasowano je w 1958 r. Czerwoni więzili w nich każdego, kogo uznali za „wroga ludu". Niemców, Ślązaków, żołnierzy AK i NSZ, działaczy opozycyjnych. Dzięki świetnie napisanej książce Bogusława Kopki ta mroczna historia trafi do tysięcy czytelników.

Dobra robota, profesorze! ©℗

★★★★★★

BOGUSŁAW KOPKA „GUŁAG NAD WISŁĄ" WYDAWNICTWO LITERACKIE

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Protestancki fanatyk

Od początku reformacji obchody Bożego Ciała były zajadle zwalczane przez teologów protestanckich. Marcin Luter nazwał je nawet najbardziej szkodliwym świętem całego roku, a protestanci różnych wyznań zgodnie zaprzeczali istnieniu Ciała i Krwi Chrystusa w Eucharystii. Sytuacja stała się tak napięta, że w miastach polskich, gdzie innowiercy stanowili większość, zakazano w ogóle procesji Bożego Ciała. Zdarzało się także, że procesje odbywały się na ściśle wyznaczonym obszarze, a w Toruniu na terenie cmentarza!

> **Skazano go na śmierć, wyrwano mu język i poćwiartowano go**

Władze kościelne dokładały natomiast wszelkich starań, by uroczyste obchody odbywały się w miastach, gdzie dominowali katolicy. Zgodnie z uchwałami soboru trydenckiego (1545–1563) publicznie obnoszono Eucharystię, by „prawda" zatriumfowała nad „herezją" i przekonała protestantów do powrotu do Kościoła. Uroczyste procesje miały stać się dowodem na wyższość katolicyzmu i upokorzyć protestanckich niedowiarków.

Nie obyło się bez zaburzeń. Zdarzało się, że zwolennicy reformacji publicznie bezcześcili Eucharystię podczas procesji, jednak za czasów Zygmunta Augusta i Stefana Batorego uchodziło im to na sucho.

Sytuacja zmieniła się za panowania Zygmunta III Wazy, czego osobiście doświadczył włoski wyznawca kalwinizmu, Franco de Franco. Podczas procesji Bożego Ciała w Wilnie 2 czerwca 1611 r. publicznie zarzucił jej uczestnikom bluźnierstwo i bałwochwalstwo, w efekcie został natychmiast aresztowany. Skazano go na śmierć, wyrwano mu język i poćwiartowano go.

Franco de Franco był typem fanatyka. Odmówił ułaskawienia w zamian za przejście na katolicyzm, zażądał natomiast publicznej egzekucji. Pragnął ponieść śmierć za swoją wiarę na oczach tłumów, ale władze nie chciały protestanckiego męczennika, więc stracono go w podziemiach wileńskiego ratusza. Nie uniknięto jednak zamieszek w mieście, gdyż dwa dni później ktoś rzucił w procesję kamieniem, a katolicy splądrowali i podpalili zbór (zginął jeden z duchownych). Sprawa trafiła nawet pod obrady sejmu, ale ostatecznie nie podjęto żadnej uchwały przeciwko tumultom skierowanym przeciwko protestantom. Sprawa Franco de Franco była jednak jeszcze przez wiele lat tematem publicystyki kalwińskiej, chociaż polemiści coraz bardziej przeinaczali wydarzenia i odchodzili od rzeczywistego przebiegu wileńskich wypadków. A czasy tolerancji religijnej w Rzeczypospolitej były już wówczas przeszłością. ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

Wybory inne niż wszystkie

Komitet wyborczy Solidarności. Fragment arkad budynku MDM przy pl. Konstytucji w Warszawie

FOT. JERZY LECH SZÓSTKO, EDWARD KUCHARSKI/IPN

Wybory parlamentarne z 4 czerwca 1989 r. były inne niż wszystkie. Nie tylko zresztą niż te w Polsce Ludowej, lecz także inne niż te w III RP. I to z kilku powodów

Były to – o czym często się dzisiaj zapomina – wybory kontraktowe, jedynie w części demokratyczne. Ich kształt to wynik negocjacji między przedstawicielami władz PRL i części Solidarności skupionej wokół Lecha Wałęsy, które trwały od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 r. Wśród końcowych ustaleń znalazły się m.in. częściowo wolne (w 35 proc.) wybory do Sejmu oraz całkowicie wolne do Senatu, a także zgoda na utworzenie urzędu prezydenta PRL z bardzo szerokimi kompetencjami. Notabene komuniści mieli pomysł, aby były to wybory niekonfrontacyjne, co zresztą jest całkowicie sprzeczne z ideą wyborów – przynajmniej w krajach demokratycznych – których istotą jest konfrontacja programów i kandydatów.

Zdawałoby się, że zdecydowaną przewagę (środki, struktury, lokale) będą mieć rządzący. Tak się jednak nie stało! Kampania wyborcza strony solidarnościowej okazała się dużo lepsza od tej prowadzonej przez władze PRL. Było to możliwe głównie dzięki dziesiątkom tysięcy osób, które zaangażowały się w działalność Komitetów Obywatelskich „Solidarność". Te zostały utworzone nie tylko w stolicach wszystkich 49 ówczesnych województw, lecz także w wielu miastach, miasteczkach i wsiach na terenie całego kraju. Osoby, które zostały ich członkami, pracowały na zasadzie wolontariatu, niejednokrotnie zresztą wspierając tę kampanię finansowo... (poprzez zakup cegiełek Funduszu Wyborczego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"). Organizowały one spotkania kandydatów na posłów i senatorów, w wielu zresztą przypadkach przy wsparciu lokalnego Kościoła, a także kampanię propagandową (plakatową). Prowadziły również – co niepowtarzalne – 4 czerwca 1989 r. tzw. punkty informacyjne Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" przed lokalami wyborczymi. Teoretycznie ich zadaniem było jedynie informowanie o tym, jak oddać głos na przedstawicieli KO, w praktyce jednak udzielały rad, jak głosować. I tak np. pytane w przypadku głosowania na tzw. listę krajową odpowiadały, że nie mogą udzielać rad w tej kwestii, ale same skreślą wszystkie osoby na niej umieszczone…

Nie tylko zresztą wybory czerwcowe nie były w pełni demokratyczne, lecz także wyłonienie kandydatów Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" nie zawsze odbywało się w sposób demokratyczny. Niekiedy – np. w Warszawie – byli oni po prostu wyznaczani odgórnie. Zdarzało się też, że działacze ze stolicy narzucali swych kandydatów w terenie. Tak było np. w przypadku Skierniewic, gdzie Henryk Wujec przeforsował wbrew lokalnym działaczom Macieja Bednarkiewicza. Nic zatem dziwnego, że część znanych działaczy opozycji wobec takiego sposobu wyłaniania kandydatów strony solidarnościowej nie zdecydowała się na start w wyborach. Inni postanowili próbować sił poza strukturami KO, np. Władysław Siła-Nowicki w Warszawie konkurował z Jackiem Kuroniem. Ani jednak on, ani kandydaci Konfederacji Polski Niepodległej nie mieli w tych plebiscytowych wyborach żadnych szans. Podobnie jak nie mogła liczyć na zrozumienie radykalna część opozycji (np. Solidarność Walcząca), która wzywała do bojkotu wyborów jako nie w pełni demokratycznych.

W wyborach do Sejmu kandydatom Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" udało się zdobyć 161 z 460 mandatów poselskich, czyli wszystkie, o które mogli się ubiegać. Wywalczyli oni również 99 ze 100 mandatów senatorskich. Utworzyli Obywatelski Klub Parlamentarny. Olga Krzyżanowska została wicemarszałkiem Sejmu, a jej koledzy z OKP obsadzili całe Prezydium Senatu (marszałek Andrzej Stelmachowski, wicemarszałkowie Zofia Kuratowska, Józef Ślisz i Andrzej Wielowieyski). Inna sprawa, że sukces strony solidarnościowej mógł być jeszcze większy. Polacy bowiem wbrew postawie samego Lecha Wałęsy, który w przededniu wyborów zapowiedział, że skreśli z listy tylko jedną osobę, głosowali przeciwko liście krajowej. W efekcie tylko pierwsza i ostatnia osoba umieszczona na niej, a niezbyt dokładnie skreślona, otrzymały wymagane 50 proc. Niestety, przywódcy strony solidarnościowej zgodzili się – zgodnie z umową okrągłostołową, ale wbrew obowiązującej ordynacji, w której nie przewidziano takiej okoliczności – na obsadzenie tych 33 mandatów przez rządzących…

Grzegorz Majchrzak

eprasa.pl 41c41ae693

Oficjalnie neutralni, a w praktyce... Kościół katolicki wobec wyborów czerwcowych

Kościół katolicki odegrał ważną rolę w ostatnich latach PRL. Momentem ważnego przełomu była trzecia pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny, która spowodowała nie tylko istotne jego wzmocnienie, lecz także zwiększyła jego aktywność w sferze społeczno-politycznej. Jednym z najważniejszych efektów pielgrzymki papieskiej było zanegowanie pomysłów zawarcia porozumienia społecznego bez udziału Solidarności, które poważnie rozpatrywano w episkopacie, a szczególnie wśród jego dominującej umiarkowanej części na czele z kard. Józefem Glempem. Przełożyło się to na ponowne odegranie roli pośrednika i mediatora między władzami a powracającym do oficjalnej działalności ruchem społecznym. Biskupi mocno zaangażowali się w rozmowy prowadzone na linii władza–opozycja po fali strajków z sierpnia 1988 r. To dzięki pośrednictwu przedstawicieli episkopatu rozmowy nie tylko nie zostały zerwane, lecz także doprowadziły do podjęcia obrad przy Okrągłym Stole. Większość duchowieństwa popierała tę inicjatywę, gdyż uważała, że to trafna droga do zawarcia porozumienia społecznego. Jednym z najważniejszych ustaleń, które wtedy zapadły, była zgoda władz PRL na częściowo wolne wybory, które miały odbyć się 4 czerwca 1989 r.

Jacek Kuroń przemawiający na spotkaniu wyborczym

FOT. JERZY LECH SZÓSTKO, EDWARD KUCHARSKI/IPN

PRÓBY NACISKU, OFICJALNA NEUTRALNOŚĆ

Zdecydowana większość duchowieństwa darzyła sympatią Komitet Obywatelski i od początku kampanii wyborczej odgrywała w niej kluczową rolę, wspierając Solidarność na różne sposoby: materialnie, słowem z ambony, zbierając podpisy pod listami wyborczymi oraz pośrednio, np. udostępniając pomieszczenia kościelne na spotkania przedwyborcze. Spowodowało to szereg pretensji władz PRL pod adresem biskupów oraz stosowanie różnorodnych środków nacisku, aby osiągnąć „neutralność polityczną" Kościoła: od protestu wyrażonego na forum Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu do rozmów profilaktycznych z ordynariuszami, aby uzyskać od nich zapewnienie, że duchowieństwo w ich diecezji nie będzie angażować się w kampanię. W przypadku większości hierarchów nacisk okazał się nieskuteczny, ale np. kard. Franciszek Macharski, według raportu MSW, miał zobowiązać się do dyscyplinowania księży. Tego typu stanowisko deklarował również abp Jerzy Stroba w czasie rozmów z przedstawicielami poznańskich władz wojewódzkich. Jak się jednak okazało, żaden z hierarchów nie podjął w tej kwestii poważniejszych działań. Próbowano wobec biskupów także innej metody, czyli przyspieszenia negocjacji w sprawie ustawy o osobowości prawnej Kościoła – bardzo ważnej dla biskupów, ale i ta swego rodzaju „marchewka" nie pomogła. Episkopat oficjalnie zajmował neutralne stanowisko wobec wyborów, precyzował je Komunikat z Konferencji Plenarnej tego gremium z 2 maja, w którym zaznaczono, że wybory są szansą, która „winna być wykorzystana przez wiernych w poczuciu odpowiedzialności za wspólne dobro narodu, jakkolwiek pozostaje świadomość, że obecne wybory są tylko pierwszym krokiem do pełnej podmiotowości społeczeństwa". W praktyce jednak hierarchia kościelna w znacznej części sympatyzowała z Solidarnością i jej programem.

RZECZYWISTOŚĆ I EFEKTY

Tak więc, mimo deklaracji biskupów, duchowieństwo nie przestało angażować się w kampanię wyborczą po stronie Komitetu Obywatelskiego. Infrastruktura kościelna była niezwykle pomocna w organizowaniu spotkań z wyborcami, poparcie z ambony dla danego kandydata było zaś jednym z kluczowych czynników jego wyboru. Było to szczególnie widoczne w miejscach, w których struktury niezależnego ruchu społecznego były słabe, co nie przeszkodziło w osiągnięciu dobrego wyniku przez kandydata KO. W analizie SB z 20 maja 1989 r. pisano: „W czerwcowych wyborach frekwencja kleru w akcie głosowania będzie wyższa niż notowana w latach ubiegłych. Zaangażowanie się znacznej części duchowieństwa (ok. 20 proc. kleru diecezjalnego) na rzecz kampanii przedwyborczej strony solidarnościowo-opozycyjnej wskazuje, iż będą oni oddawać swe głosy przede wszystkim na jej kandydatów". Należy więc jednoznacznie podkreślić, że bez zaangażowania Kościoła sukces Solidarności byłby utrudniony, a jego skala zdecydowanie mniejsza. Wymownie skomentował to zresztą Mieczysław Rakowski, odnosząc się do wyników wyborów: „Kościół jest głównym sprawcą tego, co się stało".

Rafał Łatka

eprasa.pl 41c41ae693

Działacze KPN podczas akcji zbierania podpisów poparcia kandydatów partii – przed wyborami do Sejmu i Senatu, maj 1989 r. FOT. IPN

KPN wobec wyborów czerwcowych

Konfederacja Polski Niepodległej od momentu powstania definiowała się jako partia polityczna, której celem jest doprowadzenie do niepodległości Polski. Dlatego do rozmów Okrągłego Stołu kierownictwo KPN podeszło jak do rysującej się szansy na zrobienie kolejnego kroku ku niepodległej

Partia Leszka Moczulskiego bywała postrzegana przez wiele lat – zarówno przez rywali z opozycji, jak i historyków – jako ugrupowanie politycznych szaleńców, którzy pozycjonowali się w roli niepodległościowego Dawida w walce z komunistycznym Goliatem. Kiedy prześledzimy konfederacką prasę i wypowiedzi liderów partii z początków transformacji ustrojowej, dojdziemy jednak do wniosku, że Leszek Moczulski prezentował wówczas pragmatyczny, oparty na realizmie scenariusz wydarzeń.

KPN na przełomie lat 1988 i 1989 była w ocenie MSW jednym – obok Solidarności Walczącej – z dwóch najgroźniejszych przedstawicieli tzw. niekonstruktywnej opozycji. W kierownictwie Służby Bezpieczeństwa bano się inicjatyw zjednoczeniowych po stronie opozycyjnej. Dziś nie pamięta się m.in. o spotkaniu z października 1988 r., podczas którego szukano porozumienia pomiędzy opozycyjnymi uczestnikami Okrągłego Stołu, takimi jak Jacek Kuroń i Bronisław Geremek, a całą paletą nastawionych sceptycznie wobec porozumienia z komunistami organizacji opozycyjnych (w tym KPN). Ostatecznie z grona „niekonstruktywnej" – tj. dążącej do radykalnej zmiany systemu – opozycji tylko KPN zdecydowała się na udział w reglamentowanych wyborach, zaznaczając zresztą, że dla jej członków jest to jedynie etap na drodze ku niepodległej Polsce.

Decyzję o starcie w wyborach podjęto na III Kongresie KPN, który obradował w dwóch turach na przełomie lutego i marca 1989 r. w Warszawie i Krakowie. Dwóch, gdyż pierwsza została przerwana przez funkcjonariuszy MO i SB. Polityka represji prowadzona wobec konfederatów nie pozostawiała złudzeń, że nie są oni mile widzianą opcją podczas pierwszych, częściowo wolnych wyborów. W kwietniu 1989 r. KPN wydała dokument, w którym pisano, że wybory czerwcowe są z jednej strony manipulacją władz, ale z drugiej prowadzą do załamania się systemu komunistycznego. Dlatego też 19 kwietnia 1989 r. KPN utworzyła Główny Komitet Wyborczy, a jej członkowie rozpoczęli zbieranie podpisów pod konfederackimi kandydaturami.

Ich zbieranie nie było zadaniem prostym. Zdarzały się przypadki pobić członków KPN i rozganiania przez milicję jej wieców wyborczych. Dlatego zebranie wystarczającej liczby głosów do zgłoszenia 16 kandydatów do Sejmu i sześciu do Senatu należało odebrać jako sukces. Sami konfederaci widzieli to inaczej. Wewnątrz partii mówiono bowiem nawet o realnych szansach na zdobycie 30 mandatów.

Ostateczny wynik okazał się dla KPN sporym ciosem. Wybory, które okazały się plebiscytem pomiędzy komunistami a Solidarnością, nie pozwoliły zaistnieć innym kandydatom. Moczulski przepadł w Krakowie – gdzie popularność KPN była relatywnie wysoka – w walce z Janem Rokitą, w tym czasie nie tak mocno rozpoznawalnym przedstawicielem Solidarności, jak to było w latach późniejszych. Jedynym konfederatem, który zdobył mandat, okazał się Andrzej Fenrych, szef KPN w Tarnowie i emerytowany nauczyciel wystawiony przez miejscowy Komitet Obywatelski „Solidarność". Uzyskał on więcej głosów niż pozostali konfederaccy kandydaci razem wzięci (199 tys. wobec 160 tys. głosów).

Czy KPN-owskie manewry związane z Okrągłym Stołem finalnie pomogły tej partii? Nie prowadzono w tej materii żadnych badań socjologicznych. Patrząc jednak na dalsze losy KPN i chociażby Solidarności Walczącej, wydaje się, że decyzja KPN o starcie w wyborach była z jej perspektywy słuszna. W przeciwieństwie do jawnych krytyków i środowisk politycznych bojkotujących okrągłostołowy kompromis KPN zaistniała niemal od razu jako poważna siła polityczna, zdolna do wprowadzenia do parlamentu III RP własnych przedstawicieli. Przez pierwszą dekadę istnienia III RP była zaś liczącym się, chociaż nigdy niepartycypującym w rządzeniu, ugrupowaniem politycznym.

Grzegorz Wołk

eprasa.pl 41c41ae693

Plakaty wyborcze na szybach o treści: „Postawmy na młodych, Sławbor Cergowski, bezpartyjny", „Solidarność popiera Siła-Nowickiego", „Solidarność, w samo południe 4 czerwca 1989", „Wybierz Jacka Kuronia, Lech Wałęsa", „Siła-Nowicki nr 17, mandat, u Ojca Świętego Luty '89", „Głosuj na Andrzeja Wieczorkiewicza, wasz kandydat mieszkańcem Żoliborza" FOT. JERZY LECH SZÓSTKO, EDWARD KUCHARSKI/IPN

Plakatowe mity 1989 r.

Wybory z czerwca 1989 r. do Sejmu kontraktowego mają swoje mity. Okazuje się, że po latach na nowo trzeba uświadamiać Polakom, że nie wszyscy mieli plakat z Lechem Wałęsą, a Gary Cooper Tomasza Sarneckiego największą karierę zrobił już po wyborach

GARY COOPER ZWYCIĘŻA KOMUNIZM

W powszechnej opinii oprócz słynnego zdjęcia kandydatów do Sejmu i Senatu z Lechem Wałęsą „ojcem" zwycięstwa nad koalicją partyjno-rządową był… Gary Cooper. Kowboj ze słynnego westernu Freda Zimmermana „W samo południe" stał się bohaterem plakatu studenta warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych Tomasza Sarneckiego. Pomysł walecznego kowboja, bohatera opowiadania Johna W. Cunninghama, który odważnie kroczył z kartą wyborczą ze słowem „Solidarność", pod którym widniał napis: „W samo południe 4 czerwca 1989", był niezwykle widowiskowy i odważny. Nikt go jednak nie chciał…. Jak opowiadał Sarnecki: „Dla wszystkich niemal ludzi »Solidarności« był NIE DO PRZYJĘCIA. […] Na ich twarzach przerażenie, a na ustach powtarzane jak mantra hasło (którego głównym terminem było słowo wylansowane w telewizji przez partyjnego prof. Reykowskiego) »Skandal, to jest za bardzo KONFRONTACYJNE«". Ryszard M. Zając, szef warszawskiego biura wyborczego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność", wspominał: „Zdecydowałem na własną rękę, że jest dobry i musi być wydrukowany (po latach okazało się, że kilka osób opowiada, że to była ich decyzja, akurat mnie tego nie wmówią). Jechał wtedy któryś z emisariuszy »S« bodaj do Włoch; dałem mu więc ten projekt z kowbojem. Gdy powróciły gotowe plakaty, mogłem sobie gratulować – wywołały niesamowitą furorę! Na czarnym rynku płacono za egzemplarz »kowboja« ok. dziesięciu dolarów! To była wtedy spora sumka". Trwało to jakiś czas, pierwsze plakaty z kowbojem trafiły do Polski drogą lotniczą późnym wieczorem 3 czerwca 1989 r. A ponieważ nie było ciszy wyborczej, skrzyknięci naprędce wolontariusze ruszyli w Warszawę w nocy i dzielny amerykański bohater rozpoczął walkę z komuną wczesnym rankiem 4 czerwca. Skutecznie. Do tego stopnia, że po latach uczestnicy tych wyborów twierdzą, iż plakat Sarneckiego kolportowany i rozklejany był w całej Polsce, a nie tylko w stolicy…

WYGRYWAJĄCY PLAKAT Z WAŁĘSĄ

Swoistym znakiem firmowym kandydatów KO „Solidarność" w tych wyborach stało się zdjęcie z Lechem Wałęsą. Rzekomo jego jedyny kandydat, który w nich przepadł (Piotr Baumgart), był tym jedynym, który nie miał plakatu z Wałęsą. W rzeczywistości takich osób było zdecydowanie więcej, gdyż – jak wynika z badań Adama Cherka – aż 23 kandydatów strony solidarnościowej takowego plakatu nie posiadało. Co więcej, Baumgarta w tej grupie nie było… Plakat wymyślił Andrzej Wajda, zdjęcia zaś wykonali 29 kwietnia 1989 r.: Jarosław Maciej Goliszewski, Erazm Ciołek i Jerzy Kośnik. Początkowo tłem miała być słynna brama nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina, jednak tłumy dziennikarzy i gapiów nie pozwoliły na przeprowadzenie sesji. Przeniesiono ją do sali BHP, a w jej czasie uwieczniono nawet tych, którzy do parlamentu się nie wybierali. Ponieważ część kandydatów na parlamentarzystów została sesją zaskoczona, wielu z nich na plakatach było w swetrach. Tych, którzy w Gdańsku nie byli lub w przypadku których uznano, że ich fotografie są nie najlepsze, sfotografowano ponownie 11 maja w Warszawie (do fotografów doszlusował Maciej Laprus). W przypadku kandydata z Zamościa Janusza Woźnicy, który na sesji z przyczyn ideowych nie był, działacze z tego miasta dokonali fotomontażu, uznając, że ich kandydat plakat z Wałęsą mieć musi. Plakatu nie miała też Gabriela Cwojdzińska z Koszalina, która przebywała wtedy na leczeniu we Włoszech, i Lech Kaczyński, choć zdjęcie – podczas pierwszej, kwietniowej sesji – mu zrobiono.

Wbrew powszechnej do dziś opinii posiadanie plakatu czy jego brak nie miały decydującego wpływu na wynik wyborczy. Trudno nawet powiedzieć, jak duże miał na niego przełożenie. Oczywiste jest jednak, że zwiększał rozpoznawalność kandydata, a tym samym szanse wyborcze. Nie był jednak gwarantem sukcesu, podobnie zresztą jak jego brak nie przesądzał o porażce. ***Sebastian Ligarski***

eprasa.pl 41c41ae693

Anna Radziwiłł podczas przemówienia

FOT. JERZY LECH SZÓSTKO, EDWARD KUCHARSKI/IPN

Kobiety na listach Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”

W Polsce kobiety w ławach poselskich i senatorskich zasiadały od 1918 r., to jest od momentu uzyskania czynnego i biernego prawa wyborczego, czymś naturalnym zatem była ich obecność na listach wyborczych Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w tzw. wyborach kontraktowych z czerwca 1989 r. Na solidarnościowych listach wyborczych znalazły się nazwiska 23 kobiet: 16 starało się o mandaty poselskie, siedem zaś o fotele senatorskie.

Wśród kandydatek do Sejmu były kobiety o niezwykle ciekawych życiorysach. Wystarczy wspomnieć o Marii Dmochowskiej (1930–2017), lekarce, uczestniczce powstania warszawskiego, Oldze Krzyżanowskiej (1929–2018), córce legendarnego dowódcy Armii Krajowej na Wileńszczyźnie Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”, harcerce Szarych Szeregów, czy Józefie Hennelowej (ur. 1925), pisarce, publicystce przez lata związanej z „Tygodnikiem Powszechnym”. W gronie tym były również: doświadczona posłanka zasiadająca w Sejmie PRL VIII kadencji (1980–1985), Hanna Suchocka (ur. 1946), od 1969 r. członkini Stronnictwa Demokratycznego, oraz biorąca udział w obradach Okrągłego Stołu Grażyna Staniszewska (ur. 1949).

Jedną z decyzji Okrągłego Stołu były także wolne wybory do Senatu w czerwcu 1989 r. W szranki wyborcze z list KO „S” stanęły: Anna Bogucka-Skowrońska (ur. 1942), Gabriela Cwojdzińska (ur. 1928), Alicja Grześkowiak (ur. 1941), Stefania Hejmanowska (1937–2014), Zofia Kuratowska (1931–1999), Anna Radziwiłł (1939–2009) i Dorota Simonides (ur. 1928). Stanowiły silną reprezentację. Anna Bogucka-Skowrońska była prawniczką, członkinią Stronnictwa Demokratycznego, współpracowniczką Komitetu Obrony Robotników, w stanie wojennym została internowana, po zwolnieniu zaś była obrońcą w wielu procesach politycznych. Prawniczką zaangażowaną w działalność Solidarności była też Alicja Grześkowiak. Wraz z Dorotą Simonides były one także członkiniami Stronnictwa Demokratycznego. Simonides z ramienia tej partii zasiadała nawet w latach 1980–1985 w Sejmie PRL. Podobnie jednak jak Suchocka głosowała przeciwko delegalizacji Solidarności w październiku 1982 r. Obie z SD odeszły w roku 1984, z kolei Grześkowiak w 1985.

Trzy spośród kandydatek do Senatu, a następnie jego członkiń, miały za sobą udział w obradach Okrągłego Stołu. Wśród nich była związana ze strukturami Solidarności w Gorzowie Wielkopolskim, internowana w stanie wojennym Stefania Hejmanowska. W czasie obrad Okrągłego Stołu brała udział w podzespole ekologicznym. Przy stole ds. zdrowia zasiadła natomiast Zofia Kuratowska – lekarka, uczestniczka powstania warszawskiego. Po wyborach została wicemarszałkiem Senatu. Trzecią uczestniczącą w obradach Okrągłego Stołu kandydatką do Senatu była znana Polakom autorka i współautorka podręczników do historii najnowszej Polski Anna Radziwiłł – nauczycielka, w latach 1978–1979 współpracowniczka Towarzystwa Kursów Naukowych, współautorka raportu o stanie polskiej edukacji dla Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Przy Okrągłym Stole zasiadała w podzespole ds. nauki, oświaty i postępu technicznego.

Nieco na tle tych kandydatek wyróżniała się pianistka Gabriela Cwojdzińska. Była ona współzałożycielką Klubu Inteligencji Katolickiej w Koszalinie, członkinią Zarządu Regionu Pobrzeże NSZZ „Solidarność”. W zdobyciu mandatu nie przeszkodził jej nawet brak zdjęcia z Lechem Wałęsą.

Kobiety na listach KO „S” z całą pewnością łączyły dobre wykształcenie, zaangażowanie społeczne, działalność w opozycji, w Solidarności. Nie wszystkie ubiegały się o reelekcję. Rekordzistką w tym gronie była Dorota Simonides, która w Senacie zasiadała do 2005 r. Te, które zrezygnowały z ponownego kandydowania, wróciły do pracy w swoich środowiskach.

Marta Marcinkiewicz

Posłanki wybrane z list KO „S”

- Adela Dankowska (ur. 1935)
- Maria Dmochowska, Józefa Hennelowa, Barbara Labuda (ur. 1946)
- Grażyna Langowska (1946–2009)
- Anna Urbanowicz (ur. 1942)
- Anna Knysok (ur. 1951)
- Stanisława Krauz (ur. 1947)
- Olga Krzyżanowska, Elżbieta Seferowicz (ur. 1935)
- Maria Sielicka-Gracka (ur. 1937)
- Grażyna Staniszewska, Maria Stępniak (ur. 1949)
- Maria Stolzman (1929–2010)
- Hanna Suchocka, Teresa Zalewska (ur. 1942)

eprasa.pl 41c41ae693

Spotkanie prezydenta USA George'a Busha i Lecha Wałęsy w Gdańsku pod pomnikiem Poległych Stoczniowców w dniu 11 lipca 1989 r. Z prawej strony: żona prezydenta USA Barbara Bush. Z lewej: żona przewodniczącego NSZZ „Solidarność" Danuta Wałęsa

FOT. IPN

Zwycięstwo, czyli kłopoty Białego Domu wobec wyników wyborów czerwcowych

W reakcji na wybory z 4 czerwca administracja George'a Busha oficjalnie cieszyła się z „historycznego kroku". Pod dyplomatycznymi frazesami kryła się jednak obawa, że zaskakujące wyniki mogą zburzyć kruchy kompromis zawarty przy Okrągłym Stole

24 maja ambasador USA w Warszawie John R. Davis, prognozując wyniki wyborów, stwierdzał, że zdecydowane zwycięstwo opozycji może wywołać „ostrą reakcję obronną reżimu". Obawiał się katastrofy, którą byłoby zniszczenie skompromitowanego wyborami reformistycznego obozu PZPR, co z kolei mogło doprowadzić do kolejnego „militarnego zamachu stanu", a nawet „wojny domowej". „Nie można całkowicie wykluczyć drastyczniejszych posunięć, w tym użycia wojska" – ostrzegał. Jego zdaniem opozycja nie była przygotowana do rządzenia, a komuniści do utraty władzy.

Ten czarny scenariusz uprawdopodobnił się po 4 czerwca. Waszyngton, obserwując klęskę rządu i miażdżące zwycięstwo opozycji, zaczął się obawiać, że Solidarność, upojona sukcesem, zapragnie przejąć całą władzę i złamać postanowienia Okrągłego Stołu. Dlatego w pierwszym odruchu administracja Busha nastawiła się na dyskretne wspieranie pomysłu „przepchnięcia" zagrożonej listy krajowej. Potem zdecydowała się na jeszcze bardziej zdumiewający krok – wsparcie kandydatury Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL, gdyż rozkład głosów w Sejmie i Senacie po wyborach wskazywał, że z uzyskaniem wymaganej większości może być kłopot. Wynikało to z tego, że w oczach Zachodu jego nominacja była gwarancją sukcesu procesu kontrolowanej demokratyzacji, wynegocjowanej przy Okrągłym Stole. 22 czerwca ambasador Davis spotkał się z liderami Solidarności, których nazwisk nie wymieniał w sporządzonym następnego dnia raporcie. Jak twierdził, przyszli oni do niego po radę, jak zachować się w sprawie elekcji Jaruzelskiego. Zdawali oni sobie sprawę, że i środowisko opozycyjne, i społeczeństwo są jej zdecydowanie przeciwne. Nie chcieli zatem oficjalnie popierać jego kandydatury. Zarazem jednak obawiali się – dziś wiemy, że niesłusznie – iż jego porażka może wywołać „autentyczną groźbę wojny domowej", która z kolei mogłaby doprowadzić do „niechętnej, ale brutalnej interwencji radzieckiej". Sytuacja była patowa. Jeśli wierzyć słowom Davisa, zaproponował on wtedy opozycjonistom zorganizowanie kontrolowanej absencji podczas głosowania, wpływającej na rozkład głosów. Na kartce z notatnika obliczał, ilu reprezentantów „drużyny Wałęsy" musiałoby nie przyjść, by strona komunistyczna mogła przeforsować kandydaturę Jaruzelskiego.

Jego wybór na prezydenta był też jednym z kluczowych wątków podejmowanych przez prezydenta Busha, który w dniach 9–11 lipca (tuż przed prezydenckim głosowaniem) gościł w Polsce. Podczas wizyty wielokrotnie jednoznacznie popierał on i chwalił Jaruzelskiego, a w długiej rozmowie w cztery oczy namawiał do kandydowania. Podczas wystąpienia na specjalnym wspólnym posiedzeniu Sejmu i Senatu amerykański przywódca – oprócz wyrazów podziwu dla historycznych wyborów z czerwca – mówił także o „odwadze" i „realizmie" komunistycznych przywódców, którzy „próbują naprawić błędy popełnione w przeszłości z uczciwością, kreatywnością i – tak – odwagą". Tydzień później Wojciech Jaruzelski został prezydentem – przewagą jednego głosu i tylko dzięki nieobecności lub niegłosowaniu grupki posłów wywodzących się z opozycji.

Zaskakująco ostrożna postawa Waszyngtonu wobec wyborów z 4 czerwca 1989 r. i ich wyników była świadectwem nowej polityki większości państw zachodnich wobec wydarzeń w PRL, rozwiniętej na kanwie oszałamiającego wyborczego sukcesu Solidarności. Najogólniej mówiąc, zachodni dyplomaci przyjęli wyniki wyborów z mieszanymi uczuciami. Sukces opozycji cieszył, ale jego rozmiary już martwiły. Dlatego w zachodniej dyplomacji coraz bardziej uwidaczniało się intrygujące przejście od strategii wyraźnego popierania Solidarności do nawoływania do umiaru, a nawet wspierania – w imię równowagi – strony rządowej. Strategię tę stosowano co najmniej do upadku muru berlińskiego w listopadzie 1989 r.

Patryk Pleskot

eprasa.pl 41c41ae693

Nadciąga kultura śmierci

Z Wesleyem J. Smithem, prawnikiem, jednym z czołowych działaczy amerykańskiego ruchu na rzecz ochrony życia
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Na naszych oczach rozgrywa się walka o życie Vincenta Lamberta, Francuza pozostającego od 11 lat w stanie ograniczonej świadomości. O co tu tak naprawdę chodzi?

WESLEY J. SMITH: To w rzeczywistości spór o istotę człowieczeństwa. Vincent Lambert jest uważany przez niektórych za nieosobę. Taki jest logiczny efekt rewolucji w bioetyce. Przypomnijmy tylko, że w przypadku Lamberta nie mówimy o uporczywej terapii, która nie przynosi żadnego skutku, tylko o karmieniu i pojeniu, co – wydawałoby się – jest po prostu najbardziej podstawowym prawem przysługującym każdemu człowiekowi. Ten człowiek oddycha samodzielnie.

Obecna debata nad życiem i śmiercią Lamberta to w zasadzie powtórka z historii Terri Schiavo, której ostatecznie odmówiono podawania wody i pokarmu. Schiavo została w „legalny" sposób zagłodzona na wniosek części jej rodziny, która uznała, że już czas, by odeszła.

Był pan mocno zaangażowany w tę sprawę po stronie rodziny Schiavo, która walczyła o jej życie.

Często reprezentowałem wówczas jej racje w mediach. Kiedyś byłem gościem debaty telewizyjnej, w której moim adwersarzem był pewien progresywny bioetyk. Krążyliśmy przez dobrych kilka minut debaty wokół kluczowego pytania. W końcu nie wytrzymałem i zapytałem tego naukowca wprost: „Czy uważa pan Terri Schiavo za istotę ludzką?". Odpowiedział: „Nie, ponieważ Schiavo utraciła właściwości, które posiadają ludzie". Zapytałem następnie, czy to w takim razie oznacza, że możemy zabrać jej organy do przeszczepienia. Odpowiedź była twierdząca...

W tej wizji świata Terri Schiavo i Vincent Lambert to przedmioty, a nie osoby. To ludzie, którym odmawia się człowieczeństwa, ponieważ nie spełniają kilku warunków z listy ułożonej arbitralnie przez drugiego człowieka. W ten sposób jedni ludzie oceniają innych ludzi pod kątem jakości ich życia. Jeżeli uznają, że ta jakość jest niska, to wykreślają chorych z listy istot ludzkich. Tak wygląda odczłowieczanie najbardziej bezbronnych spośród nas.

„Nieosoba" brzmi jak termin z filmu science fiction. Wydawałoby się, że to pomysł, który nie ma szans na społeczne poparcie.

Niestety, takie utylitarne myślenie robi coraz większą karierę w świecie zachodniej bioetyki. Tymczasem czym to się różni od rasizmu? Mój kraj doświadczył już tego potwornego dzielenia ludzi. Stawialiśmy naprzeciw siebie dwie osoby o różnym kolorze skóry i mówiliśmy, że jedna z nich jest warta więcej od drugiej. Czarni Amerykanie przez dziesięciolecia włożyli wiele wysiłku w to, by sprawić, że takie postawy są uważane za niedopuszczalne. I chwała im za to! Dzisiaj jednak ta dyskryminacja wraca w nieoczekiwany sposób.

Ludzie tacy jak Vincent Lambert, Terri Schiavo, Charlie Gard i Alfie Evans, czyli bezbronni, ciężko chorzy pacjenci, uważani są za mniej wartościowych od innych ludzi. Często ludzie, którzy uznają rasizm za zbrodnię, nie widzą niczego złego w umniejszaniu wartości życia osób w ciężkim stanie klinicznym. Dlatego musimy nieustannie powtarzać, że człowieczeństwo to obiektywna rzecz – jesteś człowiekiem, ponieważ nim jesteś. Kropka. Nie musisz spełniać

żadnej listy warunków, by być uznanym za człowieka. Uprzedmiotowienie ludzi otwiera bardzo niebezpieczne drogi.

Pańska książka o kulturze śmierci, która właśnie ukazała się w Polsce, po raz pierwszy została wydana w USA w 2001 r. Co się przez ten czas zmieniło w tej kwestii?

Kiedy w księgarniach ukazało się pierwsze wydanie mojej książki, te wszystkie potworności dopiero majaczyły na horyzoncie. Przykładowo nie wydarzyła się jeszcze precedensowa sprawa Terri Schiavo. Od tego czasu bioetyka, a za nią medycyna, zaczęła skręcać w bardzo niepokojącą stronę. Legalizowanie eutanazji, ocenianie chorych pod kątem jakości ich życia, co prowadzi do racjonowania opieki zdrowotnej, głodzenia ludzi przebywających w stanie ograniczonej świadomości... To wszystko stało się codziennością na Zachodzie i dlatego postanowiłem uaktualnić moją książkę.

eprasa.pl 41c41ae693

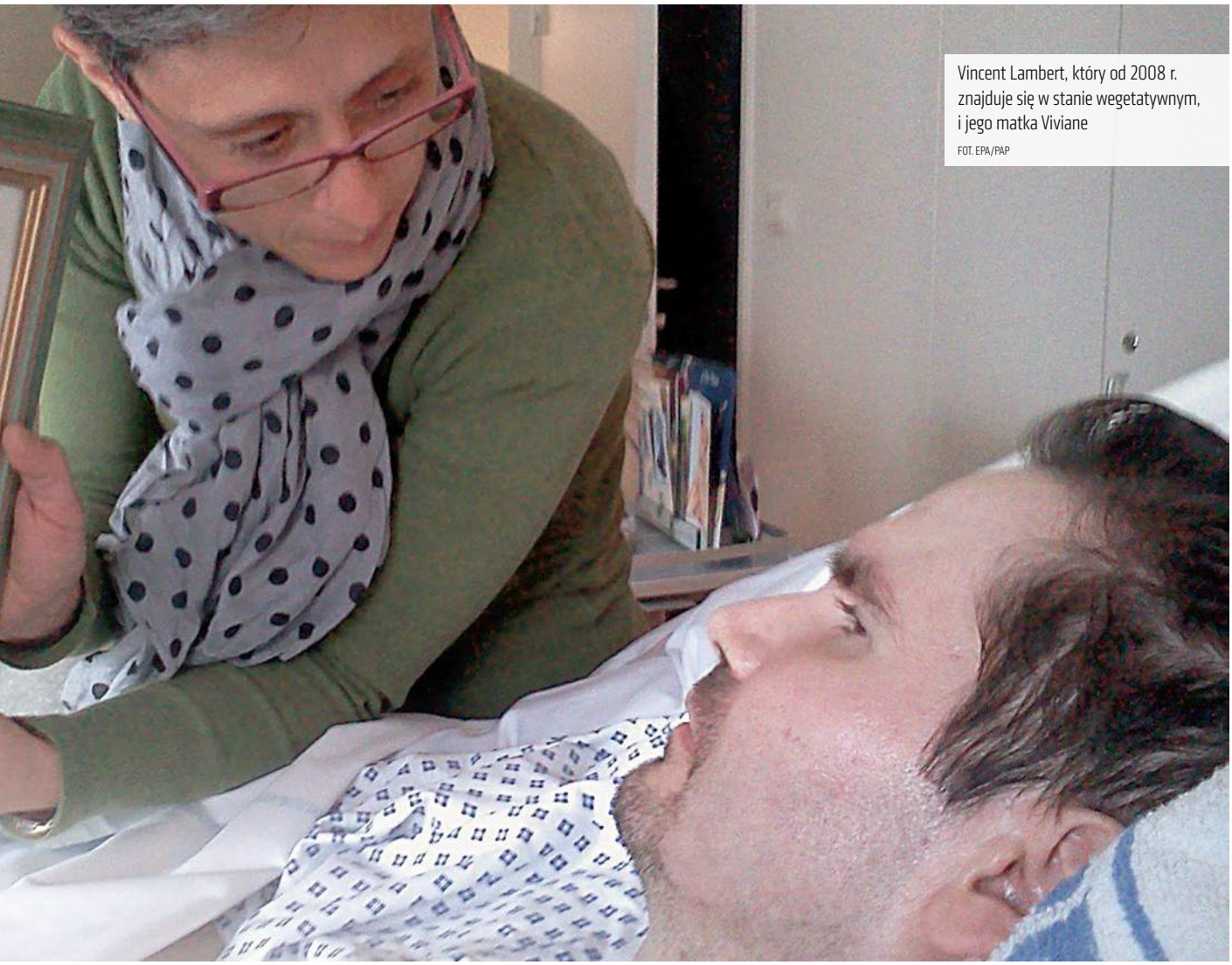

Vincent Lambert, który od 2008 r. znajduje się w stanie wegetatywnym, i jego matka Viviane

FOT. EPA/PAP

Cieszę się, że „Kultura śmierci” ukazała się też w Polsce, ponieważ zaręczam, że te tematy nie ominą również waszego społeczeństwa. Polska nie jest jeszcze pod wpływem myśli słynnego etyka Petera Singera, ale kiedy trzeba będzie się z tym skonfrontować, chciałbym, żeby Polacy byli na to gotowi.

Wstęp do polskiego wydania kończy pan słowami „Hurra dla Polski!”. Co takiego optymistycznego widzi pan w naszym społeczeństwie?

Po pierwsze darzę Polaków wielkim respektem za walkę z komunizmem. To naprawdę niesamowite, że przez tyle dziesięcioleci Polacy stawiali opór temu systemowi. W kontekście naszej rozmowy najważniejsze jest jednak dla mnie to, że w Polsce wciąż patrzy się na życie ludzkie w kategoriach świętości. Utylitarne pomysły dzielenia chorych ludzi nie mają jeszcze u was większego poparcia społecznego. W tym sensie polskie społeczeństwo prezentuje „zdrowe”, humanitarne podejście do ludzi chorych. Powtarzam jednak – to zagrożenie nadchodzi i musicie być gotowi na moment, gdy zacznie się u was poważna debata m.in. na temat legalizacji eutanazji.

Kto ma dziś w Ameryce przewagę? Ludzie tacy jak pan czy zwolennicy koncepcji Petera Singera?

W świecie bioetyki w USA na pewno więcej jest takich ludzi jak Peter Singer niż ja. Natomiast w świecie medycyny wciąż jest odwrotnie. Większość amerykańskich lekarzy i pielęgniarek nie dzieli ludzi na mniej i bardziej wartościowych. Problem jednak w tym, że tacy ludzie jak Peter Singer uczą naszych przyszłych lekarzy i pielęgniarki… Ta walka o postrzeganie istoty ludzkiej toczy się na naszych oczach. Nieustannie musimy zabiegać o to, by bioetyka i system ochrony zdrowia były oparte na prawach człowieka, a nie na utylitaryzmie.

Wydaje się, że w USA ruch pro-life radzi sobie dobrze. Czy to nie napawa optymizmem?

Szczególnie cieszy, że wielu młodych włączyło się w ostatnich latach do ruchu pro-life, co pokazują coroczne Marsze dla Życia w Waszyngtonie. Eutanazyjną falę zatrzymały w USA ruch pro-life i ruch obrony praw osób niepełnosprawnych. Co ciekawe, zazwyczaj aktywiści tego ostatniego mają poglądy lewicowe i wspierają wolny dostęp do aborcji. Jego członkowie zdali sobie jednak sprawę z tego, że to w nich w gruncie rzeczy uderza akcja legalizacji wspomaganego samobójstwa [tzn. z pomocą lekarza – przyp. red.] i eutanazji. W ten sposób w połowie lat 90. ubiegłego wieku powstała w USA szeroka koalicja proliferów, Kościoła katolickiego i ruchu obrony praw osób niepełnosprawnych,

eprasa.pl 41c41ae693

która po dziś dzień dość skutecznie zwalcza kulturę śmierci. Kiedy w 1994 r. zalegalizowano w Oregonie wspomagane samobójstwo, słyszeliśmy, że ta fala zaleje cały kraj i nie da się jej powstrzymać. Tymczasem minęło 25 lat i ta fala zalała siedem stanów (na 50) oraz stolicę. Bardzo żałuję tych siedmiu stanów i Waszyngtonu, ale wszędzie indziej udało nam się raz za razem powstrzymać ekspansję kultury śmierci.

Kto jest po drugiej stronie?

Ludzie, którzy mają potężne środki na realizację swojego programu. George Soros wydaje w USA olbrzymie środki na promowanie wspomaganego samobójstwa i eutanazji. Organizacja Compassion & Choices (Miłosierdzie i Wybory), która stanowi tu główną siłę lobbingową, otrzymuje od niego miliony dolarów. Dodajmy do tego mainstreamowe media, które mają alergię na słowo „pro-life” i automatycznie uznają, że przeciwnicy tego ruchu muszą mieć rację.

Amerykański ruch pro-life to ewenement. Tymczasem już za waszą północną granicą sytuacja wygląda kompletnie inaczej.

Niestety to prawda i dziś w Kanadzie wszystko jest już możliwe. Życie ludzkie stało się tam bardzo relatywną wartością. Lekarze są w Kanadzie zmuszani, by brać udział w zabijaniu ludzi. Niedawno sąd apelacyjny w prowincji Ontario wydał decyzję, zgodnie z którą każdy lekarz, który zostanie poproszony o dokonanie wspomaganego samobójstwa, aborcji lub przeprowadzenie operacji na osobie transseksualnej, musi albo to zrobić, albo znaleźć lekarza, który będzie skłonny tego dokonać. Poglądy religijne medyków nie mają tu żadnego znaczenia, mimo że w kanadyjskiej konstytucji zawarta została bardzo jasna ochrona sumienia. Te prawa są w Kanadzie nawet lepiej obwarowane niż w USA – przynajmniej na papierze. Sąd w Ontario stwierdził jednak, że pomimo iż takie regulacje gwałcą sumienie niektórych lekarzy, dostęp obywateli do wymienionych wyżej „usług” medycznych ma pierwszeństwo nad konstytucją...

Jak sędzia może wydać tak jawnie wadliwą decyzję?

Dzieje się tak w sytuacji, gdy priorytetem staje się wprowadzenie w życie pewnej ideologii. Sędzia ze wspomnianego sądu apelacyjnego stwierdził, że jeżeli dany lekarz nie chce brać udziału w takich praktykach, to zawsze może się wyspecjalizować na jakimś innym polu, np. może się wziąć do przeszczepiania… włosów. To oczywiście niszczy medycynę. W takim porządku prawnym ludzie wierzący nie będą chcieli mieć nic wspólnego z wieloma ważnymi gałęziami medycyny, np. z ginekologią, neurologią…

Dlatego wszyscy ci, dla których życie ludzkie to bezwzględna wartość, nie mogą przestać powtarzać tej podstawowej prawdy. W innym przypadku utylitaryzm kompletnie zatruje nasze społeczeństwa.

W książce podaje pan przykłady ludzi, którzy dzwonią do pana z prośbą o pomoc, ponieważ lekarze odmawiają leczenia ich bardzo ciężko chorych bliskich, kierując się właśnie utylitarnym podejściem do życia, oceniając ich pod kątem „jakości życia”. A potem okazuje się, że niektórzy z tych chorych, po podjęciu terapii, odzyskują zdrowie. Wygląda na to, że są dziś miejsca na świecie, gdzie ludzie muszą mieć siłę nie tylko do tego, by się zmagać z chorobą swoich bliskich, lecz także do walki z lekarzami...

Tak, czasem trzeba iść niemal na wojnę z lekarzami-utylitarystami, grozić im pozwami sądowymi, by bronić naszych najbliższych. To oczywiście zabija zaufanie do lekarzy jako społeczności. Człowiekiem, który bardzo wiele wie na temat tej walki, jest brat Terri Schiavo. Mimo pogróżek wciąż angażuje się w powstrzymywanie kultury śmierci. Kiedy rozgrywała się bitwa o życie Charliego Garda, jego rodzice poprosili o pomoc brata Terri, a on przyleciał do Wielkiej Brytanii i stanął przy nich. To było dla nich bezcenne wsparcie ze strony kogoś, kto doskonale rozumiał ich dramat.

Zanim wziąłem do ręki pańską książkę, myślałem, że przynajmniej transplantologia jest poza tą wojną. Tymczasem okazuje się, że to nie do końca prawda. Jakie są tu największe zagrożenia?

Umowa społeczna zakłada, że organy można pobierać jedynie od zmarłych. Mózg musi umrzeć, by można było pobrać organy. Kościół katolicki wspiera ten pogląd. Teraz jednak myślący utylitarnie bioetycy nadwyrężają zaufanie do całej transplantologii, ponieważ dyskutują nad wykorzystywaniem organów ludzi, których mózgi nie obumarły... Takie są logiczne efekty używania pojęcia „nieosoba” w stosunku do chorych, u których wyłączona jest świadomość.

Jeżeli chodzi o zaufanie społeczne do transplantologii, to jest ono szerokie, ale bardzo płytkie. Jeżeli ludzie nabiorą podejrzeń, że lekarze patrzą na ich ciężko chorych bliskich jako na farmę organów, wówczas może to załamać wiarę w tę niezwykle ważną gałąź medycyny.

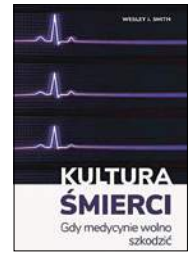

WESLEY J. SMITH „KULTURA ŚMIERCI. GDY MEDYCYNIE WOLNO SZKODZIĆ” PTODM 2019

Jak sam pan podkreśla, to wciąż jednak tylko dyskusja – nikt nie próbuje wprowadzać tego w życie.

Cała rewolucja w bioetyce zaczęła się od dyskusji… Niestety już teraz mamy w transplantologii do czynienia z bardzo poważnymi nadużyciami. Nie wszyscy wiedzą, że w Belgii i Holandii eutanazja połączona jest z pobieraniem organów. Wiele osób, które decydują się na zakończenie życia, to ludzie cierpiący na choroby psychiczne. Prawo w tych krajach dopuszcza, by osoba zdrowa fizycznie, ale z zaburzeniami psychicznymi, mogła w legalny sposób, z pomocą państwa, popełnić samobójstwo.

Używanie argumentu, że ich śmierć uratuje życie innym ludziom, może tym bardziej popychać takie osoby do odbierania sobie życia. W takim przypadku ludzie chorzy psychicznie mogą dostrzegać sens we własnej śmierci. To jedna z potwornych konsekwencji zaprowadzania kultury śmierci.

Dlaczego przekonuje pan, że legalizacja eutanazji zawsze wywiera niszczący wpływ na system opieki zdrowotnej? Co śmierć człowieka, który boi się bólu lub demencji, może mieć wspólnego z innymi gałęziami tego systemu?

Eutanazja zabija w społeczeństwie wartość życia. Oswajamy się z myślą, że nie zawsze trzeba ratować ludzi. Pamiętajmy też, że w zabijaniu chorych biorą udział inni ludzie. Jakie spustoszenie dokonuje to w ich wrażliwości na życie… Ludzi pcha do samobójstwa głównie strach przed bezradnością, bólem, utratą godności. Zgadzając się na eutanazję, potwierdzamy tylko te najgorsze obawy. Naszymi odpowiedziami powinny być: miłość, maksymalna troska i towarzyszenie ciężko chorym, a nie zabijanie ich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wesley J. Smith *– prawnik, amerykański działacz pro-life, autor książki „Kultura śmierci. Gdy medycynie wolno szkodzić”.*

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. ADOBE STOCK

W NIEMCZECH BEZ JARMUŁEK

Pełnomocnik niemieckiego rządu ds. antysemityzmu ostrzegł publicznie mieszkających w Niemczech Żydów przed noszeniem tradycyjnych nakryć głowy. – Nie mogę doradzać Żydom, by nosili jarmułki wszędzie, przez cały czas w Niemczech – stwierdził Felix Klein w wywiadzie dla niemieckiej gazety. A podobno największy antysemityzm jest nad Wisłą, nie nad Łabą...

SZYBSZE ROZWODY W IRLANDII

Liberalizacja Irlandii wciąż postępuje. Mieszkańcy tego kraju zgodzili się jakiś czas temu na legalizację małżeństw jednopłciowych, a potem złagodzili przepisy dotyczące aborcji. Teraz opowiedzieli się za szybszym rozcinaniem więzów małżeństwa – ponad 82 proc. biorących udział w referendum głosowało za zniesieniem wymogu czteroletniej separacji potrzebnej do orzeczenia o rozwodzie za porozumieniem stron.

ZABICIE PSA W TESTAMENCIE

W amerykańskim stanie Wirginia przez kilka tygodni pracownicy schroniska walczyli o ocalenie psa. Właścicielka suczki Emmy, mieszańca z rasą shih-tzu, zmarła, a jej ostatnim życzeniem (zapisanym w testamencie) było pochowanie wraz z nią ulubionego czworonoga. Emmy nie udało się uratować. Zgodnie z wolą pani zdrowy pies został zabity, skremowany i pochowany z właścicielką. Stanowi prawodawcy rozważają rozpoczęcie prac nad zabronieniem takich praktyk.

SAMOBÓJ OD SĘDZIEGO

Piłkarze Saucillo – trzecioligowego klubu z Hiszpanii – jesienią ubiegłego roku rozegrali mecz z Casablancą. Wygrali go 2:1, ale po spotkaniu arbiter popełnił błąd i w protokole pomeczowym wpisał wynik 1:1. Saucillo interweniowało – sędzia przyznał się do pomyłki. Jednak hiszpańska federacja zignorowała te wnioski i ostatecznie wynik w protokole nie został poprawiony. Teraz, kiedy rozgrywki się zakończyły, okazało się, że prawidłowo wpisany wynik meczu ocaliłby Saucillo przed spadkiem z ligi.

KOLEJKA W STREFIE ŚMIERCI

Co najmniej trzy osoby zmarły niedawno w okolicach szczytu Mount Everest dlatego, że nabawiły się choroby wysokogórskiej i nie mogły przedostać się niżej – utknęły w „korku". Jak pokazał na zdjęciach jeden z himalaistów, w tzw. strefie śmierci na wejście na najwyższą górę świata czekało nawet 300 turystów. W sezonie wiosennym życie straciło już w sumie 13 wspinaczy. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Cena płacy minimalnej

Ledwo podliczono głosy w wyborach do PE, a już pojawiła się informacja, że rząd proponuje, by w 2020 r. obowiązywały podwyższone kolejny już raz minimalne wynagrodzenie i stawka godzinowa. To pierwsze miałoby wzrosnąć o 200 zł do 2450 zł, a to drugie – o 2,30 zł do 16 zł.

Wziąwszy pod uwagę, że PiS posługiwał się programami socjalnymi jak kolorową ulotką wyborczą, chciałoby się spytać, czy minister Rafalska zaspała i zapomniała ogłosić radosną nowinę przed 26 maja, czy może odwrotnie – pospieszyła się, bo lepiej było o nowych stawkach powiedzieć bliżej wyborów jesiennych. Przede wszystkim jednak każdy, kto ma jako takie pojęcie o gospodarce, rozumie, że będzie to kolejne obciążenie, nie mniejsze niż rozdęty socjal. Wzrost stawek minimalnych to dociśnięcie przedsiębiorców, także samozatrudnionych, bo oznacza nie tylko konieczność wypłacania większych pieniędzy, lecz także wzrost składek ZUS. Część przedsiębiorców nie wytrzyma i zamknie działalność.

Inni będą musieli podnieść ceny, czemu sprzyja także sam wzrost wynagrodzeń, a to z kolei oznacza wzrost inflacji, już i tak napędzanej choćby opłatą emisyjną (kolejny podatek autorstwa PiS), wliczaną w cenę paliwa. Inflacja zaś z kolei zjada wyższe wynagrodzenia.

Pracodawcy RP wskazują, i słusznie, że podnoszenie stawek minimalnych powinno wynikać ze wzrostu innych wskaźników, takich jak efektywność pracy, a nie z arbitralnej, politycznej decyzji. Ale czy rząd posłucha?

Można odnieść wrażenie, że wydatki i obciążenia, które wymyśla PiS, są jak węgiel dosypywany przez maszynistę do paleniska parowozu. Maszyna gna coraz prędzej i tylko kwestią czasu jest, kiedy albo wyleci z torów na zakręcie, albo eksploduje kocioł. Tak czy owak, skutki będą tragiczne. ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

Tomasz Wróblewski

Portfel przy urnie

Gdyby ekonomia decydowała o wyniku wyborczym, Trump miałby już zapewnioną drugą kadencję

Los nie uśmiecha się dziś do demokratów. Pół roku przed wyborami prezydenckimi i do Kongresu Donald Trump jest wolny od zarzutów o spiskowanie z Putinem, a teraz, bodaj nie największy cios – ekonomia. Rok do roku amerykańska gospodarka rośnie w tempie 3,2 proc. PKB i zamiast zapowiadanych oznak recesji wygląda na to, że w kolejnych miesiącach dynamika będzie biła historyczne rekordy. Bezrobocie osiągnęło już najniższy poziom od 50 lat (3,8 proc.), a z najnowszego sondażu CNN wynika, że blisko 70 proc. Amerykanów uważa, iż gospodarka jest w dobrej kondycji. Pierwszy raz od 2000 r. amerykański prezydent może pochwalić się takim uznaniem.

Nawet jeżeli tempo wzrostu spowolni, co konsekwentnie zapowiada opozycja, to i tak zatrzyma się pewnie na poziomie 2 proc., co dla demokratów będzie o 2 proc. za dużo, żeby móc prezydentowi wytknąć jego „nieodpowiedzialne" cięcia podatków. To, co jednak najbardziej boli demokratów, to szybko rosnące pensje. Średnia płaca w Ameryce wzrośnie w tym roku o 3,1 proc. Dla porównania – średni wzrost wynagrodzeń w UE to 2,6 proc. (W Polsce – 7 proc.).

Jeden z powodów, dla których większość ekonomistów optymistycznie patrzy na dalszy wzrost płac, to najszybciej od dziewięciu lat rosnąca wydajność amerykańskich pracowników (3,6 proc. wzrostu wydajności). Dokładnie trzy razy szybciej niż w UE – 1,2 proc. (w Polsce – 5 proc.).

NIŻSZE PODATKI OŻYWIAJĄ

Oczywiście demokratom zostaje jeszcze klasyczna lewicowa linia kontrataku, czyli przypominanie o nierównościach społecznych i nierównomiernym podziale bogactwa. Stara śpiewka – „ceny mieszkań w górę, benzyna, leki, ubezpieczenia medyczne – wszystko w górę". Liczby dla demokratów są jednak bezlitosne. Płace rosną szybciej niż gospodarka, przy stosunkowo niewielkiej inflacji. Na każde wolne miejsce pracy przypada dziś zaledwie 0,8 bezrobotnego, w tym oczywiście są osoby, które nie szukają pracy lub pozostają na czyimś utrzymaniu. To jest najlepszy wynik, od kiedy zaczęto prowadzić podobne badania. Na rynku czeka na pracownika 7,5 mln miejsc pracy. Praktycznie każdy, kto chce pracować, znajdzie zatrudnienie. Tylko w tym roku liczba ofert pracy wzrosła o 27 proc.

Biały Dom z dumą ogłosił ostatnio, że wolnościowa polityka – niższych podatków, organicznych regulacji – stworzyła nowe możliwości dla kobiet. Okazuje się, że w ciągu ostatnich dwóch lat rekordowa liczba kobiet podjęła pracę w zawodach uważanych za zmaskulinizowane. Od inżynierii budowlanej do operatorów maszyn wielkoprzemysłowych.

Jakby tych kłopotów demokratom było mało, to okazuje się, że amerykańskie stany tradycyjnie głosujące na lewicę po latach zapaści cieszą się dziś dawno tu niewidzianym ożywieniem gospodarczym.

Kalifornia, Illinois, Nowy Jork, Connecticut odnotowały wzrost przychodów z podatków. Przychody do stanowego budżetu Kalifornii, przez kilka ostatnich lat balansującej na krawędzi bankructwa, wzrosły o blisko 30 proc. rok do roku, po raz pierwszy zapewniając nadwyżkę budżetową (2,8 proc.). Czyli sprawdziła się stara Miltonowska zasada – chcesz więcej zgarniać w podatkach, obniż podatki.

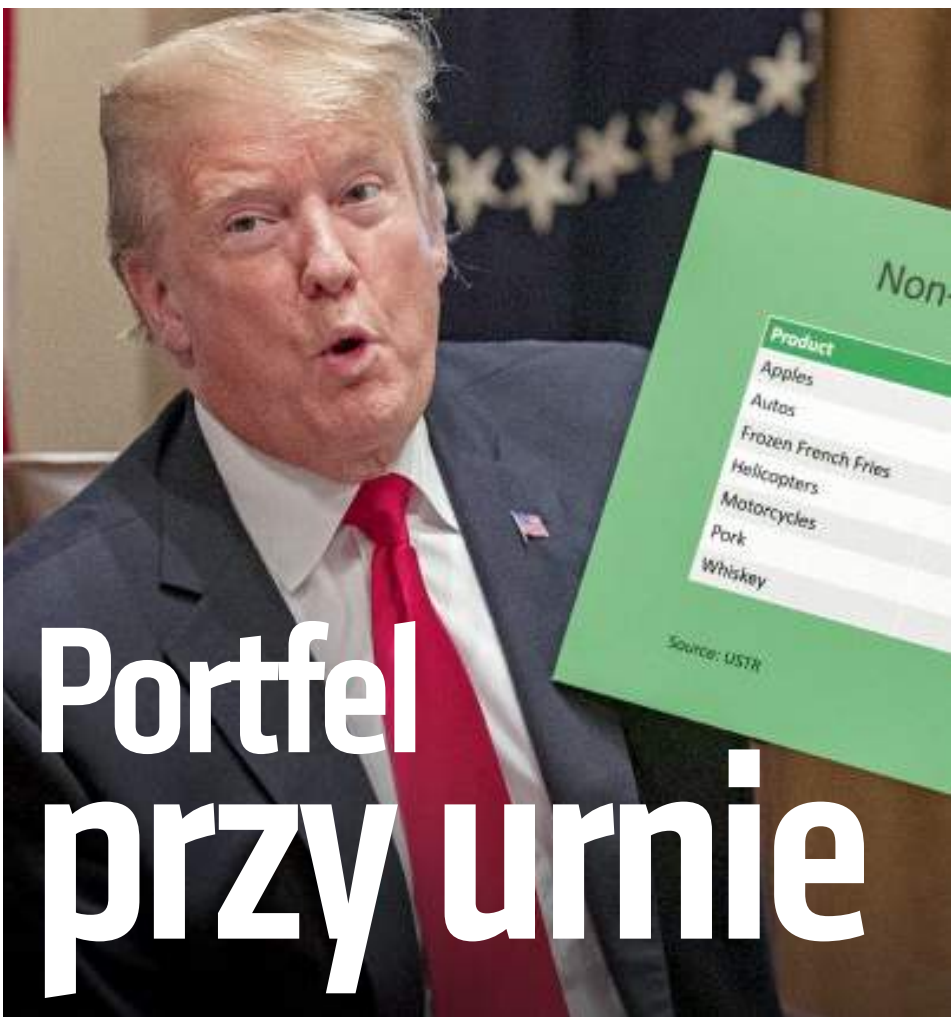

Zmianę widać też po narracji najważniejszych opozycyjnych mediów. „The New York Times", CNN i ci sami eksperci, którzy straszyli, że Trump wpędzi Amerykę w recesję, dziś twierdzą, że wzrost jest tymczasowy, gospodarka

eprasa.pl 41c41ae693

lada chwila zwolni i pogrąży Amerykę w recesji. To oczywiście nie pierwszy i nie ostatni raz, kiedy ekonomiści zaniżali prognozy wzrostu gospodarczego. Rzadko jednak dysonans jest tak jaskrawy. Od pierwszego dnia rządów Trumpa ekonomiści i lewicowe media zapowiadali rychłą katastrofę, a prezydent konsekwentnie obiecywał historyczną poprawę sytuacji gospodarczej. Dopóki wszystko sprowadzało się do zaufania, dopóty Trump przegrywał. Od półtora roku jednak prognozy lewicowych

FOT. ALEX EDELMAN/GETTY IMAGES

ekonomistów wciąż są katastroficzne, a gospodarka kwitnie.

WSZYSTKIE STRACHY

Warto przypomnieć kilka kasandrycznych prognoz, które jeszcze pół roku temu drukowane były na pierwszych stronach gazet. Główny ekonomista Obamy Lee Branstetter wyliczał, że osiągnięcie trzyprocentowego wzrostu gospodarczego jest „matematycznie niemożliwe". Były sekretarz skarbu Lawrence Summers publicznie wyśmiewał zapowiedzi takiego wzrostu gospodarczego jako typowe Trumpowskie fantasmagorie.

Niespełna miesiąc przed ogłoszeniem najwyższego od lat wzrostu gospodarczego były doradca Obamy Ben Rhodes wydał książkę „Świat jest, jaki jest" („The World as It Is"). Przytacza w niej słowa byłego prezydenta wypowiedziane dzień po ostatnich wyborach: „I pomyśleć, że ja jemu tak wyszykowałem gospodarkę". Zdanie podbiło Internet. Lewicowe media dowodziły, że sukces Trumpa byłby niemożliwy bez tego, co wcześniej zrobił Obama.

Trudno tu jednak dopatrzyć się jakiejkolwiek kontynuacji. Trump odkręcił wszystkie reformy i regulacje Obamy. Niemal każda ustawa wprowadzona przez demokratów została wycofana. Trump nawiązuje do polityki Reagana, a Obama, jeżeli gdzieś szukał inspiracji, to raczej w socjalistycznych europejskich rządach.

Wybitny amerykański ekonomista Arthur Laffer na pytanie o wkład Obamy w sukces Trumpa odpowiedział: „Powtórzyłem dziś Trumpowi to, co kiedyś powiedziałem Reaganowi: Został pan pobłogosławiony przez niekompetentną politykę ekonomiczną swoich poprzedników".

Część lewicowych publicystów racjonalizowała sukces gospodarczy Trumpa efektem globalizacji, dobrymi wynikami innych państw. Teza ta może nawet byłaby do obronienia, gdyby nie to, że kiedy Paul Krugman – noblista i felietonista „New York Timesa" – pisał te słowa, amerykańska gospodarka rosła w tempie 4 proc., a unijna – 0,4 proc.

TEORIE KONTRA FAKTY

Tam, gdzie polityka ustępuje jednak twardym danym ekonomicznym, nawet lewicowi uczeni stopniowo zmieniają poglądy. Profesor Alan Blinder z Princeton University, jeszcze niedawno ostry krytyk reform administracji podatkowej i regulacyjnej, niespodziewanie wystąpił z obroną cięć podatkowych Trumpa. Przyznaje, że się mylił. „Cięcia podatkowe nie wywołały nadmiernej inflacji, pobudziły natomiast wzrost gospodarczy" – uznał. Przez osiem lat rządów Obamy gospodarka rosła średnio na poziomie 1,9 proc., przez niespełna cztery lata Trumpa rosła średnio 2,8 proc. Trump, o czym mówił Laffer, przyjął gospodarkę w stanie skrajnej stagnacji. I to nie była kwestia ostatnich ośmiu lat rządów Obamy. Prawie od 20 lat siła nabywcza klasy średniej i klasy robotniczej stała w miejscu, ubywało miejsc pracy, a indywidualny wzrost PKB spadł do 1 proc. Dzisiejsze tempo rozwoju gospodarczego Ameryki może być porównane tylko do czasów najwyższej koniunktury wojennej. Bezrobocie jest na poziomie tego z czasów wojny wietnamskiej z 1969 r. czy apogeum wojny w Wietnamie – 1945 r. – zaraz po II wojnie światowej.

Rzecz, która dziś absorbuje światowe media wrogie Trumpowi, czyli wojownicza polityka handlowa, pozostaje na marginesie rozgrywek wyborczych. To, co w Europie nazywane jest „amerykańskim rozbójnictwem", łamaniem dotychczasowych umów i paktów handlowych, w Ameryce jest oceniane jako konieczność dziejowa, obrona przed chińską ekspansją. Karne cła nakładane na chińskie towary cieszą się poparciem zarówno republikanów, jak i demokratów. Podobnie jest z na nowo podpisaną umową NAFTA – umowy USA-Meksyk-Kanada zapewniły większy dostęp do rynku rolnego, ale też usług cyfrowych, obrotu własnościami intelektualnymi.

Twarda polityka Trumpa w Ameryce Południowej doprowadziła do otwarcia, po 27 latach przerwy, argentyńskiego rynku wieprzowiny na amerykański eksport. Nowa umowa handlowa z Japonią korzystna dla amerykańskich producentów ma być podpisana do końca roku. Równolegle trwają ciche negocjacje z UE w sprawie ceł na samochody, usługi elektroniczne i produkty rolne. Tutaj również spodziewany jest postęp jeszcze przed wyborami.

Gdyby ekonomia decydowała o ostatecznym wyniku wyborczym, to Trump miałby już w ręku wszystkie puzzle konieczne do pozostania w Białym Domu na drugą kadencję. Rzecz jest jednak bardziej złożona i poparcie dla Trumpa oscyluje dziś w okolicach 40–45 proc. Daleko mu do poparcia na poziomie 70 proc., którym cieszył się po pierwszej kadencji Reagan. Jeżeli jednak historia jest jakimś punktem odniesienia, to Amerykanie w przeważającej większości głosują portfelami, a wypchany dziś pieniędzmi nie zostawia im wiele miejsca na wątpliwości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

Partner Sekcji Bank Pekao

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Taxi 3.0

Jacek Przybylski

Zakończenie prawnej epopei związanej z uporządkowaniem rynku przewozów zwiększa możliwość legalnej konkurencji i daje klientom wolność wyboru. To tylko początek rewolucji. Wkrótce mamy zamawiać taksówki autonomiczne, a potem nawet latające

– Wolny?
– Wolny. No gdzie...
– Na Słoneczną 5.
– Nie pytam, gdzie mam jechać, tylko gdzie pan się ładuje?
– A powiedział pan, że jest pan wolny?
– A jak! Wolna sobota to i wolny jestem. Nie robię.

Dialog z filmu Barei świetnie oddawał podejście do klienta kierowców taksówek z czasów PRL. Na szczęście u wielu przedstawicieli tego zawodu stosunek do pasażera mocno się poprawił. Część środowiska długo nie mogła jednak zrozumieć, że klient powinien mieć prawo wyboru.

Mimo protestów od 1 stycznia 2020 r. ma zacząć obowiązywać nowe prawo regulujące działalność taksówek w Polsce. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", przegłosowana przez Sejm nowelizacja ustawy o transporcie drogowym czekała jeszcze na podpis prezydenta oraz na publikację w „Dzienniku Ustaw".

Przygotowana przez Ministerstwo Infrastruktury nowela ustawy o transporcie drogowym – popularnie nazywana lex Uber – budziła kontrowersje na długo, zanim trafiła pod obrady posłów i senatorów. Według strajkujących taksówkarzy – którzy o sympatię ludzi nieudolnie walczyli, blokując im drogę do domu i pracy – nowe prawo „zdemoluje rynek taxi w Polsce" i doprowadzi do „depolonizacji branży". Skąd ten strach? Nowelizacja wprowadza kilka kluczowych zmian, które mają zalegalizować wolność wyboru dla pasażerów, zlikwidować szarą strefę i stworzyć jednakowe wymogi oraz warunki do równej konkurencji dla podmiotów prowadzących działalność gospodarczą związaną z pośrednictwem przy przewozie osób samochodami osobowymi i taksówkami (czyli zalegalizować konkurencję dla taksówkarzy w postaci kierowców współpracujących z takimi firmami jak Uber czy Bolt).

POŻEGNANIE Z TAKSOMETREM

Przyjęta przez parlament ustawa przewiduje m.in. obniżenie opłat za uzyskanie licencji na samochód osobowy oraz pojazd samochodowy przeznaczony do przewozu od siedmiu do dziewięciu osób łącznie z kierowcą do poziomu opłat za udzielenie licencji na wykonywanie przewozu osób taksówką w Warszawie.

Rewolucyjną zmianą jest możliwość korzystania przez kierowców świadczą-

eprasa.pl 41c41ae693

cych usługi przewozu osób z aplikacji na urządzeniach mobilnych, które mogą być stosowane jako alternatywa dla kasy fiskalnej i taksometru. Politycy znieśli też obowiązek szkolenia i egzaminy z topografii dla kierowców. Zmiany ułatwiają więc dostęp do zawodu i znoszą monopol taksówkarzy.

A jest się o co bić. Według raportu opublikowanego przez Polską Sieć Taxi 19 123 rynek taksówek w Polsce należy do jednych z najszybciej rozwijających się w Europie z rocznym wzrostem wynoszącym nawet 30 proc. Nowi konkurenci mogą się zaś skupić tylko na wybranych miastach, bo – zgodnie z przywołanym raportem – aż 80 proc. wszystkich kursów jest wykonywane jedynie w 20 największych miastach w kraju.

Nowe prawo utrudnia również ewentualne próby oszukiwania pasażerów. Gdy zatwierdzona przez urzędników aplikacja wyznaczy trasę, „przewodnicy", którzy obecnie wyruszają w kurs po mieście i z punktu A do punktu B przemieszczają się najdłuższą zamiast najkrótszą drogą, będą musieli porzucić nieuczciwe praktyki. Nie będzie też mogło być mowy o zmianie strefy na droższą czy też mechanicznym „podkręcaniu" taksometrów (podczas jednej z kontroli w Warszawie w 2012 r. w aż sześciu na 11 wyrywkowo sprawdzanych pojazdach znaleziono specjalne urządzenia do „nabijania" dodatkowych przejechanych kilometrów, a co za tym idzie – wyższych opłat za przejazd; również podczas akcji „Taksometr" w 2019 r. straż miejska w ponad połowie skontrolowanych pojazdów stwierdziła naruszanie przepisów). Z różnych sondaży wynika, że wielu Polaków doświadczyło próby zawyżenia rachunku za przejazd.

Stosowanie aplikacji stanie się możliwe dopiero wówczas, gdy ministrowie ds. informatyzacji, transportu i finansów porozumieją się w kwestii minimalnych wymagań dla aplikacji mobilnych oraz sposobu zabezpieczenia gromadzonych danych. Uzgodnione warunki muszą zaś potem zostać opublikowane w rozporządzeniu. Na szczęście w XXI w. najkrótszą trasę dojazdu można od kilku lat sprawdzić w praktycznie każdym smartfonie, więc nielicznym nieuczciwym „złotówom" i tak trudniej jest kręcić zbędne kilometry.

Wielkie zmiany czekają też korporacje. Chociaż wiele dostosowało się do nowych realiów, wprowadziło możliwość zamawiania taksówek poprzez aplikacje i oceny kierowców przez pasażerów, to niektóre wciąż działają tak, jakby nie wyjechały wciąż z XX w.: kierowców zmuszają do płacenia wysokiej „bazy", a klientów na infolinii traktują tak, jakby po miastach wciąż jeździły wyłącznie taksówki z PRL: najpierw pięć minut czekania, aż ktoś łaskawie odbierze telefon, a potem 30 minut na przyjazd taksówki. Przed 1989 r. uprzywilejowaną pozycję taksówkarza można było zrozumieć: było ich niewielu, a klienci stali w długich kolejkach na postojach.

Dzisiaj sytuacja odwróciła się o 180 stopni i wróciła do stanu sprzed II wojny światowej – gdy automobile wyparły dorożki, samochodów było więcej niż klientów. Z raportów ekonomistów wynika zaś, że w niedalekiej przyszłości wielu z nich będzie zaś musiało poszukać sobie nowego zajęcia. W przeszłości, gdy automobile zastępowały konie, dawni dorożkarze mogli bowiem stać się taksówkarzami. W ciągu najbliższych dziesięciu czy kilkunastu lat zawód taksówkarza może już zniknąć, podobnie jak kompletnie zapomnieliśmy już o telegrafistkach czy telefonistkach.

ROBOTAKSÓWKI

Motoryzacja autonomiczna rozwija się w niebywałym tempie. Już w przyszłym roku na drogach Unii Europejskiej mogą się pojawić auta dostosowane do poziomów trzeciego i czwartego (poziom czwarty to jazda w pełni autonomiczna). Testy idą pełną parą, ponieważ analitycy szacują, że rynek pojazdów autonomicznych już w 2020 r. wart będzie ok. 800 mld dol. (według prognoz Intela).

20 mln dol.

TYLE MIESIĘCZNIE WYDAWAŁ UBER NA ROZWÓJ SAMOCHODÓW AUTONOMICZNYCH

Wiele rozwiązań jest już dostępnych. Mercedes w Polsce sprzedaje modele, które po włączeniu aktywnego tempomatu na autostradzie nie tylko dostosowują prędkość do odległości od samochodu poprzedzającego, lecz także na polecenie kierowcy (poprzez włączenie kierunkowskazu) potrafią samodzielnie zmienić pas na lewy i wyprzedzić inne auto, a następnie grzecznie wrócić na prawy pas. Nissan z kolei zaprezentował w maju technologię, która już w tym roku umożliwi jazdę po autostradzie bez trzymania rąk na kierownicy – wystarczy jedynie wprowadzić w pokładowej nawigacji, gdzie chcemy jechać, a samochód nie tylko sam przejmie stery na trasie, lecz także samodzielnie skręci na właściwym zjeździe. Autonomiczne auta coraz lepiej radzą sobie również na zatłoczonych ulicach miast: jeżdżą płynniej niż ludzie i bezpieczniej (według badań Intela ich wprowadzenie w ciągu 10 lat uratuje życie ponad pół miliona ludzi). Mniejsza liczba drogowych wypadków i kolizji tylko w latach 2035–2045 ma zaś pozwolić zaoszczędzić światowym gospodarkom ponad 230 mld (!) dol.

Jeszcze za naszego życia większość zawodowych kierowców – od taksówkarzy do kierowców ciężarówek – może stracić pracę. Niemożliwe? A jednak. Wystarczy spojrzeć na pociągi, które jeżdżą bez maszynistów. I dotyczy to już nie tylko kolejek na lotnisku, gdzie do pokonania są stosunkowo krótkie dystanse, lecz także – w wielu zachodnich miastach – np. pociągów metra.

Pierwsze samoobsługowe taksówki już jeżdżą. Uber – który przed majowym debiutem giełdowym musiał upublicznić dokumenty dotyczące swej działalności – już w 2016 r. szacował, że do 2022 r. będzie dysponował 75 tys. samojezdnych taksówek w 13 miastach świata. Aby osiągnąć ten cel, spółka wydawała na rozwój technologii autonomicznej jazdy 20 mln dol. miesięcznie. Tragiczny wypadek w Arizonie w marcu 2018 r. – gdy autonomiczny SUV marki Volvo XC90 Ubera śmiertelnie potrącił pieszą – zapewne opóźni realizację ambitnych planów. Technologiczny gigant dopiero stosunkowo niedawno wznowił bowiem jazdy testowe samochodów jeżdżących bez pomocy kierowców.

Bezzałogowe samochody na ulicach miast z powodzeniem testuje też firma Waymo. Siostrzana spółka Google w grudniu 2018 r. uruchomiła w USA usługę Waymo One, czyli pierwsze autonomiczne taksówki. Minivany Chrysler Pacific uzbrojone w dziesiątki czujników, kamer i radarów przewożą pasażerów w czterech miastach w Arizonie. W sumie autonomiczne taksówki poruszają się po obszarze ok. 254 km kw. Podróż robotaksówką – na razie dostępna tylko dla wybranej grupy testujących – kosztuje mniej więcej tyle, ile jazda samochodem z kierowcami współpracującymi z takimi firmami jak Uber czy Lyft. Na razie nie może być taniej, ponieważ na wszelki wypadek za kierownicą i tak siedzą ludzie, którzy

eprasa.pl 41c41ae693

w razie potrzeby mogą natychmiast przejąć kontrolę nad pojazdem.

Konkurencję dla taksówek mogą też stanowić wypożyczalnie aut na minuty. Carsharing staje się w Polsce coraz popularniejszy i według prognoz może rosnąć nawet o 200 proc. rocznie. Z raportu Navigant Research wynika zaś, że do 2024 r. wartość światowego rynku carsharingu wyniesie 34,6 mld dol.

PRAWDZIWA REWOLUCJA

A gdy już przyzwyczaimy się do samodzielnie jeżdżących taksówek, polscy prawodawcy i przedsiębiorcy powinni zacząć przygotowywać się na prawdziwą rewolucję, czyli nadejście latających taksówek, które w niedalekiej przyszłości mają zacząć uzupełniać flotę robosamochodów.

W bliskiej przyszłości w największych miastach świata pasażerów transportować mają taksówki latające FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nowe dronotaksówki mają rozwiązać problemy z korkami, nie zatruwać środowiska i być cichsze nie tylko od tradycyjnych śmigłowców, lecz także od zwykłych motorów.

Ich wprowadzenie na ulice, a w zasadzie nad ulice miast, nie jest wcale tylko pieśnią przyszłości. Niemiecki start-up Lilium zakończył już pierwsze testy latającej taksówki i planuje uruchomienie usługi podniebnych przewozów pasażerskich w różnych miastach świata do 2025 r. Koszt takiego kursu miałby być porównywalny z przejazdem tradycyjną taksówką, a czas przelotu, np. z centrum nowojorskiego Manhattanu na lotnisko JFK, zamiast godziny wyniósłby jedynie sześć minut.

Lilium najprawdopodobniej nie będzie jednak pierwsza na rynku. Nad elektrycznymi taksówkodronami z możliwością pionowego startu i lądowania pracuje bowiem m.in. Uber (w zeszłym roku pokazał fizyczny model takiego pojazdu, który ma podróżować z prędkością ponad 300 km/godz. z czterema pasażerami i pilotem lub pięcioma pasażerami, jeżeli taksówka będzie się poruszać w trybie autonomicznym). Na tegorocznych targach CES 2019 można było już oglądać napędzany sześcioma silnikami elektrycznymi prototyp podniebnej taksówki Bell Nexus, a start komercyjnej usługi Uber Air zaplanowano na 2023 r., amerykański Boeing (pod koniec stycznia tego roku wyglądający niczym pająk prototyp z powodzeniem odbył już próbne loty), europejski Airbus (w marcu obecnego roku zaprezentował prototyp autonomicznej taksówki powietrznej, a w maju przeprowadził pierwszy próbny lot w niemieckim Donauwörth), brytyjski Aston Martin (jego inżynierowie pracują nad pojazdem dla dwóch pasażerów) czy niemiecki Volocopter, którego dwuosobowe elektryczne latające taksówki były już testowane nad Dubajem, a do końca obecnego roku mają zacząć niemal bezgłośnie latać nad Singapurem. W maju Volocopter – założony w 2012 r. start-up – ogłosił, że nawiązał współpracę z brytyjską agencją Skyports. Ma ona zbudować w Singapurze pierwszy voloport, czyli lądowisko dla podniebnych taksówek. Największy problem Niemcy mają z brakiem regulacji prawnych, umożliwiających prowadzenie takiego biznesu.

Najprawdopodobniej konieczne będzie stworzenie nowych korytarzy powietrznych w taki sposób, aby taksówki nie wlatywały w drogę samolotom i śmigłowcom.

Według ostrożnych prognoz analityków z Roland Berger w ciągu najbliższych pięciu lat na całym świecie będzie już latać 3 tys. taksówek, a do roku 2030 będzie ich 12 tys. Doradcy z Boston Consulting Group ogłosili z kolei, że spodziewają się, iż do 2030 r. na świecie zostanie przekroczona bariera miliarda podniebnych kursów rocznie. Wartość rynku latających taksówek w 2040 r. eksperci finansowi szacują zaś na od 615 mld dol. poprzez 1,5 bln dol. (to prognoza banku Morgan Stanley) do nawet 2,9 bln dol.

Eduardo Dominguez-Puerta z Airbusa w wywiadzie dla „Aviation Today" porównał rozwój podniebnych taksówek do komputerów osobistych 40 lat temu. Chociaż na rynku dominują wielcy gracze, to wiadomo, że nad prototypami takich pojazdów pracuje obecnie ponad 115 firm na świecie.

– Branża jest zgodna co do tego, że latające pojazdy w obszarach miejskich pojawią się w ciągu najbliższych pięciu lat – przekonywał dziennikarzy Mathieu Dunat, dyrektor ds. innowacji w zarządzie paryskiego transportu publicznego (RATP), który pod koniec maja ogłosił współpracę z Airbusem, której celem jest dołączenie pojazdów latających do floty transportu miejskiego.

Dla przyszłości takich maszyn kluczowe będzie jednak opracowanie rozwiązań prawnych, pozwalających zapewnić bezpieczeństwo tego typu pojazdów w powietrzu i spokój ludziom mieszkającym w pobliżu tras przelotu. Najprawdopodobniej zarówno robotaksówki, jak i ich latające wersje będziemy zamawiać przez aplikacje podobne do tych, za pomocą których dziś możemy przywołać do siebie taksówkę czy jeden z pojazdów przewozowej konkurencji.

I choć można zrozumieć żal starych taksówkarzy – wielu dziennikarzy do dziś z rozrzewnieniem opowiada o zarobkach z przedinternetowej ery – to wiele rozwiązań z filmów science fiction jest już o krok od wprowadzenia do realnego świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

NIE MA CZASU NA STRACH.
SENSACYJNY WYWIAD
Z KOMANDOSEM GROM-U

GROM

Grzegorz Janiszewski – **Batalia o Karbalę**
Marcin Bartnicki – **Śmierć w Nangar Khel**
Korwin-Mikke vs. Waszczykowski – **Debata nad sensem misji w Iraku**
Sławomir Koper – **Namiętny romans Skłodowskiej-Curie**
Ray Lambert – **Walczyłem podczas D-Day**
Mikołaj Iwanow – **Jak Polska straciła Białoruś**
Piotr Zychowicz – **Krwawe ataki ukraińskich terrorystów**
Piotr Semka – **Powietrzna szarża na gestapo**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 41c41ae693

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kolejny sukces, niestety (cz. 2*)

Problem z Polską – państwem, które w ostatnich latach nie chce przystać na niemałą część propozycji (choćby w sprawie tzw. relokacji imigrantów), składanych przez kraje o ugruntowanym dorobku europejskim, takie jak Niemcy czy Francja – narasta. I to narastanie coraz wyraźniej przyspiesza.

Oto bowiem, po serii marcowych i kwietniowych rewizji tempa wzrostu PKB Polski – niestety, znów w górę, a nie w dół – dokonanych przez, niestety, nie byle jakie instytucje, bo przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju oraz Komisję Europejską, pojawiła się kolejna rewizja. Tym razem OECD – Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju – wywindowała tempo tegorocznego wzrostu PKB Polski aż ponad poziom 4 proc. – do 4,24 proc. W dodatku przy okazji prezentowania nowej prognozy wyszło na jaw, że fakt ów sytuuje Polskę w gronie czterech państw, których gospodarki mają się w tym roku rozwijać najszybciej na świecie, czyli obok Indii (7,16 proc.), Chin (6,2 proc.) oraz Indonezji (5,07 proc.).

W dodatku polska gospodarka rośnie szybko w sytuacji, gdy jeszcze szybciej słabnie tempo wzrostu gospodarek większości państw Europy, które są głównymi odbiorcami eksportu naszych firm. W tym – zwłaszcza to trzeba wyraźnie podkreślić – gospodarek państw strefy euro, nie przez przypadek stawianej Polsce za wzór wszelkich cnót. A więc polska gospodarka rośnie wyraźnie na przekór europejskim wartościom, a być może nawet im na złość. Rośnie szybko w sytuacji, gdy cała strefa euro ma w tym samym czasie rozwijać się w tempie średnio 1,2 proc., a Niemcy – w tempie ledwie 0,7 proc. (choć niektóre szacunki mówią nawet o 0,3–0,4 proc.). I w dodatku, co za niedorzeczność, rośnie szybko w sytuacji, gdy w Polsce obowiązującym środkiem płatniczym jest nie euro, lecz anachroniczna waluta narodowa – złoty.

Wszyscy, których to irytuje czy wręcz wścieka, a tych potężna liczba – jest przecież w Polsce i poza Polską – powszechnie znana, pocieszają się, że ten wzrost gospodarczy, tak jak każdy wzrost gospodarczy, kiedyś się skończy. Bo się skończy. Wszelako – nie zawadzi przyznać – takich zapowiedzi, formułowanych przeważnie jak obietnice, że „ten koniec jest już tuż-tuż", w ciągu ostatnich bez mała czterech lat padło bez liku i wszystkie one do tej pory pozostają czczymi. Podobnie jak chętnie mnożone ostrzeżenia, że rozdawanie kolejnych przywilejów socjalnych szybko doprowadzi budżet państwa do zapaści, a opieranie wzrostu tylko na jednej „nodze" – konsumpcji, bez wspierania się drugą – inwestycjami, jak to się dzieje w przypadku Polski, też szybko fatalnie się skończy. No, chyba że ostrzegający jakoś inaczej rozumieją wyraz „szybko" – inaczej niż powszechnie się go rozumie. ©℗

*) „Kolejny sukces, niestety – cz. 1" ukazał się w „Do Rzeczy" nr 21/2019.

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Idea, która łączy

Jesteśmy świadkami fenomenu bez precedensu w historii polityki. W jednej z najstarszych demokracji na świecie, w której scena polityczna była podzielona między partie o ponadstuletniej tradycji, pojawiła się nowa partia, która zdeklasowała w sondażach gigantów. Mowa oczywiście o partii Brexit w Wielkiej Brytanii, która uzyskała w wyborach do Parlamentu Europejskiego więcej niż Partia Konserwatywna i Partia Pracy. Okazuje się, że jeżeli partię polityczną zbuduje się wokół wartości kluczowych dla tożsamości narodu, które są zagrożone, to możliwe staje się polityczne trzęsienie ziemi. Dla Brytyjczyków taką wartością jest „Nigdy się nie poddamy". To dzięki tej wartości Wielka Brytania nie rozpoczęła negocjacji z Niemcami hitlerowskimi w czasie II wojny światowej, tylko podjęła walkę o zachowanie niepodległości. Co prawda obecnie Brytyjczykom nie grozi wojna, ale naród wypowiedział się przeciwko członkostwu w Unii Europejskiej, postawa brytyjskich polityków po referendum została zaś przez wielu odebrana jako zdrada narodowa i jako zagrożenie dla suwerenności rozumianej jako działania przeciw decyzji suwerena.

Europa ma więcej doświadczeń pokazujących niesamowitą mobilizację narodu wobec zagrożenia kluczowych narodowych wartości. Gdy na początku II wojny światowej Związek Sowiecki zaatakował Finlandię, mimo że agresor miał potencjał ludnościowy 40-krotnie większy niż Finowie, naród fiński się zmobilizował i odparł najeźdźców, a podczas obrony zginęło 5 proc. ówczesnej męskiej populacji Finlandii, najwięcej w historii świata. Kraju bronili obywatele w wieku od 14 do 60 lat: mężczyźni, kobiety i dzieci, a każda rodzina fińska kogoś straciła w tej wojnie.

Polska również ma swoją trudną historię, gdy naród na przestrzeni ponad 200 lat wielokrotnie podejmował nierówną walkę z napadającymi na nas jednocześnie mocarstwami. A jednak podobno Bismarck powiedział o Polakach, że nas nie trzeba najeżdżać, wystarczy pozwolić Polakom rządzić, a sami się wykończą. Rodzi się pytanie, czy w czasach pokoju istnieje idea, która pozwoliłaby Polakom przestać się kłócić, dzięki której naród mógłby się zjednoczyć. W przeszłości z pewnością taką ideą była odbudowa kraju po wojennych zniszczeniach, gdy mimo wielkiej niedoli rodziło się bardzo dużo dzieci, naród demograficznie się odbudował i podniósł swoją stolicę z gruzów.

Dzisiaj, między innymi dzięki programowi „500+", Polacy po raz pierwszy w postkomunistycznej historii są optymistami, Polska gospodarka i płace szybko rosną, standard życia się poprawia. Nie jest tego w stanie zepsuć nawet toksyczna narracja uprawiana przez wiele mediów masowych, które starają się skłócić i podzielić Polaków. Tak trzymać! ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 41c41ae693

NASZ TEST: INTELIGENTNA ZEWNĘTRZNA KAMERA NETATMO

Kamera zewnętrzna Netatmo (dawniej zwana Presence) to domowa kamera do monitoringu zewnętrznego, która umożliwia zdalny podgląd podwórka i okolicy bez konieczności płacenia miesięcznego abonamentu.

Odporne na warunki atmosferyczne „inteligentne" urządzenie rozpoznaje ludzi, zwierzęta oraz samochody. Plusem jest to, że nie tylko nieustannie nagrywa to, co się dzieje, gdy nie ma nas w domu, lecz także wysyła powiadomienia o intruzie wraz z obrazem jego twarzy oraz nagranym filmem (lub ze zdjęciem samochodu, który kręci się pod naszą bramą). Filmy nagrywane są przez kamerę o kącie widzenia 100 stopni w rozdzielczości Full HD (1920 x 1080). Zdjęcia i filmiki można zdalnie odtworzyć w aplikacji na smartfony. Są też zapisywane na dołączonej karcie microSD (8 GB) oraz – opcjonalnie – w chmurze Dropbox lub na własnym serwerze FTP. Sama aplikacja jest zaś banalnie prosta w obsłudze. Dane przesyłane do smartfona są szyfrowane.

Najważniejsze plusy to dokładny czujnik ruchu oraz zastosowanie algorytmu zdolnego do zaawansowanego uczenia się, dzięki czemu kamerę można uczyć lepszego rozpoznawania osób lub zwierząt. Można również zdefiniować strefę np. wokół bramy lub wokół drzwi wejściowych (w sumie można ustawić cztery takie strefy). „Inteligentne" funkcje dają możliwość dokładnego zdefiniowania tego, w jakich przypadkach kamera ma zawracać nam głowę, dzięki czemu na smartfon nie przychodzą setki niepotrzebnych powiadomień. Można też zobaczyć np., czy kurier rzeczywiście przerzucił paczkę przez płot.

Dzięki podczerwieni kamera potrafi rejestrować obraz nie tylko w dzień, lecz także w kompletnej ciemności. W kamerkę wmontowany jest również reflektor, który włącza się po wykryciu ruchu (jego moc wynosi 12 W). Może on oświetlić nam drogę do domu lub odstraszyć ewentualnego intruza. Kamerę montuje się w miejscu wcześniejszego źródła światła zewnętrznego, wpinając kabelki do kostki montażowej i wywiercając w ścianie dwie niewielkie dziury na kołki montażowe (są w zestawie).

Minusem jest brak akumulatora, przez co podczas awarii sieci energetycznej lub celowego odcięcia prądu przez włamywaczy kamerka ślepnie. Również design nie wszystkim musi przypaść do gustu.

Ogólnie to gadżet godny polecenia, choć niestety drogi. Cena: 1399,99 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SKŁADANY TRON

Każdemu taki tron, na jaki zasługuje? W tym przypadku nie ma co narzekać. The Hammock Throne to może nie jest siedzisko władzy nad królestwami Westeros, ale można się na nim całkiem wygodnie bujać, podziwiając widoki. To składane urządzenie po jednym mocniejszym uderzeniu ręki rozkłada się w wygodne obrotowe krzesło hamakowe. Nie trzeba wstawać, by zobaczyć, kto marudzi nad głową, albo sięgnąć po zimne piwo z przenośnej zamrażarki – wystarczy po prostu odbić się piętami od ziemi i okręcić na tronie.

Sam hamak jest w 100 proc. ręcznie tkany i zapewnia wygodne siedzisko nawet wysokim osobom – został zaczepiony ponad półtora metra nad ziemią – daje też oparcie plecom i głowie.

Dzięki rozmiarom można umieścić go nawet na nieco większym balkonie, bez problemu na tarasie czy werandzie domku letniskowego.

Cena też jest całkiem przystępna – mniej niż 800 zł, a zamawiać można go na Kickstarterze. Dostawa w czerwcu tego roku.

I SMACZNEGO

A gdy już siedzimy wygodnie na tronie, można też coś przekąsić. Na przykład coś z grilla. A jak rozdmuchać ogień, żeby samemu się nie przysmażyć? Na przykład za pomocą The Grill Gun, czyli grillowego pistoletu pozwalającego – jak twierdzi producent – rozpalić grilla zasilanego węglem drzewnym w 60 s, kierując strumień ognia w każde istotne miejsce. Grill Gun ma również wiele innych zastosowań – świetnie sprawdza się przy rozpalaniu ognisk, kominków czy jako pochodnia. Najprościej mówiąc, to pistolet dmuchający – dzięki tłokom – silnym strumieniem powietrza. Ale ponieważ jako magazynku używamy pojemnika z łatwo palną substancją, w efekcie otrzymujemy miniaturowy miotacz ognia. Same magazynki, w zależności od ceny zestawu, mają wystarczyć nawet na 200 podpaleń. Mała uwaga – papierosa odpalać tym nie proponuję. Cena na Kickstarterze to ok. 400 zł, dostawa niestety dopiero w grudniu, więc zamawiając, trzeba myśleć raczej o grillu przyszłorocznym. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 41c41ae693

Brudna „Przyjaźń”

Stefan Sękowski

Problemy związane z dostawą z Rosji zanieczyszczonej ropy udowadniają, jak ważna jest dywersyfikacja źródeł paliw

Władimir Putin uwielbia prężyć muskuły i ukazywać się jako silny przywódca państwa, z którym należy się liczyć. I zapewne wściekł się, gdy na widok publiczny wyszła indolencja rosyjskiego państwa w sprawie strategicznej, czyli eksporcie ropy.

W połowie kwietnia okazało się, że ropociągiem „Przyjaźń” płynie przez Białoruś do Polski – i innych krajów – zanieczyszczona ropa. Do surowca dostało się za dużo chlorków organicznych, które po zetknięciu z wodą mogą powodować korozję rur i niszczyć urządzenia w rafineriach. Chlorki pomagają wydobyć ropę ze starszych złóż, jednak później powinny być z niej usunięte. Problemy z nimi związane są do tego stopnia duże, że do 2012 r. obowiązywał w Rosji wręcz zakaz ich używania. Tym razem normy miały zostać przekroczone kilkadziesiąt razy, czego efektem była awaria w rafinerii w białoruskim Mozyrzu. 24 kwietnia Polska przestała przyjmować ropę płynącą przez Białoruś. Nie jest to tylko kwestia otrzymania trefnego towaru, ponieważ trzeba się go pozbyć z rur, co zajmuje dużo czasu i jest kosztowne. Zanieczyszczoną ropę trzeba też oczyścić, dodając do brudnego surowca zdatny do przetworzenia, w proporcjach minimum 1:20. Dopiero tak przemieszana ropa może być przerabiana na paliwo. Jednak zanim to się stanie, musi minąć sporo czasu – przykładowo ropa znajdująca się na białoruskim odcinku ma trafić dopiero do 10 czerwca do Rosji, wtedy będzie mogła zostać oczyszczona.

POWAŻNE STRATY

– To, co się stało z rurociągiem „Przyjaźń”, to dla nas poważna strata tak materialna, gospodarcza, jak i naszej reputacji – mówił Putin podczas rozmowy z prezesem Transnieftu, Nikołajem Tokariowem. Zapowiedział, że konieczne będzie wzmocnienie kontroli jakości ropy. Jak sugerują eksperci Ośrodka Studiów Wschodnich Szymon Kardaś i Wojciech Konończuk, nie jest wykluczone, że afera pociągnie za sobą przetasowania w sektorze naftowym, choć kontrola nad nim pozostanie oczywiście w rękach rosyjskiego państwa. Sprawa jest istotna, bo eksport ropy naftowej ma dla Rosji fundamentalne znaczenie. Przychody ze sprzedaży ropy i gazu za granicę stanowią blisko połowę wpływów budżetowych tego kraju. Sama ropa przynosi łącznie z produktami ropopochodnymi ok. 200 mld dol. przychodu rocznie (dla porównania, gaz „tylko” 40 mld dol.). „Przyjaźń” była kiedyś narzędziem sowieckiej dominacji energetycznej nad państwami bloku wschodniego, ale i dziś odgrywa ważną rolę w relacjach gospodarczych Rosji z byłymi demoludami. Otwartym w 1964 r. rurociągiem ropa płynie do takich krajów jak Białoruś,

eprasa.pl 41c41ae693

FOT. ALEXANDER SAVERKIN/ITAR-TASS/FORUM

Polska, Niemcy, Słowacja, Czechy i Węgry – w 2018 r. popłynęło nim ok. 25 proc. rosyjskiego eksportu.

Afera już przyniosła poważne skutki dla odbiorców. Białoruskie rafinerie ograniczyły produkcję paliw o połowę i już teraz swoje straty szacują na 100 mln dol. Problemy Białorusinów powodują, że kłopoty ma także Ukraina, która co prawda nie sprowadza ropy „Przyjaźnią", ale kupuje paliwa z niej wytwarzane, np. właśnie z rafinerii w Mozyrzu. Z kolei Czesi i Węgrzy już uruchomili swoje rezerwy strategiczne. Przez „Przyjaźń" płynie ropa aż do Niemiec, co zaspokaja ok. 35 proc. ich zapotrzebowania, a tam także wstrzymano import i zmniejszono produkcję paliw. To oznacza straty dla odbiorców, a zwłaszcza dla rosyjskiego dostawcy, bo w rurociągu znalazło się w efekcie 5 mln ton zanieczyszczonej ropy o wartości ok. 2,6 mld dol. (ok. 1 mln ton w Polsce). Część z niej – po niższej cenie (zapewne o co najmniej 25 proc.) – kupią Chińczycy, ale to i tak nie zrekompensuje strat.

Nic dziwnego, że rosyjskie służby zaczęły szukać winnych. I szybko znalazły oraz aresztowały cztery osoby. Te, zdaniem sądu w Samarze, miały kraść dobrą ropę jednej ze spółek i przewozić ją do niewielkiej rafinerii, gdzie była przerabiana na produkty ropopochodne. Ubytki zastępowano ropą gorszej jakości. Nie tłumaczy to jednak, dlaczego później zawiodła kontrola surowca dostarczonego do punktu odbioru. Tym bardziej że w komunikacie sądu można przeczytać, że straty wyniosły ok. 1 mln rubli (czyli niecałe 60 tys. zł). Wyliczenie to nie obejmuje z pewnością ani strat wywołanych koniecznością przepompowania i oczyszczenia ropy, ani uszkodzonych sprzętów czy przestojów (zdaniem rosyjskich „Wiedomosti" Białorusini mogą w wyniku wstrzymania tranzytu i braku dostaw stracić w tym roku nawet do 432 mln dol.).

W wiarygodność tych doniesień wątpią niektórzy eksperci i wskazują, że zanieczyszczonej ropy jest zbyt wiele, żeby możliwe było jej wpuszczenie przez małe przedsiębiorstwa. Jednocześnie afera wpisuje się w aktualny spór między Rosją a Białorusią. Chodzi o tzw. manewr podatkowy, który Rosjanie mają zamiar przeprowadzić do 2024 r. Moskwa chce z jednej strony obniżyć cła dla eksporterów ropy, z drugiej zaś podwyższyć podatek od wydobycia, co przełoży się na zwiększenie kosztów dla Mińska. Ten nie pozostaje dłużny i planuje podwyższenie o 23 proc. opłat za tranzyt surowca do innych krajów. Nie byłby to pierwszy raz, gdy Rosja wykorzystuje ten ropociąg do polityczno-gospodarczych rozgrywek z sąsiadami.

CO Z NASZYM BEZPIECZEŃSTWEM?

Czy jednak Rosja byłaby skłonna ponieść tak duże finansowe i wizerunkowe straty, by pogrozić palcem Białorusi? Bez względu na to, jak jest naprawdę, w tym kontekście pojawia się pytanie o nasze bezpieczeństwo energetyczne. Gdyby sytuacja się przeciągała i Orlen oraz Lotos zaczęłyby cierpieć na niedobór ropy, mogłyby wzrosnąć ceny benzyny. Jednak to nam – przynajmniej na razie – raczej nie grozi. Nie zostaliśmy nagle pozbawieni dostępu do ropy. Polska ma obowiązek jako członek Unii Europejskiej i Międzynarodowej Agencji Energetycznej (MAE) posiadania zapasów strategicznych ropy na 90 dni, który dotyczy zarówno spółek odbierających surowiec, jak i Agencji Rezerw Materiałowych. I ten obowiązek spełnia, a w razie potrzeby mamy także prawo prosić inne państwa należące do UE i MAE o pomoc.

Obecne kłopoty pokazują, jak ważna jest dywersyfikacja źródeł paliw. Gdy nie można liczyć na „Przyjaźń", mamy jeszcze Naftoport w Gdańsku, do którego płynie ropa z innych części świata (obecnie jest to brama dla około połowy naszego importu tego surowca). Jeszcze w 2012 r. z Rosji przybywało do nas blisko 100 proc. ropy. Jednak od tamtego czasu udział importu zza wschodniej granicy nieustannie spada. Jak wynika z „Bilansu płatniczego Rzeczypospolitej Polskiej za IV kwartał 2018" Narodowego Banku Polskiego, w ubiegłym roku „import ropy naftowej osiągnął rekordowy poziom. Do Polski dostarczono 212 mln baryłek, co oznacza wzrost o 35,5 mln baryłek (tj. o 20 proc.) w porównaniu z 2017 r.". Mimo to udział rosyjskiej ropy spadł do 67 proc. Inne kraje, z których sprowadzamy ropę, to m.in.: Kazachstan, Arabia Saudyjska, USA i Norwegia, które mają po kilka procent udziału w naszym rynku. Poszerzamy także liczbę państw, z których pochodzi surowiec. Przykładowo w grudniu 2018 r. pierwszy raz dotarła do nas ropa ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Czy to jednak wystarczy? Biuro prasowe Grupy Orlen, która produkuje benzynę także na Litwie i w Czechach, uspokaja, że „rafinerie w Płocku, Litvinovie, Kralupach i Możejkach pracują w normalnym trybie i mają zapewnione dostawy surowca". Spółka PERN, która zarządza siecią ropociągów, zapewnia, że ich oczyszczenie powinno potrwać do pięciu miesięcy, do połowy maja oczyszczono ok. 20 proc. ropy znajdującej się w Polsce. Jednak częścią rur surowiec ma zacząć płynąć już wcześniej: pod koniec maja odbyły się rozmowy z inicjatywy Ministerstwa Energii, podczas których w końcu zapadła decyzja, że stanie się to już 9 czerwca, a całość rurociągu ma zostać oczyszczona do 1 lipca. Jest tylko jeden szkopuł: nie ma jeszcze ustaleń dotyczących odszkodowań, których Rosjanie zapewne nie będą chcieli zapłacić. Dodatkowo, jak pisał BiznesAlert.pl (taki jest stan w momencie pisania tego artykułu), dwie niemieckie rafinerie podłączone do ropociągu wycofały się ze wstępnego porozumienia, ponieważ nie chcą brać udziału w oczyszczaniu ropy. Zanim „Przyjaźnią" zacznie więc płynąć do nas ropa, Polaków, Niemców i Rosjan czekają trudne rozmowy na temat kwestii wartych miliony dolarów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think-zine'u „Nowa Konfederacja".

eprasa.pl 41c41ae693

Joanna Bojańczyk

Gdy kasy państwowe są biedne, prywatny biznes hojnie wspiera zabytki i sztukę. Szczególnie szczodre są korporacje luksusu. Granica między dobroczynnością a lansem jest trudna do uchwycenia

Pomoc

Pożar katedry Notre Dame poruszył nie tylko Paryż, nie tylko Francję, lecz także cały świat. Natychmiast po katastrofie ruszyła pomoc finansowa przeznaczona na odbudowę zabytku. Pierwsze zgłosiły się koncerny luksusowych marek. Jeśli bowiem Notre Dame jest symbolem historycznego dziedzictwa Francji, to luksus jest jej symbolem współczesnym.

Pierwsza, od razu w dzień pożaru (w poniedziałek 15 kwietnia), zgłosiła się rodzina Pinault, szefowie firmy Artémis, właściciele firmy Kering, drugiego co do wielkości konglomeratu zrzeszającego firmy produkujące markowe ubrania i kosmetyki. „Stojąc w obliczu tragedii, która uderza nie tylko we Francuzów, ale we wszystkich, dla których ważne są wartości duchowe, chcemy jak najszybciej przywrócić do życia klejnot naszego dziedzictwa" – powiedział prezes Keringa François-Henri Pinault. I dodał, że on i jego ojciec zdecydowali się ofiarować na odbudowę 100 mln euro.

Nazajutrz z ofertą pomocy wystąpiła rodzina Arnault i koncern LVMH Louis Vuitton Moët Hennessy, na którego czele stoi Bernard Arnault, najbogatszy Francuz. Ofiarowano 200 mln euro. „Grupa LVMH zostawia (tę sumę) do dyspozycji państwa i odpowiednich jego instytucji, wliczając w to zespoły kreatywne, architektów i specjalistów od finansów. Chcemy pomóc w długiej pracy zbierania funduszy, co już się rozpoczęło, oraz odbudowy" – zadeklarowali panowie Arnault, ojciec i syn.

LVMH jest największym holdingiem luksusowej mody na świecie. W jego skład wchodzą marki mody: Celine, Dior, Givenchy i Louis Vuitton, alkohole Moët & Chandon, Dom Pérignon and Veuve Clicquot, ale także dwa ikoniczne paryskie domy towarowe Le Bon Marché i La Samaritaine.

W roku 2018 grupa odnotowała dochód w wysokości 46,8 mld euro.

Arnault wspierał finansowo kampanię wyborczą prezydenta Macrona. Brigitte Macron (czyżby w rewanżu?) nosi ubrania marki Louis Vuitton na większości publicznych wystąpień. Arnault był także pomysłodawcą i inwestorem Fundacji Louis Vuitton i jej ikony – muzeum sztuki współczesnej, które otwarto trzy lata temu w okolicach Lasku Bulońskiego w Paryżu. Wzbudzającą kontrowersje i oprotestowaną, ale potem zaakceptowaną przez paryżan budowlę zaprojektował Frank Gehry.

Nie mniej luksusowe marki posiada w swoim portfolio korporacja Kering. To Balenciaga, Boucheron, Yves Saint Laurent. Rodzina Pinault, jedna z najbogatszych we Francji, jest również właścicielem winnicy Château Latour. Jej dochody w roku 2018 wyniosły 13,67 mld euro.

François Pinault, patriarcha rodu, nie chcąc być gorszym sponsorem sztuki niż jego rywal Arnault, buduje centrum sztuki współczesnej, w samym sercu Paryża, w miejscu dawnej giełdy. Budynek zaprojektuje słynny japoński architekt Tadao Andō.

MEDYCEUSZE XXI WIEKU

Trudno nie widzieć symetrii obu tych

François-Henri Pinault, dyrektor generalny korporacji modowej Kering, ze swoją żoną – aktorką Salmą Hayek

FOT. STEFANIE KEENAN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 41c41ae693

Antoine Arnault, syn założyciela LVMH – Louis Vuitton Moët Hennessy, z żoną, modelką rosyjskiego pochodzenia Natalią Wodianową FOT. PASCAL LE SEGRETAIN/GETTY IMAGES

i lans

rodzin: młodszy Pinault, syn François-Henri, jest żonaty z Salmą Hayek. Po pożarze Notre Dame aktorka wystosowała kondolencje: „Ja również, jak wszyscy, jestem w głębokim szoku i czuję smutek, widząc piękną katedrę w ogniu. Kocham Paryż".

Żoną Arnault juniora, Antoine'a, jest także celebrytka – Natalia Wodianowa, urodzona w Rosji była top modelka. Jako nastolatka sprzedawała warzywa w mieście Gorki, tam znalazła ją agencja i ściągnęła do Paryża, gdzie zaczęła się jej kariera na światowych wybiegach mody.

Podobieństwo rywalizujących magnatów dotyczy nie tylko ich sytuacji finansowej i rodzinnej. Czasem porównuje się ich do Medyceuszów, którzy rządzili Florencją i Toskanią. Na ich zamówienie powstały niezliczone dzieła sztuki tego miasta i regionu. W końcu dawniej mecenasami sztuki zawsze byli bogaci.

Krwawych czynów i zbrodni, do których wtedy dochodziło, tutaj brak, ale też trudno powiedzieć, żeby rodziny Pinault i Arnault były przez rodaków kochane bez zastrzeżeń. Oba rody, będąc zaangażowane we wspieranie kulturowego dziedzictwa Francji, z konsekwencją, a czasem bezwzględnością realizują swoje projekty inwestycyjne. Fundacja Louis Vuitton miała kosztować 100 mln euro, ostateczny koszt wyniósł 690 mln. Zarzucano jej niejasne finansowanie. Powstała w sąsiedztwie Lasku Bulońskiego, na publicznym gruncie. Cała dzielnica protestowała przeciwko gigantycznemu budynkowi, który brutalnie wepchnął się do swojskiego otoczenia dzielnicy, lekceważąc jej tradycyjnie paryski charakter. „Groteskowa wrzuta, nie wiadomo, czy to statek, kwiat czy gigantyczna ćma" – mówili paryżanie. Ale w końcu samo Zgromadzenie Narodowe projekt Gehry'ego zaakceptowało, uznawszy go za „znaczące dla całego świata dzieło sztuki". Arnault utrzymywał, że LVMH zrobił Paryżowi prezent.

JASNA TWARZ LUKSUSU

Korporacje zrzeszające marki luksusowych artykułów są powszechnie krytykowane za wykupywanie i niszczenie tradycyjnego europejskiego rzemiosła, narzucanie kosmicznych cen za masowo produkowane pseudoluksusy, monopolizowanie rynku. Żeby pokazać drugą, „jasną" twarz i budować pozytywny wizerunek, koncerny prowadzą intensywną promocję poprzez działalność kulturalną. A że mają na to potężne środki, aktywnie angażują się także w restaurację i ochronę zabytków. Szczególnie w ostatnich latach. Włoska grupa Tod's wsparła odbudowę Koloseum w Rzymie sumą 25 mln euro. Fendi, marka należąca do stajni LVMH, zapłaciła 2 mln euro za remont fontanny di Trevi w Rzymie. Po skończonym remoncie Fendi urządził tam pokaz mody. Marka biżuterii Boucheron, także pod parasolem LVMH, wydała 1,5 mln euro na remont Schodów Hiszpańskich, Salvatore Ferragamo wspomaga finansowo galerię Uffizi we Florencji.

Fondazione Prada, instytucję stworzoną przez projektantkę Miuccię Pradę i jej męża Patrizia Bertellego, trudno nazwać ratownikiem zabytków, wspiera ona raczej sztukę współczesną niż dawną, niemniej trudno zaprzeczyć jej zasługom na polu kultury. Otwarty w roku 2015 budynek fundacji, który zaprojektowała firma OMA, kierowana przez tzw. starchitekta, czyli architekta celebrytę, Rema Koolhaasa, stał się od razu jedną z ikon Mediolanu. Powstał na miejscu przerobionej i rozbudowanej starej destylarni. Kawiarnia w tym budynku, stworzona przez reżysera Wesa Andersona, pociąga młodego turystę bardziej niż obrazy starych mistrzów w Pinakotece Brera. Taka jest prawda o współczesności i trudno odmówić fundatorom jej wyczucia...

Nawet gdyby działalność altruistyczną uznać za lans i zasłonę dymną, faktom trudno zaprzeczyć. Państwa są biedne, korporacje bogate. Ale przy okazji darów dla Notre Dame powstało też pytanie: Dlaczego właściwie podatnicy mieliby je wspierać? We Francji od razu rozpętała się dyskusja na temat ulg podatkowych, które korporacje mogą zyskać na darowiznach. Czy magnaci finansowi mają jeszcze zarabiać na tragedii narodowej? W końcu zdecydowano, że żadnych ulg nie będzie.

Gdy tylko rozniosła się wiadomość o hojnym darze panów Arnault i Pinault, do zbiórki na Notre Dame pospieszyły inne firmy. Total rzucił 100 mln, L'Oréal, fundacja rodziny Bettencourt-Schueller (za którą stoi wart miliardy przemysł kosmetyków) zadeklarowała 200 mln. Bank Société Générale dał 10 mln, firma reklamowa JCDecaux – 20. Producent opon Michelin i firma budowlana Vinci obiecały wesprzeć odbudowę firmami budowlanymi i architektonicznymi. Przy okazji te ostatnie postanowiły się polansować, prezentując kolejne projekty uwspółcześnienia odbudowywanej katedry. Im dziwniejsze, tym większa szansa na klikalność biura w Internecie. Dach kryształowy, przykryty ogrodem...

Inwestorzy od luksusowych marek nie od wczoraj próbują dowartościować się sztuką. Jest im to szczególnie na rękę teraz, w czasach, kiedy tak wiele się mówi o efekcie cieplarnianym, ginących gatunkach zwierząt, niszczącym planetę przemyśle mody. Może nie są całkiem bezinteresowni. Ale cokolwiek by myśleć, nie sposób nie przyznać, że pożar katedry poruszył najczulsze struny w sercach Europejczyków – także tych najbogatszych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

Katarzyna Pinkosz

Strategia walki z rakiem

FOT. ADOBESTOCK

20 maja prezydent podpisał ustawę o Narodowej Strategii Onkologicznej. Gdzie jesteśmy dziś, jeśli chodzi o leczenie nowotworów?

Co roku 160 tys. – tylu z nas zaczyna chorować na raka, a 100 tys. osób co roku umiera. To nie jest optymistyczna statystyka: w stosunku do europejskiej średniej mniej z nas choruje na nowotwory, za to jesteśmy powyżej średniej, jeśli chodzi o umieralność. Wskaźniki pięcioletnich przeżyć poprawiają się, jednak wolniej niż w innych krajach. Umieralność z powodu nowotworów złośliwych jest u nas o ok. 20 proc. wyższa u mężczyzn i 10 proc. u kobiet.

A eksperci ostrzegają, że czeka nas onkologiczne tsunami, związane z przewidywanym wzrostem zachorowań. Jest to przede wszystkim spowodowane tym, że żyjemy coraz dłużej, a wraz z długością życia rośnie ryzyko raka. Ale to niejedyna przyczyna. Inne: palenie papierosów (udowodniony czynnik ryzyka 14 nowotworów), smog (8 proc. przypadków raka płuca jest wywołanych zanieczyszczeniami powietrza), zła dieta, otyłość, siedzący tryb życia, picie alkoholu.

Czynniki ryzyka są dobrze znane, tyle że w Polsce wciąż za mało się dzieje, by je ograniczyć. Przykład? Skrajnie niedofinansowany program ograniczania następstw palenia tytoniu. Przeznaczono na niego 1 proc. kwoty wynikającej z ustawy o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych. Poradnie antynikotynowe z powodu skrajnego niedofinansowania istnieją w szczątkowej formie. Taka poradnia została nawet zlikwidowana w Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc.

ZAPOBIEC, ZANIM SIĘ ROZWINIE

Zdaniem ekspertów nawet do 70 proc. zachorowań można zapobiec, eliminując pięć największych kancerogenów: palenie, picie alkoholu, złą dietę, nadwagę, brak aktywności fizycznej. Gdyby przyjąć te 70 proc., to w 2019 r. zachorowałoby nie 160 tys. Polaków, ale 50 tys. Są coraz lepsze metody leczenia raka, jednak dziś wyleczyć, czyli chirurgicznie usunąć, można go tylko przy wczesnym wykryciu. Tyle że wciąż za mało osób profilaktycznie się bada.

Z przesiewowej mammografii korzysta ok. 37 proc. kobiet, cytologii – 17 proc. Są miejsca na mapie, gdzie badania wykonuje dwa razy więcej kobiet (można je więc skutecznie zachęcić). A to, jak efektywna potrafi być profilaktyka, pokazuje kolonoskopia: mimo że na badania przesiewowe zgłasza się tylko 17 proc. osób, to już udało się zmniejszyć liczbę zgonów z powodu raka jelita grubego o ok. 30 proc. Nowotwory urologiczne (to aż 23 proc. wszystkich) udałoby się wcześniej wykrywać, gdyby po 40.–50. roku życia wykonywać profilaktycznie USG, sprawdzać PSA (w przypadku mężczyzn) czy po prostu częściej chodzić do lekarza.

Inny sposób na skuteczne zapobieganie to badania genetyczne: już dziś dostępne. Za 20–25 proc. wszystkich nowotworów odpowiadają mutacje, z którymi się rodzimy. – W Polsce jest ok. 2 mln osób obciążonych wrodzoną mutacją genetyczną predysponującą do rozwoju nowotworu, a ponad milion kobiet ma mutację predysponującą do raka piersi – mówi prof. Krystian Jażdżewski, kierujący zespołem lekarzy i naukowców Zakładu Medycyny Genomowej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i Centrum Nowych Technologii UW. Wykrycie takiej mutacji często zmienia zasady profilaktyki. – Część kobiet

eprasa.pl 41c41ae693

zagrożonych rakiem piersi powinna wykonywać rezonans magnetyczny nawet już od 25. roku życia. W przypadku zwiększonego ryzyka raka jelita grubego, na pierwszą kolonoskopię trzeba przyjść już w 25.–30. roku życia – dodaje. Profesor Krystian Jażdżewski ma bardzo ambitny cel: przebadanie pod względem genetycznym wszystkich Polaków. Gdyby to się udało, można by było znacznie wcześniej wykrywać i leczyć uwarunkowane genetycznie nowotwory, które często zaczynają się wcześniej i mają cięższy przebieg.

SKUTECZNE LECZENIE

Jeśli nowotwór zostanie wykryty odpowiednio wcześnie, zwykle można go usunąć. Warunkiem jest jednak umiejętne wykonanie operacji – na co jest większa szansa, jeśli operuje zespół mający odpowiednie doświadczenie. Dzisiaj nie zawsze tak jest, o czym zwykle pacjent nawet nie wie. To ma się zmienić: niedawno NFZ zapowiedział uruchomienie strony internetowej, na której będzie można sprawdzić, ile w danej placówce jest wykonywanych operacji i jakie są ich ewentualne powikłania.

Nowoczesne leczenie to też możliwość zastosowania skutecznych terapii. W wielu przypadkach w Polsce wciąż jest z tym problem, zwłaszcza jeśli chodzi o terapie drugiej, trzeciej czy czwartej linii. Co prawda w ostatnich latach widać postęp, wiele nowych leków pojawiło się na listach refundacyjnych i w programach lekowych, wciąż jednak dużo jest do nadgonienia. Podczas majowego posiedzenia Parlamentarnego Zespołu ds. Onkologii prof. Cezary Szczylik, onkolog, wyliczał absurdy onkologicznego leczenia w Polsce i brak dostępności do nowoczesnych terapii. – Wciskam się na rozmowy na temat raka nerki do ministerstwa, bo nikt mnie nie zaprasza, mimo że jestem członkiem komisji ekspertów NCCN (National Comprehensive Cancer Network). Prawdopodobnie jestem kontrowersyjny, bo nie zgadzam się, że niektórym grupom pacjentów odmawia się leczenia – mówi prof. Szczylik. Zgodnie z Oncoindexem, wskaźnikiem stworzonym przez fundację Alivia, monitorującym dostępność leków onkologicznych zalecanych na podstawie wytycznych europejskich towarzystw naukowych, w 17 chorobach nowotworowych spośród 93 rekomendowanych leków w Polsce 44 nie są w ogóle dostępne, a 34 są z poważnymi ograniczeniami.

CZEKAJĄC NA ZMIANY

20 maja prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę o Narodowej Strategii Onkologicznej, zapowiadając, że ten dzień ma szansę zapisać się w historii naszej onkologii. Polski „cancer plan" ma do końca listopada opracować i zgłosić Radzie Ministrów zespół przy ministrze zdrowia. Faktem jest jednak, że podobny projekt „Strategia walki z rakiem w Polsce 2015–2024" był już stworzony kilka lat temu przez zespół prof. Jacka Jassema. Według zapowiedzi Narodowa Strategia ma z tego dokumentu korzystać. – Narodowa Strategia Onkologiczna będzie przyjęta przez rząd, co będzie zobowiązaniem do jej przestrzegania, a na realizację zostaną przeznaczone konkretne pieniądze. Myślę, że za kilka lat dzięki temu zmniejszymy umieralność, a być może dzięki profilaktyce zmniejszy się liczba nowotworów – nie kryje nadziei prof. Piotr Rutkowski kierujący Kliniką Nowotworów Tkanek Miękkich, Kości i Czerniaków warszawskiego Centrum Onkologii.

Również prof. Piotr Czauderna, koordynator Sekcji Opieki Zdrowotnej w Narodowej Radzie Rozwoju przy Prezydencie RP, uważa, że Narodowa Strategia to szansa na zmianę w polskiej onkologii, choć przestrzega, że od razu wszystkiego zmienić się nie da i – wzorem innych państw – trzeba wyznaczać po kolei cele możliwe do realizacji. Jego zdaniem na początek jednym z głównych celów powinna być profilaktyka. – Nacisk powinien być też położony na wczesne wykrywanie nowotworów, na poprawę organizacji leczenia oraz wyrównywanie szans pacjentów na dobre leczenie, niezależnie od tego, gdzie mieszkają. Chciałbym, żeby Narodowa Strategia doprowadziła do sytuacji, że onkologia w Polsce będzie nowoczesna i skoncentrowana na pacjencie – mówi prof. Czauderna.

Taką zmianę zakłada obecnie toczący się pilotaż krajowej sieci onkologicznej. – Już poprawiła się u nas komunikacja z pacjentami: rośnie liczba koordynatorów, którzy pomagają choremu znaleźć ośrodek, gdzie może zostać zdiagnozowany i leczony. Dzięki pilotażowi będziemy mogli sprawdzić, jak szpitale leczą, i wyniki pokazać pacjentowi – zapowiada prof. Adam Maciejczyk, prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego i dyrektor Dolnośląskiego Centrum Onkologii. W stosunku do nikłych pieniędzy, które są przeznaczane na polską onkologię, i tak jest ona efektywna. – W Centrum Onkologii w Warszawie leczy się tyle samo pacjentów co w amerykańskim MD Anderson Cancer Center, tylko tam jest cztery razy więcej personelu i 10 razy więcej funduszy. Jeśli finansowanie onkologii się zwiększy, a sieć spowoduje, że poprawi się koordynacja leczenia, to wyniki leczenia onkologicznego w Polsce będą lepsze – przekonuje prof. Rutkowski. Na tę poprawę wszyscy czekają: zaangażowanych lekarzy już mamy, teraz na onkologię potrzebne są większe pieniądze, ale też odważna decyzja, gdzie je wydać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 41c41ae693

JACEK KOMUDA

GRZECHY PIASTÓW

Bunt Skarbimira

Legenda herbu Abdank, spisana przez Jana Długosza i Marcina Kromera, podaje, że gdy w roku 1109 Skarbek z Gór posłował od Bolesława Krzywoustego do cesarza Henryka, cesarz pokazał mu skrzynie pełne złota, aby olśnić posła bogactwem. Niespodziewanie Skarbek zdjął z palca własny pierścień i wrzucił go do najbliższej skrzyni, mówiąc: „Idź złoto do złota, my, Polacy, w żelazie się kochamy i żelazem bronić będziemy", na co zaskoczony cesarz odpowiedział: „Hab dank", co znaczy „dziękuję". Słowo to stało się potem nazwą rodu Abdanków, jednego z najpotężniejszych za pierwszych Piastów, a wywodzących się, jak chcą Bartosz Paprocki i Długosz, od samego Skuby, który choć nie był żadnym szewcem, zgładził legendarnego smoka w grodzie Kraka.

Mało kto wie, że późniejsze losy owego Skarbka z Gór, którego jego biograf Janusz Bieniak łączy ze Skarbimirem z Awdańców, były o wiele mniej chwalebne. Dołączył on bowiem do pocztu buntowników i wichrzycieli polskich, których protoplastami byli Bezprym i Masław, a sukcesorami – Samuel Zborowski, Stanisław Stadnicki „Diabeł" i Jerzy Lubomirski.

Skarbimir był synem Michała Starego, komesa na dworze Bolesława Szczodrego, który udał się wraz z królem na wygnanie; co pozwala sądzić, że mógł być nawet jednym z zabójców św. Stanisława. Do kraju wrócił razem z Mieszkiem Bolesławowicem, a po jego śmierci jego ród stał się wrogiem wszechwładnego Sieciecha. Skarbimir został prawdopodobnie piastunem i doradcą młodego Bolesława Krzywoustego – był inicjatorem programu zjednoczenia ziem Polski pod władzą księcia i wypraw na Pomorze – w czasie jednej z nich stracił ponoć oko. Prawdopodobnie ok. 1106 r., po pokonaniu Zbigniewa, Bolesław mianował Skarbimira wojewodą, a jego wpływy w państwie znacznie wzrosły. Około 1111 r., co podaje Gall Anonim i potwierdza Władysław Semkowicz, Skarbimir i jego poplecznicy obwinili powracającego do kraju Zbigniewa o przygotowywanie zamachu na życie Bolesława. Zapewne pod jego wpływem książę kazał przyrodniego brata oślepić, za co odprawił zresztą pokutę razem z Awdańcami.

W kolejnych latach Skarbimir zaczął przechodzić do opozycji – najpierw z powodu konkurencji Piotra Włostowica, który pozyskał łaskę Bolesława Krzywoustego, a przy okazji odebrał przyszłą

FOT. WIKIPEDIA

żonę jednemu z synów Skarbimira lub nawet samemu wojewodzie. Posłany bowiem na Ruś jako swat proszący o rękę Marii, córki Olega Świętosławowicza, niespodziewanie… sam się jej oświadczył i uzyskał zgodę księcia na małżeństwo, co rozwścieczyło Awdańców.

Nieporozumienia z Piotrem i otwarta wrogość, potem zapewne także wobec księcia Bolesława, doprowadziły na początku 1118 r. do buntu Skarbimira, który jednak został szybko pokonany. Za karę Krzywousty kazał mu wyłupić drugie oko. Niestety poza walką o władzę z Włostowicem nic nie wiadomo o motywach buntu ani tym bardziej o jego przebiegu; historycy prześcigają się w domysłach, czy chodziło o jakieś porozumienie z wrogami księcia Bolesława, Pomorzanami, Rusinami lub innymi możnowładcami. Janusz Bieniak w biogramie Skarbimira spekuluje, że powody mogły być dużo ciekawsze niż gra stronnictw; poszło rzekomo o to, że wojewoda nie godził się na proponowaną przez Krzywoustego zasadę sukcesji na tronie. Bolesław, mając bowiem z dwóch małżeństw synów, zamierzał już wówczas wcielić w życie seniorat, gdzie najwyższą władzę w państwie sprawował zawsze najstarszy syn władcy. Tymczasem Skarbimir był zwolennikiem wyboru na wiecu najodpowiedniejszego księcia z synów władcy; nie można też wykluczyć, że sam myślał o przejęciu w ten sposób rządów. Oślepiony i pozbawiony urzędu Skarbimir zbiegł z Polski na dwór księcia Wołodara Przemyskiego, prawdopodobnie jednak odzyskał on w końcu dawną godność, gdyż doszło do ugody między zwaśnionymi stronnictwami. Zmarł przypuszczalnie przed 1132 r., a pochowano go w Lubiniu, obok ciała ojca.

Skarbimir, posiadający włości w całej Polsce, powiększył gród w Skalbmierzu i miejscową kolegiatę, zasłynął także wieloletnią rozbudową wspomnianego opactwa w Lubiniu, które założył jeszcze jego ojciec, Michał z Góry, sprowadziwszy tutaj z Leodium w Belgii benedyktynów. Budowę miejscowego kościoła Najświętszej Marii Panny skończyły jego wnuki – synowie Skarbimira, dając początek rodowi, z którego wywodziło się wiele rycerskich domów i rodzin. Pochodził z niego Jakub Skarbek z Góry, rycerz, który pod Grunwaldem wziął do niewoli księcia szczecińskiego Kazimierza V. Nawet sam Bohdan Chmielnicki, przywódca zbuntowanych Kozaków, pieczętował się – niesłusznie zresztą – odmianą Abdanka z krzyżykiem. ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

CUKINIE PO GRECKU OD TEO VAFIDISA

Wychowywałem się w Serres pod Salonikami, gdzie moja rodzina prowadziła tradycyjną restaurację. Odkąd skończyłem 10 lat, spędzałem tam każdy wolny weekend, pomagając w kuchni. W dorosłym życiu wiele podróżowałem. Byłem właścicielem 17 restauracji w Grecji, Niemczech, Austrii i Polsce, dokąd przywiodła mnie miłość do Małgosi, która została moją żoną. Chociaż nie mieszkam już w Grecji od wielu lat, to ciągle jestem zafascynowany jej kulturą i kuchnią, której ambasadorem staram się być w Polsce. Nie mogło być zatem inaczej – podaję przepis na coś z greckiej kuchni. To nadziewane cukinie – kolokithakia gemista avgolemono.

Składniki (6 porcji):

- 1,5 kg cukinii średniej wielkości
- 200 g mielonego mięsa cielęcego
- 100 g mielonego mięsa wieprzowego
- 50 g ryżu wypłukanego i odsączonego
- 2 jajka
- 3 żółtka jaj
- 200 ml mleka
- 50 g tartego sera feta
- 150 ml oliwy z extra virgin
- 1 cebula drobno posiekana
- 2 liście laurowe
- sok z 3 cytryn
- 50 g jogurtu
- 1 łyżka mąki kukurydzianej
- do smaku: czosnek, natka pietruszki, koperek, mięta, sól i pieprz

Przygotowanie:

Myjemy dokładnie i osuszamy cukinie, odkrawamy obydwa końce i z jednej strony wydrążamy miąższ (nie na wylot). Na patelni rozgrzewamy niewielką ilość oliwy, dodajemy cebulę i czosnek, smażymy na złoty kolor i odstawiamy do wystygnięcia. Do miski dodajemy mięso mielone, podsmażoną cebulę i czosnek, ryż, 2 jajka, mleko, miętę, natkę pietruszki, koperek, sól oraz pieprz i mieszamy dokładnie całą masę. Napełniamy nią przygotowane cukinie, ale nie do pełna – podczas gotowania farsz zwiększy swoją objętość. Tak przygotowane cukinie przekładamy do szerokiego garnka. W drugim, mniejszym garnku gotujemy przez 5 minut 2 szklanki wody, sól, sok z 1 cytryny, liście laurowe i niewielką ilość oliwy z oliwek. Delikatnie przelewamy zawartość małego garnka do większego i gotujemy na wolnym ogniu pod przykryciem przez 30 minut. Odcedzamy bulion z garnka, a cukinie trzymamy w ciepłym miejscu. Przygotowujemy sos cytrynowo-jajeczny: w miseczce ubijamy żółtka z sokiem z dwóch cytryn, dodajemy jogurt i mąkę kukurydzianą, następnie dokładnie mieszamy i porcjami dodajemy trochę gorącego bulionu. Kiedy połączymy już obydwie zawartości garnków, doprowadzamy sos do wrzenia, zdejmujemy z ognia i przecedzamy przez sito. Doprawiamy wedle gustu. Danie podajemy na gorąco polane sosem. ©℗

FOT. ARCHIWUM TEO VAFIDISA

oprac. raw
Teo Vafidis jest szefem kuchni, ekspertem kulinarnym, przedsiębiorcą.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Chudnij z ajurwedą

Co można jeszcze powiedzieć o odchudzaniu? Napisano o tym setki książek, powstały tysiące artykułów w czasopismach kobiecych i gazetach codziennych. Poznaliśmy licznych guru i ich diety: Dukana, Montignaca, dr Dąbrowskiej, Kwaśniewskiego. Zmieniały się rewelacje naukowe. Jajka, kiedyś dobre, okazały się złe, potem znowu dobre; mleko, kiedyś zalecane dorosłym i dzieciom, odsądzono od czci i wiary; mięso okrzyknięto wrogiem publicznym numer jeden. To ostatnie moim zdaniem słusznie: dla naszego zdrowia i dla planety.

Cała ludzkość się odchudza, ale jej połowa jest już otyła. Bogaci są szczupli, biedni grubi. Jak to się dzieje? Otyłość została uznana za chorobę. Dlaczego? Lepiej siłom wyższym przypisać odpowiedzialność za błędy. Czy niepohamowane obżarstwo może być chorobą? Nie lepiej przyznać, że światowy trend tycia to skutek tanich i wszechobecnych słodyczy, siedzącego trybu życia, ogólnego dobrobytu oraz pospolitej żarłoczności?

Na podium pokarmów dozwolonych utrzymują się marchewka i generalnie warzywa. Oraz ziarna, które zatwardzialcy wciąż uważają za pokarm dla ptactwa. One właśnie są bohaterami książki Karoliny i Macieja Szaciłłów pt. „Chudnij w zgodzie ze swoją naturą. Model odżywiania zgodny z ajurwedą". Książka ma pokazać, że nie istnieje uniwersalna dieta dla każdego. Mamy różne temperamenty, inną budowę ciała, inny sposób trawienia, żyjemy w różnych miejscach.

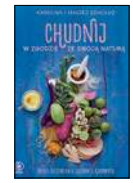

KAROLINA SZACIŁŁO, MACIEJ SZACIŁŁO „CHUDNIJ W ZGODZIE ZE SWOJĄ NATURĄ" REBIS 2019

Pomysł na dietę państwa Szaciłłów jest orientalny i opiera się na ajurwedzie – wschodniej nauce o zdrowym życiu, uznanej przez WHO za terapię dla zdrowia.

Zdaniem ajurwedy otyłość wiąże się z nadmiarem doszy kapha, którą tworzą żywioły wody i ziemi. Przyczyną może być również dosza vata, której nierównowaga powoduje nagromadzenie przestrzeni i powietrza… Jeśli mają państwo ochotę dalej brnąć w zawiłości wschodniej filozofii życia, to zachęcam. Dla ułatwienia zamieszczono tabelę umożliwiającą rozpoznawanie zaburzeń dwóch dosz wpływających na zaburzenia trawienia w przypadku nadwagi i otyłości. Autorzy zamieszczają oczywiście kilkadziesiąt przepisów, które z teorii pomogą przejść do praktyki. Na liście niezbędnych składników: manna orkiszowa, kasza orkiszowa, mieszanka chai masala. Nie każdemu te rzeczy wydadzą się znajome. Jednak są i przepisy bardziej banalne, na przykład na lubianą u nas zupę tajską.

Ja się tylko zastanawiam, bo skoro autorzy twierdzą, że dietę należy dopasować do człowieka, to dlaczego my, nadwiślańskie plemię, mamy słuchać proroków znad Gangesu? Nie lepiej zostać przy swojskich kartoflach i kapuście? ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

ASTON MARTIN W HOŁDZIE 007

50 lat po kinowym debiucie filmu „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości" (On Her Majesty's Secret Service) – w którym jedną z głównych ról zagrał aston martin DBS z 1969 r. – słynny brytyjski producent samochodów przygotował limitowaną do 50 sztuk edycję nowoczesnego modelu DBS Superleggera. Specjalna wersja OHMSS wyróżnia się m.in. oliwkowozielonym lakierem nadwozia (taki kolor miał oryginał z lat 60.), przednim grillem z sześcioma horyzontalnymi osłonami, elementami karoserii z włókna węglowego i wnętrzem wykończonym alcantarą oraz ciemną skórą. Jak na auto dla Jamesa Bonda przystało, pod maską znalazł się mocny 5,2-litrowy silnik o mocy 715 KM, którego maksymalny moment obrotowy wynosi aż 900 Nm. Dzięki temu od zera do pierwszej setki auto rozpędza się zaledwie w 3,4 s. Ceny zaczynają się od równowartości 1,5 mln zł.

NAJSTARSZE PORSCHE IDZIE POD MŁOTEK

Na miłośników wyjątkowych egzemplarzy samochodów czeka niebywała gratka. Latem tego roku na licytację w domu aukcyjnym RM Sotheby's ma trafić najstarsze zachowane porsche na świecie i jedyny z trzech wyprodukowanych egzemplarzy modelu Type 64 z 1939 r. Zdaniem analityków cena auta może przebić poziom 20 mln dol. (czyli 77 mln zł).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POWIĘKSZONA „JEDYNKA" BMW

Trzecia generacja kompaktowego modelu BMW, która do salonów sprzedaży trafić ma pod koniec września bieżącego roku, będzie sprzedawana wyłącznie z napędem na przednie koła. Inżynierowie bawarskiego koncernu zmienili zarówno wnętrze, jak i zewnętrzną sylwetkę BMW 1 – powstał samochód, który bardzo mocno przypomina BMW X2. Według producenta projektantom udało się wygospodarować więcej miejsca na nogi dla pasażerów, a jednocześnie powiększyć bagażnik do 380 l. Pod maską znajdą się silniki benzynowe o mocy 140 i 306 KM i trzy warianty silników wysokoprężnych o mocy od 116 do 190 KM. Od 2004 r., gdy zadebiutowała pierwsza generacja BMW 1, sprzedano na świecie ok. 1,3 mln egzemplarzy tego modelu. W zeszłym roku sprzedaż „jedynek" w Europie spadła jednak o 8,5 proc., BMW 1 znalazło się za Mercedesem klasy A oraz Audi A3.

NIEZAWODNE MITSUBISHI

W najnowszym „Badaniu niezawodności pojazdów w Niemczech" J.D. POWER – obejmującym 12 854 kierowców, których pojazdy zostały po raz pierwszy zarejestrowane w okresie od listopada 2015 r. do stycznia 2018 r., zwyciężyło japońskie Mitsubishi. Najwyżej oceniana marka premium została sklasyfikowana dopiero na 11. miejscu. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 41c41ae693

REPUBLIKA

Dziennikarski Poker
19:00
Dorota Kania
Tomasz Sakiewicz
Adrian Stankowski

Mówi się
20:25
Jacek Sobala

Suma Dnia
22:50

Republika Flash
popołudniu

NOWOŚCI
w Telewizji Republika

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 41c41ae693

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Podejrzani „ludzie z Pleszewa i ze Świebodzina”

Sto lat temu „ludzie z Pleszewa i ze Świebodzina” traktowani byli przez twórców Drugiej Niepodległości jako czynnik niezbędny w budowaniu niepodległego państwa polskiego. Stąd przygotowana ledwie parę tygodni po 11 listopada 1918 r. ultrademokratyczna ordynacja wyborcza do Sejmu Ustawodawczego. Niewiele ponad dwa miesiące po przejęciu władzy w Warszawie przez Józefa Piłsudskiego zostały przeprowadzone (tam, gdzie akurat nie toczyły się działania wojenne, czyli na obszarze b. Kongresówki i zachodniej Galicji) wybory do polskiej konstytuanty.

W lutym 1919 r. uchwaliła ona „małą Konstytucję”, a w marcu 1921 r. – półtora roku po akcji rozbrajania Niemców w Warszawie – Polska otrzymała regularną Ustawę Zasadniczą (Konstytucja marcowa). Jednocześnie odradzająca się Rzeczpospolita, która wyszła z wielkiej wojny jako kraj ze zrujnowanym przemysłem, spustoszonym rolnictwem i z potężnymi stratami ludnościowymi, toczyła na wszystkich swoich rubieżach wojny o granicę. W 1920 r. stoczyła z powodzeniem wojnę o przeżycie – swoje i europejskiej cywilizacji. Bez dziesiątków tysięcy „ludzi z Pleszewa i ze Świebodzina” (choć ten ostatni, jak wiemy, nie znalazł się w granicach II Rzeczypospolitej) wszystko to nie byłoby możliwe.

Trzydzieści lat temu rozpoczyna się długa, trwająca do dziś historia traktowania „ludzi z Pleszewa i ze Świebodzina” jako czynnika wprowadzającego zamieszanie, utrudniającego realizację projektów zaplanowanych i uzgodnionych w wąskim gronie tych, którzy sądzą, że wiedzą lepiej. A wszystko zaczęło się 4 czerwca 1989 r., gdy „ludzie z Pleszewa i ze Świebodzina”, którzy nie rozpoznali rychło w czas „filozofii Okrągłego Stołu”, gremialnie skreślali tzw. listę krajową, która zawierała nazwiska prominentnych autorów „reglamentowanej rewolucji” (A. Dudek) z obozu władzy. W ten sposób skreśleni zostali m.in. urzędujący premier rządu PRL Mieczysław F. Rakowski oraz architekt porozumień magdalenkowych gen. Czesław Kiszczak.

Nie poznali „ludzie z Pleszewa i ze Świebodzina”, że pacta sunt servanda między pierwszą (4 czerwca) a drugą turą wyborów (18 czerwca 1989 r.) była to najczęściej powtarzana – przede wszystkim przez tzw. stronę solidarnościową – łacińska maksyma. Bo przecież była umowa, która już przed wyborami ustalała ich wynik, gwarantując obozowi władzy określoną liczbę mandatów z opcją ich zwiększenia poprzez możliwość ubiegania się o miejsca z puli tzw. bezpartyjnych mandatów (uproszczeniem jest nazywanie ich „solidarnościowymi”). Tymczasem „ludzie z Pleszewa i ze Świebodzina” nie tylko, że 4 czerwca 1989 r. oddali 160 ze 161 „bezpartyjnych” miejsc kandydatom Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, nie tylko wysłali do Senatu, gdzie wybory były całkowicie wolne, ponad 90 z nich (ostatecznie będzie ich 99 w izbie wyższej), to jeszcze zupełnie nieodpowiedzialnie doprowadzili do upadku listy krajowej.

Pacta sunt servanda – a więc „strona solidarnościowa” bez zmrużenia oka zgodziła się na zmianę ordynacji wyborczej w trakcie wyborów, tak aby strona rządowa mogła „rozparcelować” utracone miejsca z listy krajowej po okręgach. Wtedy właśnie – między 4 a 18 czerwca 1989 r. miliony „ludzi z Pleszewa i ze Świebodzina” dostało poglądową lekcję, że tak naprawdę demokracja to nie są rządy ludu, tylko rządy demokratów.

Twórcom II Rzeczypospolitej tak bardzo spieszyło się oddać głos „ludziom z Pleszewa i ze Świebodzina”, podczas gdy na pierwsze w pełni wolne wybory parlamentarne w III Rzeczypospolitej trzeba było czekać aż do 1991 r. Jakże usilnie ci sami ludzie, którzy teraz są w pierwszym szeregu „obrońców demokracji”, 30 lat temu robili WSZYSTKO, co mogli, by odłożyć w czasie moment oddania głosu „ludziom z Pleszewa i ze Świebodzina”. Stwierdzali, że ludzie ci „nie dorośli do demokracji”, skreślając w pierwszych wyborach prezydenckich (1990) ich faworyta już w pierwszej turze. Jak bardzo niepokoiło ich to, że „ludzie z Pleszewa i ze Świebodzina” chcą w 1989 r. tworzyć własne partie, stwarzając w ten sposób zagrożenie „odmrożenia” polskiego nacjonalizmu. I tak przez trzy dekady. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 41c41ae693

OKIEM JASTRZĘBIA

Wstawajcie i idźcie się leczyć!

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Pragnę państwu zakomunikować, że mam bardzo dobry pomysł na artykulik poniżej, ale (nie uwierzą państwo), muszę go znaleźć… W tym momencie twierdzę, że ta parafraza coraz słynniejszych słów Grzegorza Schetyny brzmiących w oryginale: „Pomysł na pokonanie PiS? Uważam, że ten pomysł jest. Tylko trzeba go znaleźć" ma szansę na wielopłaszczyznowe odczytanie i olbrzymią karierę motywacyjną.

Czasem chadzam na takie imprezy, gdzie różni ludzie dostają różne nagrody za różne rzeczy. I mam tu taką poradę, a może nawet refleksję, gdyż miałem obserwację. Nagrodę dostaje ktoś za coś i wychodzi na scenę celebryta czy polityk, czy biznesmen (w ogóle to ludzie w bardzo różny sposób wychodzą i wychodzenie oraz wchodzenie na scenę dużo o człowieku mówi, ale o tym może w kolejnym odcinku) i ten ktoś, albo ktosiówa, po odebraniu nagrody ma parę minut na to, aby zebranym przy stolikach jedzącym na przykład sarnę (sarny są smukłe i smaczne, a krewetki tylko smaczne, a na przykład o dzikach mam wyłącznie dobre zdanie, ale to inny temat, może w następnym odcinku) przekazać prawdę o sobie i o życiu w syntezie. Bardzo często, ale jednak nie zawsze, przemawiacz chcąc błysnąć erudycją, cytuje kogoś znanego i potem odnosi się do tego cytatu.

Ma to oznaczać, że ten ktoś czyta książki, co czasem jest prawdą, ale raczej niekoniecznie. Sporo jest Wilde'a i Shawa, ale uważam, że będzie także dużo Grzegorza Schetyny. Przytoczony na początku cytat mówi przecież, że nie ma sytuacji bez wyjścia, że nie należy opuszczać rąk, że nigdy nie wolno się poddawać, tylko szukać i działać. Kpiarze będą chcieli te słowa wykrzywić, że to kapitulacja i brak pomysłu, ale na życie trzeba patrzeć pozytywnie i z energią.

Najbardziej moim zdaniem energetyczny i motywacyjny cytat (aczkolwiek brawurowy), który można wykorzystywać przy opisanych powyżej okazjach brzmi: „Wstawajcie i idźcie się leczyć" (nie wiem, czy goście by nie wyszli, ale to inny temat). Cytat wysmyknął się z ust wybitnego aktora Borysa Szyca, który w ten sposób apelował do alkoholików, żeby przestali być czynnymi alkoholikami, ponieważ sam jest alkoholikiem, to wie, co mówi. O Borysie Szycu było ostatnio głośno, ponieważ hejtował naszą sportsmenkę Zofię Klepacką za jej poglądy i zachowanie, mówiąc, że to wstyd i że nie powinna nosić polskiego orła, i zwracał się do niej per „dziewczyno", więc na pewno lubi panią Zofię i wypowiadał się z troską.

Nadmienić należy, że pani Zofia nie użyła w odpowiedzi do pana Borysa parafrazy jego cytatu: „Wstawaj i idź się leczyć", co mogłoby być co prawda odczytane jako troska, ale chyba raczej nie. Pragnę państwu zakomunikować, wydawało mi się, że miałem bardzo dobry pomysł na artykulik powyżej, ale przeczytałem go teraz i chyba go nie znalazłem. Ech, i znów wyszło jak zawsze… ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Nawróceni

MARCIN MAKOWSKI

Czy to możliwe, aby kilka punktów procentowych dzieliło część lewicowo-liberalnych elit od przejrzenia na oczy, apeli o szacunek wobec wyborców spoza miast, konserwatywnych ekspiacji, krytyki środowisk LGBT, manifestowania katolicyzmu i zaorania idei „anty-PiS"? Czy to może być aż tak proste, że z dnia na dzień ci sami ludzie, którzy pisali o ochłapach wyborczych, wieszczyli upadek Kaczyńskiego i snuli wizje antykościelnej rewolucji, doznali oświecenia? Ależ oczywiście! W Polsce nie takie świeckie cuda już widzieliśmy. Ale chyba nigdy na podobną skalę.

Weźmy na przykład prezydent Gdańska Aleksandrę Dulkiewicz. Jeszcze w sobotę 11 maja paradowała na Marszu Równości, ogłaszając wszem wobec dumę z uczestniczenia w wydarzeniu, które „nikogo nie wyklucza". Gdy jednak się okazało, że grupa „Dziewuchy dziewuchom" urządziła parodię procesji Bożego Ciała, na której zamiast Eucharystii niesiono ukoronowaną waginę... I to nie przeszkodziło pani prezydent napisać na Twitterze, że nie widzi w podobnym akcie niczego, co obraża katolików.

Aż do wtorku 28 maja, niespełna dwa dni po ogłoszeniu wyników wyborów europejskich, miażdżących dla Koalicji Europejskiej. „[...] do głębi jestem poruszona Państwa akcją happeningową podczas V Trójmiejskiego Marszu Równości. Im więcej dni mija od tego wydarzenia, tym bardziej czuję, że nie sposób milczeć" – stwierdziła w liście otwartym do organizatorek „performensu" Dulkiewicz. „Państwa akcja przeczy wszystkim zasadom, w które wierzę, wyznaję i chcę propagować. Dopuściliście się Państwo przemocy symbolicznej" – zdeklarowała prezydent, dodając, że „czuje głęboki dyskomfort" od momentu „zobaczenia w Internecie zdjęć dokumentujących działanie". Również po wyborach wtórował jej prezydent Sopotu Jacek Karnowski. „Moim skromnym zdaniem, jak ktoś chce walczyć o równość i tolerancję, to nie powinien obrażać innych" – zadeklarował.

Wszystkie te skromne zdania, jakże ważne i odważne, zbiegły się dokładnie z tym samym momentem szoku poznawczego. – Zaczynam nabierać do nich ogromnego szacunku, bo oni są mądrzy – mówiła o wyborcach Prawa i Sprawiedliwości Eliza Michalik w programie portalu Onet. – Co się stało z tym narodem, pytacie? Nic. Właśnie go poznajecie – to głos wiceprzewodniczącej KOD Magdaleny Filiks. „Ten mem jest wstrząsający. Poraża pogardą do osób najbardziej zapracowanych, obciążonych i umęczonych codziennością, jakie chodzą po tym świecie – starych kobiet wiejskich" – napisała na Facebooku Paulina Młynarska, komentując obrazek starszej pani żebrzącej o pieniądze od polityków, który opublikowała niereformowalna Krystyna Janda. I tak dalej, i tym podobne. Polecam notować podobne akty neofityzmu, tak szybko odchodzą. ©℗

eprasa.pl 41c41ae693

KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Biomasa nie dorosła do demokracji

***WALTER CHEŁSTOWSKI:* Biomasa nie czyta, nie słucha. Normalna Polska czy biomasy? Wcześniej czy później biomasa też zacznie pojmować. Albo nie. Wystarczy pisać i rachować. Na kolanach w kościele.**

To przedwyborcze przemyślenia jednego z liderów Komitetu Obrony Demokracji, organizacji, której największym osiągnięciem z perspektywy czasu jest chyba tylko zwiększenie społecznego przyzwolenia dla niepłacenia alimentów na własne dzieci. Komitet Obrony Demokracji to też jeden z członków Koalicji Europejskiej, wciągnięty na pokład na ostatniej kampanijnej prostej, kiedy pospolite ruszenie Grzegorza Schetyny było już tak zdesperowane, że brało wszystko.

Biomasa to biodegradowalne odpady biologiczne – czy można człowieka bardziej obrazić? Chyba nie bardzo, ale przecież nasze elity nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa i nie takie rzeczy o sobie usłyszą i przeczytają „Janusze i Grażyny", którzy – nie wstydźmy się sięgnąć po klasyka – nie dorośli do demokracji. W każdym razie nie tej, której broni komitet pana Waltera.

W wyborach do Parlamentu Europejskiego nie głosowałam, żadna partia do mnie nie trafiła, a polityk, którego poparłam w ostatnich wyborach, w tych startował z innego miasta i nie dał mi szansy poprzeć go ponownie. Gdyby wybory odbyły się dzisiaj, nie wiem, czy bym potrafiła się wstrzymać od głosu po tym, co przed wyborami, a zwłaszcza po nich przeczytałam i usłyszałam od osób z jakiegoś powodu uważających się za „lepszy sort" człowieka. Trudno mi sobie dzisiaj wyobrazić rozważanie głosowania na Koalicję Europejską po tym, jak zachęcał do tego Chełstowski, a po wyborach komentowała Krystyna Janda obrazkiem, po którym chce się tylko płakać.

Obnoszącym się ze swoim poczuciem wyższości Państwu Celebrycktwu chciałabym przedstawić moją bardzo już leciwą ciocię z małego miasteczka na Podkarpaciu, która jest bohaterką wpisu o biomasie i to ją widziałam na rysunku promowanym przez Krystynę Jandę. Ciocia w ostatnich wyborach, tak jak we wszystkich poprzednich, głosowała na PiS, regularnie słucha Radia Maryja, a pewnie też wpłaca „na Rydzyka" jakąś część swojej emerytury. Jak to biomasa. Wychowała też piątkę nie swoich dzieci, czworo z nich wzięła z domu dziecka, gdy nikt ich nie chciał, bo byli już za duzi i z patologicznych rodzin, żeby ich lepiej wyposażyć na dorosłe życie, wyjeżdżała do Ameryki sprzątać w cudzych domach, zarobione tak pieniądze pozwoliły chłopakom urządzić się jakoś w dorosłym życiu. A gdy przestała być tak bardzo potrzebna dzieciom i wnukom, została wolontariuszką w hospicjum. I naprawdę nie jest mi przykro, że moja własna ciocia swoim politycznym wyborem skrzywdziła Krystynę Jandę, Waltera Chełstowskiego i innych tak bardzo od niej lepszych.

Domykając klasistowską metaforę Chełstowskiego, biomasa, ten biodegradowalny odpad biologiczny, to bowiem jedno z lepszych źródeł energii odnawialnej, bardzo pożyteczna i ciągle jeszcze nie w pełni wykorzystywana. ©℗

PODSŁUCHANE

Problem już rozwiązany

Tomek, dla dobra sprawy, proszę cię, spójrz w tego mejla i się dostosuj.
Grzesiek, wiesz, ile bym dał, żeby nam się udało. Ale to? No bądźmy poważni. Jak ja mam teraz pisać, że mnie nie bawią kpiny z pisiorków, jeśli zawsze pisałem, że mnie bawią, i naprawdę mnie bawią?
Jednak z badań nam wyszło, że to nam szkodzi. Albo chcesz, żebyśmy wygrali, albo...
Widziałem się wczoraj z Elizą. Ona się niby dostosowała, ale wiesz, jak to odchorowała? Co dziesięć minut biegnie do łazienki wymiotować. Po każdym takim tłicie.
Może i tak, ale sprawa! Sprawa, rozumiesz!
A moja wiarygodność? Hejtuję kaczystów od lat i nagle mam przestać?
Tylko krowa...
Tak, wiem. No dobra, mogę się podporządkować, ale pod jednym warunkiem.
Jakim mianowicie?
Że w ten sam deseń zacznie pisać Sadurski. Wtedy – proszę bardzo.
No więc... problem Sadurskiego już rozwiązaliśmy, choć nie do końca w ten sposób.
To znaczy?
Trzeba było go po prostu... jak by to ująć... przystopować generalnie.
Niby jak? Przystopować? Jego?
A słyszysz to walenie z bagażnika?
©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Myślę, że ona zrobiła to przez pomyłkę".

ZBIGNIEW HOŁDYS, *muzyk, w Onet Rano, tłumacząc Krystynę Jandę, która po wyborach zamieściła na Facebooku obrazek poniżający wyborców PiS – wskazujący, że „dali głos" za pieniądze jak pies za przysmak.*

eprasa.pl 41c41ae693

Zamtuz

fot. Jerzy Gumowski

Konfederacji brukselskiej czepiałem się na tych łamach w minionych latach wielokrotnie, tekstami takimi, jak chociażby zeszłoroczny felieton **„Unia szalbierzy”**, tymczasem będę chyba musiał zmienić zdanie, dowiedziałem się bowiem ostatnio, że dotacje unijne zaczęły wreszcie mieć sens i miast przynosić kłopoty — szerzą dobrodziejstwa. Wcześniej różnie z tym bywało, czego dowodem fakt, że wskutek inkasowania unijnych funduszy zadłużenie Płocka wzrosło od 2003 roku pięciokrotnie, Lublina dziewięciokrotnie, Bytomia trzynastokrotnie, przy czym Lublin spłaci ten dług nie wcześniej niż w 2038 roku, zaś Toruń w 2042 roku. Lecz jak tu nie bić braw, kiedy człowiek się dowiaduje, że kolejna dotacja dla Lublina to finansowanie (z Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka) mieszczącej się tam hurtowni akcesoriów erotycznych sprzedawanych przez sex–shopy? A jeszcze bardziej mnie ucieszyła dotacja dla czeskiego domu publicznego (renowacja przybytku kosztem 40 tys. euro), bo burdele to (obok szpitali) najbardziej humanitarne placówki ziemskiego padołu, zważywszy, że miliardy samców muszą się jakoś relaksować, destresować, rozluźniać poza prywatnymi domami, gdy ich samice ciągle demonstrują w czarnych manifach i eksploatują swą aktywność na rozmaitych publicznych forach profesjonalnych, nie mając głowy do zaspokajania swego mniej lub bardziej stałego partnera (małżonka, konkubenta, petenta, natręta, klienta, itp.).

Felieton ten nie przez przypadek sekunduje mojemu artykułowi **„Lupanarium”** zamieszczonemu w tym numerze **„Do Rzeczy”** dzięki nieoczekiwanej łaskawości purytanina Lisickiego, i jako taki ma analogiczną treść tyczącą seksu (głównie płatnego) plus *„domów rozkoszy”*. Owe domy zawsze różniły się między sobą bardziej charakterem zewnętrznym (miały bowiem rozmaite formy przestrzenno–metrażowe i elewacyjne — od budynków burżuazyjnych, pałacowych i ekskluzytornych, po lepianki, namioty, baraki, mieszkania blokowe i wille modernistyczne) aniżeli trybem wewnętrznym, wszędzie tego samego (wilgotnego) rodzaju. Gdyby jakaś międzynarodowa organizacja architektoniczna urządziła wspólnie z jakimś międzynarodowym stowarzyszeniem historiograficznym internacjonalny konkurs na najciekawszą lupanarową budowlę wszech czasów — ja głosowałbym za Taszkientem, stolicą Uzbekistanu, a ściślej: za gigantycznym/majestatycznym pomnikiem Władimira Iljicza Lenina zdobiącym centrum tego miasta niegdyś (nie wiem czy stoi tam do dzisiaj). W epoce ZSRR każdego roku podczas hucznych czerwonych świąt (rocznica *„Rewolucji Październikowej”*, itp.) przed tym megamonumentem stawiano trybunę honorową dla genseków i najwyższego *„aktywu partyjnego”*, który przemawiał do tłumów i pozdrawiał szeregi defilujące wzdłuż owej trybuny, demonstrujące *„poparcie i jedność”*, aklamacyjnie skandujące, etc. Jako że niejedna taka feta trwała wiele, wiele godzin, a ciało (czytaj: libido) nie sługa — nudzącym się dostojnikom urządzono podręczny burdel w bezpośrednim sąsiedztwie trybuny, konkretnie: w obszernym wnętrzu wzmiankowanej statuy *„Wodza Rewolucji”*, towarzysza Lenina. Kiedy ceremonie defiladowe trwały bez końca — co raz to kilku dostojników urywało się z trybuny podziemnym przejściem do środka monumentu, gdzie już czekały na nich *„towarzyszki bladzie”* umiejące *„robić dobrze”* hierarchom (A.D. 1989, w raporcie dwóch sędziów śledczych, Iwanowa i Gdliana, znalazło się stwierdzenie, że te damy, szybko obsługujące śpieszących się *„kacyków”*, były *„zatrudniane na specjalnych etatach przez administrację Komitetu Centralnego Partii Uzbeckiej”*). Wszystko to razem stanowiło celny *„nomen omen”* tzw. *„realnego socjalizmu”*.

∞

glossa do artykułu

∞

Z kolei gdybym musiał wskazać najciekawszy burdel PRL–owski — bez wahania dałbym złoty medal wyzłoconemu imperium Gierkowskiego szefa TVP, Macieja Szczepańskiego. To, że przez prawie dekadę był on faraonem–carem–führerem polskiej kultury i szołbiznesu, to żadna rewelacja, wcześniej też mieliśmy takich kulturowych playmakerów (czy raczej generalissimusów, jak Borejsza lub Sokorski) — rewelacją była skala (a jeszcze bardziej różnorodność) jego majątku uciułanego z państwowych funduszy błyskawicznie. Osobista własność (dobra prywatne) i parawłasność (nieruchomości formalnie państwowe, lecz oddane mu prawem kaduka do wyłącznej dyspozycji) składała się m.in. (to m.in. jest ważne, bo nigdy nie ustalono kompletu dóbr tego pana) z: pałacu w Głębicach, trzech willi (Zalesie, Zakopane i Pobierów), rezydencji w Kazimierzu Dolnym, zespołu warszawskich apartamentów przy ul. Marzanny, domku myśliwskiego w Kenii, Wyspy Róż na Morzu Śródziemnym, leśniczówki w Tłokowiskach, owczarni pod Gołdapią, tuczarni koło Pułtuska, masarni w Nasielsku, sauny z basenem i gabinetem odnowy biologicznej w Warszawie, dwóch teatrów (Warszawa i Chorzów), morskiego jachtu „Pogoria”, helikoptera, 5–osobowej *„taksówki powietrznej”*, samolotu AN–2, dużej stajni luksusowych samochodów, udziałów w austriackiej spółce „Steyer–Puch”, kont dewizowych z wieloma zerami, wreszcie stadniny *„hostes”*, *„sekretarek”*, *„prezenterek”* itp., bo to był jurny chłopak, o którego *„baletach”* krążyły między Tatrami a Bałtykiem ekscytujące gędźby szeptane, wymieniające po nazwisku elitę ówczesnych żeńskich gwiazdek estrady i telewizji. Jednocześnie *„król Maciuś”* z elokwencją latynoskiego *„comandante”* vel *„caudilla”* wmawiał *„kartkowemu społeczeństwu”*, że Polska jest *„dziewiątą potęgą przemysłową świata”* (sic!), co sprawiało, że nie tylko rodzimy barak był najweselszy wśród *„demoludów”*, lecz i rodzimy burdel także.

Nowinką w temacie niniejszym jest niedawne (28 lutego) otwarcie duńskiego (Aarhus) burdelu o nazwie „Doll House” („Dom lalek”). Seksualne usługi dla klientów pełnią tam wyłącznie sztuczne damy, co stanowi nowość światową. Nie jakaś nadmuchiwana plastikowo–ceratowa tandeta, którą za psi grosz można kupić w każdym sex–shopie, lecz pełnowymiarowe/pełnofunkcyjne silikonowe atrapy kobiet, istne *„replikantki”*, jak u Ridleya Scotta (**„Łowca androidów”**), czyli ciała kilkudziesięciokilogramowe, odtworzone — cytuję branżową reklamę przybytku — *„z zachwycającą precyzją, naturalnością struktury anatomicznej, ruchomymi stawami, w ogóle z idealną ludzką cielesnością”*. Można je bić, nawet katować (*„seks sado–maso”*), używając do tego rozmaitych przyrządów (pejcze, kajdanki, etc.) lecz nie można gryźć zbyt mocno (jest to regulaminowo zakazane), aby nie uszkodzić skóropodobnego materiału.

„Dom lalek” w Aarhus ma prócz bogatej oferty *„partnerek”* (niskie i wysokie, chude i grube, brunetki, blondynki, rude i łyse) także szeroką ofertę pomieszczeń zadowalających klienta. Można tam uprawiać seks z niepyskującą niewiastą wewnątrz klasy szkolnej i gabinetu ginekologicznego, w klasztornej celi i rokokowym buduarze, w samolocie i czołgu, a do tego można zamawiać panie przebrane za stewardesy, policjantki, pielęgniarki, nauczycielki, operowe primadonny, itp. Szef tego przybytku, anonimowy *„Odin”*, tłumaczy dziennikarzom: *„ — To nie jest tak, jak sądzą niektórzy, że świadczymy usługi dla dewiantów. Świadczymy je dla zupełnie normalnych mężczyzn. Już pierwszego dnia przyszło aż dwustu facetów. Samotni, nieśmiali, takim trzeba przecież pomagać. Zamiast do podejrzanych nocnych klubów, mogą tutaj przyjść. W sumie prowadzimy społeczną, dobroczynną działalność”*. Zawsze mówiłem to samo o damach, które nie terroryzują samców kaprysami, pretensjami i bezmyślną paplaniną, od której pęka łeb. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 41c41ae693

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE BIOGRAFIA ZBIGNIEWA HERBERTA AUTORSTWA JOANNY SIEDLECKIEJ

„PAN OD POEZJI"

~~357 ZŁ~~ > **140,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 217 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 41c41ae693